str. 19–56: **Numer Śląski**

CENA 2 ZŁ.

Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem

Peowiak

ORGAN ZWIĄZKU PEOWIAKÓW



Pomnik ku czci poległych żołnierzy P. O. W. w chwilę po odsłonięciu.

Nr. 12 (34) **WARSZAWA** **Rok IV.**

TREŚĆ NUMERU:

ŚLĄSK

Peowiak

Nr. 12 (34) XII / 33 Rok IV
ORGAN ZWIĄZKU
PEOWIAKÓW

„Służba i śmierć bezimienna dla wzniosłej sprawy Ojczyzny"

Taki napis widnieje na cokole pomnika ku czci Poległych Żołnierzy P. O. W., który został odsłonięty w Warszawie dnia 10 listopada 1933 r.

W napisie tym zawarty jest cały ogrom poświęcenia, z jakiem Peowiacy własnowolnie oddali się pod rozkazy Komendanta Piłsudskiego, by służyć wielkiej sprawie wyzwolenia Ojczyzny. Ku czci tych z pośród nich, którzy w szeregach P. O. W. lub sformowanych z niej oddziałów wojskowych życie stracili, stanął pomnik, ufundowany w lwiej części ze składek ogółu peowiackiego.

Plac Małachowskiego. drogi dla nas, Peowiaków, wspomnieniem pierwszej defilady P. O. W. przed Komendantem, będzie odtąd skupiał na sobie myśli wszystkich Peowiaków, którzy w pomniku dłuta prof. Wittiga zawarli wyraz głębokiego hołdu dla nieżyjących już towarzyszów walki podziemnej, a w ich gronie dla najwyższego podziwu godnych, bohaterskich Peowiaczek.

*

* *

Uroczystość odsłonięcia pomnika odbyła się na placu Małachowskiego wobec nieprzeliczonych tłumów, pragnących oddać hołd tym, którzy życiem przypieczętowali swoją miłość Ojczyzny i wierność sztandarowi Polskiej Organizacji Wojskowej, sztandarowi buntu przeciw najeźdźcom.

Wkrótce po godz. 17-ej z różnych stron miasta poczęli dążyć Peowiacy na pl. Józefa Piłsudskiego, na którym wyznaczona była zbiórka dla oddziałów, biorących udział w uroczystości. Około godz. 18-ej, po akademji, która odbyła się w teatrze Wielkim (sprawozdanie z akademji podajemy na innem miejscu. — Red.), przybyły na plac poczty sztandarowe Kół Związku Peowiaków z całej Polski w liczbie 36. Nadto zaczęły napływać oddziały innych związków i organizacyj ze sztandarami, a więc: Związku Legjonistów Polskich, Związku Strzeleckiego, Federacji P. Z. O. O., Legjonu Młodych, Legji Mocarstwowej, Straży Przedniej, dalej kompanje P. W., organizacje kobiece, delegacja B. B. W. R. i liczne delegacje stowarzyszeń społecznych.

Tymczasem na trybunach, ustawionych przed przykrytym białą zasłoną pomnikiem na placu Małachowskiego, oraz na chodnikach dokoła pomnika zaczęli zajmować miejsca zaproszeni goście i rodziny poległych Peowiaków. Przybyłe z pl. Józefa Piłsudskiego poczty sztandarowe i delegacje z wieńcami ustawiły się za pomnikiem półkolem, tuż pod wysokiemi masztami, z których zwisały chorągwie o barwach państwowych, a które symbolizowały dawne okręgi P. O. W.

Zieleniec, na którym postawiony został pomnik, tonął w powodzi światła reflektorów, co podnosiło uroczysty nastrój.

Na jezdni przed pomnikiem stanął bataljon piechoty, złożony z kompanij: 21 p. p., 30 p. s. k. i 36 p. p. L. A. wraz z pocztami chorągwianemi i orkiestrami. Dowództwo nad bataljonem sprawował ppłk. Ryszanek.

O godz. 18, min. 30 przybywa na plac dowódca O. K. I, gen. Jarnuszkiewicz, który przy dźwiękach marsza generalskiego odbiera raport od komendanta miasta, płk. Szajewskiego.

W krzesłach przed pomnikiem zajmują miejsca członkowie Rządu z ob. premjerem Januszem Jędrzejewiczem na czele, marszałkowie: Sejmu — dr. Świtalski i Senatu — Raczkiewicz, prezes Walery Sławek, wiceministrowie, wicemarszałkowie Sejmu i Senatu, prezes N. I. K., gen. Krzemieński, gen. dr. Górecki oraz generalicja z szefem Sztabu Głównego gen. Gąsiorowskim, gen. Kutrzebą, gen. Kwaśniewskim i gen. Kasprzyckim na czele, prezydent m. Warszawy, inż. Słomiński oraz twórca pomnika, prof. Wittig. W dalszych rzędach zajęli miejsca wybitni przedstawiciele społeczeństwa oraz delegacje oficerskie, wyżsi dowódcy i w. in.

Miejsca stojące przed pomnikiem zajmują: Zarząd Główny Związku Peowiaków z prezesem, ob. min. Hubickim na czele, członkowie Komitetu Honorowego Budowy Pomnika z inicjatorem i protektorem budowy, ob. gen. Śmigłym-Rydzem na czele, w osobach: min. A. Koca, woj. Józewskiego, woj. Zyndram-Kościałkowskiego, red. Miedzińskiego, dyr. St. Bieniewskiego, min. Schaetzla i Wacława Sieroszewskiego, oraz Komitet Wykonawczy Budowy Pomnika in corpore z przewodniczącym, ob. mjr. Caspaeri-Chraszczewskim na czele.

Wkrótce przybywa p. marszałkowa Piłsudska i zajmuje miejsce w pierwszym rzędzie.

Oddziały Peowiaków i organizacyj zaprzyjaźnionych ustawiają się na ul. Królewskiej i na pl. Piłsudskiego.

Kilka minut po godz. 19-tej rozlegają się dźwięki hymnu narodowego, którym orkiestra wita Pana Prezydenta Rzeczypospolitej. Bataljon prezentuje broń. Na powitanie p. Prezydenta wychodzą premjer Jędrzejewicz i prezes Zarządu Gł. Związku Peowiaków ob. min. Hubicki.

P. Prezydent Mościcki w otoczeniu członków Domu Cywilnego i Wojskowego odbiera raport i przechodzi przed frontem kompanij honorowych, poczem udaje się na plac przed pomnik, wśród gromkich okrzyków: „Niech żyje!". Tu p. Prezydent zajmuje miejsce w fotelu, a obok p. Prezydenta zajmują miejsca: p. marszałkowa Piłsudska i ob. premjer Jędrzejewicz.

Ob. min. Hubicki zbliża się do p. Prezydenta, prosząc Pierwszego Obywatela Rzeczypospolitej o dokonanie odsłonięcia pomnika. Wśród zupełnej ciszy p. Prezydent podchodzi do pomnika i przecina taśmę, podtrzymującą zasłonę. Z opadających fałd białego płótna powoli ukazuje się pełen wyrazu pomnik. Orkiestra gra hymn narodowy.

Po chwili na trybunę wstępuje b. Komendant Główny P. O. W., gen. Śmigły-Rydz i wygłasza mocne, o głębokiej treści przemówienie, które, spotęgowane przez głośniki, jest dosłyszalne na całym placu Małachowskiego. Peowiacy z zapartym tchem słuchają Jego słów.

PRZEMÓWIENIE OB. GEN. ŚMIGŁEGO - RYDZA:

Dla kogo przeznaczona jest wymowa tego wieczoru z tą spiżową postacią młodzieńca bojownika?

Czy dla tych, co przekroczyli bramę śmierci?

Gdy umierali, nie myśleli o pomnikach. Być może, w godzinie rozstawania się z życiem, myśl ich szukała Boga, być może czułość ich lgnęła w ostatniem westchnieniu do rąk opuszczonej matki, być może ich ostatniem słowem było jakieś ukochane imię — lecz wiemy z niezawodną pewnością uczucia, że przy ich śmierci stawała wizja Polski. Taka, jak ją sobie wyobrazili, koncentrując wszystkie uczucia, coś z Boga, coś z miłości do matki, coś z miłości do człowieka.

Peowiacy! Nieodrodne plemię tak starej tradycji polskiego ochotnictwa. Bo kto pracował w przeszłości polskiej dla państwa? Czy to były masy uświadomionych obywateli, a jeśli nie masy, to potężne frakcje, liczne zgrupowania? Czy to był ogół rządzącej klasy, odpowiedzialnej za los państwa i podporządkowującej tej odpowiedzialności swe czyny i zbiorową postawę? Nie, nie masy, a ochotnicy pracy dla dobra Rzeczypospolitej, żołnierze i niestrudzeni oracze niewdzięcznej, publicznej polskiej niwy. Jakiś Batory, Żółkiewski, Chodkiewicz, Czarnecki, Sobieski, Piłsudski... To są nazwiska wielkich ochotników sprawy polskiej.

Ci zaś ochotnicy, których śmierć bohaterską dzisiaj czcimy, nie hetmanili; nazwiska ich często nieznane nikomu, prócz najbliższego otoczenia, lecz w służbie dla Ojczyzny dali życie.

Tu, w murach tego miasta, zaczęła się ich praca żołnierska, na początku wielkiej wojny poza frontem rosyjskim, gdy ich Komendant, Komendant Pierwszej Brygady walczył z wrogiem i zdobywał własne społeczeństwo. Tu, na tym placu defilowali po raz pierwszy przed Komendantem w uwolnionej od Rosji Warszawie.

Gdy Komendanta wywieziono do Magdeburga, zeszli w podziemną pracę wojskową, zdobywając masowo młodzież miast, miasteczek, a przedewszystkiem wsi.

Stąd ponieśli hasło walki tam, gdzie niegdyś przodkowie nasi na chorągwi napisali słowa „za naszą wolność i waszą".

I oto jeszcze jedna charakterystyczna ich cecha. To jest pokolenie, które wiązało Polskę dzisiejszą z dawną historyczną Polską. To, co dla dzisiejszej Polski staje się z dnia na dzień coraz bardziej obce, co zanika jak ton zamierającej pieśni, to dla nich było najbliższą, najrealniejszą rzeczywistością, którą oni żyli. Gdzie dziś dla Polaka jest obcość, tam była ich ojczyzna, ich przyrodzona gleba. Tam czuli się oni u siebie w domu, w domu tylekrotnie burzonym i podpalanym — gdzie przeszłość nasza tak błądziła, ale i gdzie tworzyła odrębny wyraz polskiej kultury. Tam wytwarzał się odrębny typ Polaka, wynik procesów historycznych u naszej wschodniej granicy, które wzbogaciły polską duszę, wycisnęły piętno na naszej myśli politycznej, na naszej poezji i sztuce, na naszej mowie. I tam, gdzie czuli się u siebie w domu, zaczęli walkę z wrogiem w przededniu zmartwychwstania Polski.

Stanęli tłumnie w szeregach w wojnie polskiej.

A potem, pamiętając o przeszłości, poszli na zachód krwią łączyć Polskę z powracającemi do niej dzielnicami. Był w nich instynkt historyczny, mądrość plemienna.

Więc dla nich przeznaczony ten pomnik — ale nietylko dla nich.

Nie chcemy, by przeszłość była kamienną płytą grobową, deptaną stopami mijających pokoleń tak długo, aż napis jej starty treść swoją zatraci!

I chociaż pamięć ich jest nam serdecznie i głęboko droga — to droższą nam jest przyszłość Polski! I chcemy, by ta przyszłość przychodziła tu do tego pomnika, aby sprawa państwa przestała być sprawą ochotników, a stała się sprawą uświadomionych rzesz obywateli. Aby tu uczono się instynktu dziejowego i mądrości plemiennej, wiążącej przeszłość z przyszłością. I aby przechodzień przyszłej Polski zatrzymał się przy tym pomniku na chwilę i pomyślał o pracy i śmierci bezimiennej w służbie dla Ojczyzny.

Pomnik ten ma czcić przeszłość i uczyć przyszłość.

Ob. gen. Śmigły-Rydz zszedł z trybuny. Jeszcze chwila ciszy. Urok przemówienia trwa. Wreszcie z piersi Peowiaków pada gromkie podziękowanie: „Komendant Główny P. O. W., gen Śmigły-Rydz, niech żyje"!

Przed pomnik wystąpił oddział trębaczy, którzy na fanfarach odegrali capstrzyk.

Następnie prezes Zarządu Głównego min. Hubicki przekazał pomnik poległych żołnierzy P. O. W. p. prezydentowi miasta Słomińskiemu, zaznaczając, by w imieniu stolicy przejął ten pomnik, nietylko jako dzieło sztuki, ale jako pomnik tych, którzy przyczynili się, że Warszawa jest dzisiaj wolna. P. prezydent miasta po krótkiem przemówieniu przejął pomnik, poczem nastąpiło złożenie wieńców przed pomnikiem przez Zarząd Główny Związku Peowiaków z ob. min. Hubickim na czele, Stowarzyszenie Peowiaczek, delegacje: Związku Legjonistów, Związku Strzeleckiego, Federacji P. Z. O. O., Zarządów Okręgów Stołecznego oraz wojewódzkiego warszawskiego i w. in.

Po odjeździe p. Prezydenta R. P. oddziały wojska, poczty sztandarowe, delegacje Związku Peowiaków oraz organizacje społeczne, przedefilowały przed ob. gen. Śmigłym-Rydzem. Defilada, którą prowadził prezes okręgu stołecznego kpt. Stefan Pomarański, który w 1917 r. na tem samem miejscu defilował przed Komendantem Piłsudskim na czele karnych szeregów Peowiaków I B. okręgu, trwała przeszło godzinę.

NA DZIEDZIŃCU BELWEDERU.

Po defiladzie olbrzymi pochód ruszył w stronę Belwederu, w celu złożenia hołdu Marszałkowi Józefowi Piłsudskiemu.

Na czele pochodu maszerował bataljon honorowy pułków warszawskich z orkiestrami, które grały przy świetle pochodni.

Następnie kroczył Zarząd Główny Związku Peowiaków z prezesem, ob. min. Hubickim na czele, poczem ciągnął długi sznur pocztów sztandarowych peowiackich i pokrewnych organizacyj. Wreszcie tysiące peowiaków, idących oddziałami według miejscowości, w których mają swoje siedziby Koła Związku Peowiaków; dalej — licząca około 200 osób grupa członków Zrzeszenia P. O. W. K. N. 3 — Wschód, z wiceministrem Lechnickim na czele, oddziały Związku Legjonistów, Związku Rezerwistów, kompanja Związku Strzeleckiego z Zarządem Głównym na czele, oraz wiele oddziałów różnych stowarzyszeń i organizacyj o charakterze społecznym. Ogółem w pochodzie brało udział około 30.000 osób.

Pochód przeszedł do Belwederu ulicami: Mazowiecką, pl. Napoleona, Szpitalną, Bracką, pl. Trzech Krzyży i Al. Ujazdowskiemi, budząc wśród przechodniów wielkie zainteresowanie i sprawiając wygląd imponujący.

Na dziedzińcu Belwederu zgromadzili się już w międzyczasie zaproszeni goście i generalicja. Ze względu na szczupłość miejsca wstęp na dziedziniec był za specjalnemi kartami. Na prawo od wejścia ustawiły się kompanje honorowe z orkiestrą, na lewo zaś: Zarząd Główny Związku Peowiaków, Komitet Budowy Pomnika Poległych Żołnierzy P. O. W., poczty sztandarowe i delegacje, generalicja i zaproszeni goście.

Wkrótce na dziedzińcu zjawił się ob. gen. Śmigły-Rydz, który przy dźwiękach marsza generalskiego przyjął raport od ppłk. Ryszanka, poczem ze stopni pałacu Belwederskiego wygłosił następujące przemówienie:

„Żołnierze, Legjoniści, Peowiacy!

W dzisiejszą uroczystą rocznicę, gdy z całej Polski miljon myśli, miljon serc kieruje się tu, do Belwederu, zrozumiałą jest rzeczą, że żołnierze ci, których Komendant, Pierwszy Marszałek Polski, prowadził przeciw śmierci, tu się zjawili, by złożyć bezinteresowny, głębokiego uczucia pełen, gorący hołd, by wznieść z głębi piersi okrzyk: „Pierwszy Marszałek Polski Józef Piłsudski niech żyje!“.

Okrzyk ten podchwycili wszyscy z entuzjazmem. W tej uroczystej chwili baterja 1 d. a. k. oddała 19 strzałów armatnich, a orkiestra odegrała hymn narodowy.

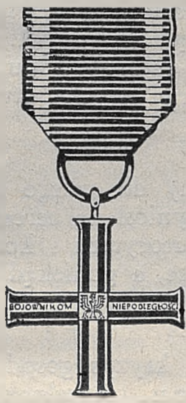
Na zakończenie orkiestra odegrała wiązankę pieśni legjonowych.

W międzyczasie część pochodu przeszła ul. Bagatelą do pl. Unji Lubelskiej, gdzie nastąpiło przewidziane rozwiązanie pochodu.

Uczestnicy uroczystości, podniesieni na duchu, podążyli ulicami stolicy w kierunku kwater, by następnego dnia wziąć udział w uroczystościach święta Niepodległości.

Przed pomnikiem, który był oświetlony do późna w noc dn 10 listopada, jak również dn. 11 i 12 listopada, gromadziły się tłumy publiczności, długo wpatrując się w pełną tragicznego bólu postać umierającego bojownika i czerpiąc obywatelską naukę z tych prostych, rycerskim duchem tchnących słów:

„Służba i śmierć bezimienna dla wzniosłej sprawy Ojczyzny“.



KRZYŻ NIEPODLEGŁOŚCI

Kawalerom Krzyża Niepodległości — poświęcam.

ZA SPOPIELAŁE BRACI KOŚCI,
ZA SZCZĘŚCIE, ŻEŚ RZECZPOSPOLITĄ
UJRZAŁ, ORĘŻEM TWYM ZDOBYTĄ,
NOSISZ TEN KRZYŻ NIEPODLEGŁOŚCI.

ZA WŁASNY ZNÓJ, ODDANY SPRAWIE,
ZA KREW, ZA WIDMO SZUBIENICY,
GDYŚ STAŁ BEZTRWOGI I BEZLICY,
NOSISZ TEN KRZYŻ W POLEGŁYCH SŁAWIE.

ZA PRZESZŁOŚĆ POLSKI NA SWEJ PIERSI,
NOSISZ TEN KRZYŻ NA WSTĄŻCE CZARNEJ...
KTÓŻ — JAK NIE MY — PRZYSZŁOŚCI ŻARNA,
GDYŚMY W PRZESZŁOŚCI BYLI PIERWSI?!.

ALFONS DZIĘCIOŁOWSKI

POLSKA W ROKU 1933

Wkraczamy w rok nowy. Jego poprzednika, tak niefortunnego dla świata rok 1933, mamy już poza sobą. Znękana czteroletnim kryzysem gospodarczym, jakiego w tych rozmiarach nigdy bodaj jeszcze nie przeżywała, ludzkość oczekuje z bijącem sercem, co też jej rozpoczynający się rok przyniesie. Nadzieja walczy z niepokojem — bo któż dziś może przewidzieć, czy przed nami świt lepszych czasów, czy też — nowe, ciemne chmury? Aby, choć w pewnym bodaj stopniu, móc postawić jakieś wnioski na przyszłość — musimy cofnąć się pamięcią i jednym choćby rzutem oka przejść najdoniośle jsze wydarzenia roku 1933-go.

Zacznijmy od tego, jak układały się stosunki w polityce międzynarodowej. Od pierwszych niemal dni 1933 roku nad światem, a przedewszystkiem nad Europą, gromadziły się groźne chmury. I, jak na Dalekim Wschodzie imperjalistyczna Japojna, tak w Europie ogniskiem niepokoju były, jak zwykle, Niemcy, te same, które w roku 1914 sprowadziły na świat straszliwą katastrofę wielkiej wojny. Zwycięski pochód Hitlera i narodowych socjalistów, przygotowany zresztą przez krótkowzroczność i niedołęstwo rządów centrowo-lewicowych, trwa od stycznia aż do końca roku. Przekreślenie resztek samodzielności krajów Rzeszy, kompletne rozbicie wszystkiego, co miało jakikolwiek związek z ugrupowaniami radykalnemi, lub centrowemi, konsekwentna walka z Traktatem Wersalskim w kierunku obalenia traktatu i wytężenia propagandy wojennej pod hasłem nacjonalizmu i walki z tymże Traktatem Wersalskim.

Ale nie na tem koniec akcji „narodowo-socjalistycznych" Niemiec. Bo równolegle do tych poczynań wewnętrznych, rząd Hitlera prowadzi intensywną kampanję na terenie międzynarodowym — o oficjalne prawo „równości" zbrojeń. Zresztą nie przeszkadza mu to bynajmniej w budowaniu już dziś wielkiego aparatu wojennego, opartego przedewszystkiem na dwóch, podstawowych elementach walki: lotnictwie i broni chemicznej.

Równocześnie z odrodzeniem siły Niemiec, widzimy upadek potęgi Ligi Narodów, tej instytucji, która, wedle swych szlachetnych założeń, miała odgrywać rolę „parlamentu świata". Wykorzystując niezgodę w dawnym „obozie wersalskim" — Włochy i Niemcy parły do tego, by, na gruzach Ligi, stworzyć nowe „ciało międzynarodowe", które w składzie 4 mocarstw (Anglja, Francja, Włochy i Niemcy) miałoby rządzić całą Europą, bez pytania przytem o zgodę innych państw zainteresowanych. Zresztą sławetny ów Pakt Czterech w praktyce nie został zrealizowany, mimo usilnych zabiegów Włoch i Anglji i choć reszta Europy nie przeciwstawiała się temu zamachowi na swą samodzielność.

I oto — okazało się, że jedynie Polska, która po męsku zaprotestowała przeciwko wszelkim usiłowaniom narzucenia sobie jakichkolwiek decyzyj bez swej zgody — prowadzi na terenie międzynarodowym przewidującą i konsekwentną politykę, zgodną z duchem pokoju, godną wolnego i samodzielnego państwa.

Nie przeszkodziło to nam jednak bynajmniej szukać dróg porozumienia i zbliżenia na terenie międzynarodowym, przedewszystkiem zaś z bezpośrednimi naszymi sąsiadami. I oto pomiędzy Polską i Sowietami zostaje podpisany pakt, określający pojęcie napastnika, a odpowiadający umowie o wzajemnej nieagresji.

Z tą chwilą na Wschodzie Europy następuje radykalne a trwałe odprężenie, a stosunki współpracy sąsiedzkiej pomiędzy Polską i Sowietami poczynają się coraz bardziej zacieśniać, stając się ośrodkiem zbawiennego uspokojenia dla podnieconej opinji międzynarodowej.

Wkrótce potem następuje ze strony Polski drugi, doniosły dla pokoju Europy, akt dobrej woli: zostaje nawiązane bezpośrednie porozumienie pomiędzy naszym rządem, a rządem niemieckim, poparte wzajemnem oświadczeniem o tem, że wszelkie sprawy pomiędzy obu państwami będą załatwiane bez użycia siły. Wreszcie — Polska nawiązuje przyjazne stosunki z Gdańskiem, wynikiem czego jest zawarcie szeregu umów, regulujących sporne dotychczas kwestje.

Nie zmienia się przytem nasz stosunek przyjaźni do sprzymierzonej Francji, czy Rumunji, kontynuujemy też, a nawet zacieśniamy, naszą współpracę ze słowiańskiemi państwami za naszemi południowemi granicami, czy też z sąsiadującemi z nami od strony Północy krajami Bałtyckiemi.

I to są wielkie sukcesy polskiej racji stanu, wykazujące, jak trafne i przewidujące były posunięcia naszego rządu na terenie polityki międzynarodowej. Swoją pracą ubiegłego roku Polska przysłużyła się sprawie pokoju powszechnego daleko lepiej, niż tonące od wielu lat w papierowej powodzi nierealizowanych projektów i przysłonione wieczną mgłą tajemnic zakulisowych, bezpłodne genewskie ciała „współpracy międzynarodowej". A z drugiej strony — Polska stwierdza wszędzie dobitnie i twardo, że pragnąc pokoju i pracując dłań jaknajszczerzej — nie ustąpi nigdy ani odrobiny ze swego stanu posiadania i że wszelkie, czyjekolwiek zakusy na jedną piędź nawet polskiej ziemi, spotkają zdecydowany odpór całego narodu, gotowego bronić do ostatniej kropli krwi swych praw najświętszych.

* * *

Jeżeli rok 1933, feralny dla całego świata, czwarty rok kryzysu, Polsce przyniósł na terenie międzynarodowym wielki wzrost autorytetu i konkretne zdobycze — to szło to w parze, a poniekąd było wynikiem tej usilnej i owocnej pracy, jaką rząd prowadził wewnątrz państwa.

Jak na całym świecie, kryzys gospdarczy dawał się odczuwać dotkliwie i u nas. A jednak, mimo, że pod ciosami tej klęski gospodarczej nawet stare, zagospodarowane i bogate państwa chwiały się na trzeszczących coraz groźniej, nadwyrężonych fundamentach — Polska przetrwała zwycięsko ten czwarty, najcięższy bodaj rok kryzysowy. I nietylko przetrwała, ale z dotychczasowej, skutecznej defenzywy przeszła do niemniej skutecznego kontrataku na odcinku życia gospodarczego.

A więc przedewszystkiem — rząd pchnął na nowe tory prowadzoną dotychczas systemem bezprodukcyjnych zasiłków, pomoc dla bezrobotnych. Wprawdzie bezrobocie, nieodłącznie towarzyszące innym przejawom kryzysu, w Polsce nawet w części nie osiągnęło (na szczęście!) tych zawrotnych cyfr, co w takich np. Ameryce, Anglji, czy Niemczech, to jednak rzesza naszych bezrobotnych była duża, a udzielana jej pomoc stanowiła dotkliwy, a niemniej przeto nieunikniony

ciężar społeczny. I właśnie w r. 1933 stan ten uległ radykalnej zmianie. Stworzony został Fundusz Pracy, który, gromadząc odpowiednie kapitały, uruchamia wielkie roboty publiczne dla zatrudnienia bezrobotnych, przeprowadzając najpotrzebniejsze inwestycje, jak budowa dróg, regulacja rzek i t. p. prace, w których robocizna pochłania większość kosztów.

W ten sposób, przy daniu pracy wielotysięcznym rzeszom bezrobotnych, równocześnie kraj otrzyma szereg pożytecznych, na szeroką skalę zakrojonych, inwestycyj. Należy do nich w pierwszym rzędzie budowa kolei Radomskiej, rozpoczęta już, jako pierwsza z serji wielkich robót publicznych Funduszu Pracy. Oczywiście, Fundusz Bezrobocia nie zawiesił swej akcji, udzielając doraźnej pomocy bezrobotnym, których nie obejmie Fundusz Pracy.

Gdy się mówi o inwestycjach, nie można pominąć doniosłego faktu ukończenia w r. 1933 budowy kolejowej linji średnicowej w Warszawie, która stanowi dla naszego kolejnictwa dorobek niezwykłej doniosłości, europeizując, skracając i upraszczając komunikacie tranzytową przez Polskę ze Wschodu na Zachód i z Północy na Południe. Drugą taką inwestycją, na wielką miarę zakreśloną, jest dokonana w r. 1933 w Londynie przez ob. min. Koca tranzakcja wielkiej pożyczki angielskiej dla Polski na elektryfikację kolei węzła warszawskiego, a ewentualnie i na rozbudowę naszej sieci elektrycznej. Pożyczka ta świadczy równocześnie o wielkim wzroście autorytetu Polski zagranicą i zaufaniu do naszej gospodarki ze strony nawet tak ostrożnego kontrahenta, jakim jest kapitał angielski.

Lecz uwieńczeniem niejako skutecznej walki z kryzysem i jego skutkami na polskim terenie było rozpisanie przez rząd ob. premjera Jędrzejewicza Pożyczki Narodowej. Pożyczka ta miała być użyta na pokrycie niedoboru budżetowego, a równocześnie miała przysporzyć rządowi odpowiednich funduszów na ożywienie życia gospodarczego kraju. Otóż, w miesiąc zaledwie po rozpisaniu pożyczki, która opiewała na 120 miljonów złotych, społeczeństwo ofiarowało Państwu samorzutnie i dobrowolnie sumę trzykrotnie większą! To olbrzymie powodzenie pożyczki, której hasłem było: Pomóżmy Państwu wyjść z trudności kryzysu światowego własnemi siłami, bez uciekania się do pomocy obcych!—było również wielkiem zwycięstwem moralnem Polski i jej rządów w opinji całego świata. Dało to świadectwo siły żywotnej naszego Państwa, jednolitości całego narodu polskiego i jego zaufania do rządów, przeprowadzających program odrodzenia i rozbudowy Polski, nakreślony przez Marszałka Piłsudskiego.

Na odcinku gospodarczym nie kończy się jednak ta wielka praca, jaka dokonała się w Polsce w r. 1933. Sięgnęła ona i do dziedzin duchowych, a przedewszystkiem — do wielkiego zagadnienia wychowania młodych pokoleń przyszłych obywateli Rzplitej. Dziedzina ta leżała dotychczas odłogiem. Pokolenie, które pod wodzą Józefa Piłsudskiego, wywalczyło Polsce niepodległość, zbyt było pochłonięte utwierdzaniem bytu wolnego państwa, by zwrócić należytą uwagę na ten właśnie odcinek pracy. Skorzystali z tego skwapliwie ci, którzy najmniej przyczynili się do odbudowy wolnej ojczyzny, ale zato rozparli się w niej łokciami, traktując ją, jako swoją wyłączną i prywatną własność. I zachwaścili życie naszej młodzieży, jej rozwój duchowy, zgubną trucizną rozpolitykowania, fałszowaniem historji walki o niepodległość, duchem reakcji. Z wyższych uczelni, ba — ze szkół średnich, usiłowano uczynić twierdzę roboty antypaństwowej, bądź też własne podwórko partyjne.

I oto w r. 1933 stan ten skończył się wreszcie. Minister oświaty, ob. premjer Jędrzejewicz przeprowadził ustawy o reorganizacji szkolnictwa, o wyższych uczelniach. Niezdrowy duch polityki został ze szkół usunięty raz na zawsze. Szkoła polska odtąd będzie służyła jedynie nauce i państwu!

Ta przebudowa społeczeństwa odbywała się w r. 1933 i w innym kierunku. Na podstawie nowej ustawy o samorządzie, równocześnie w różnych dzielnicach kraju przeprowadzono wybory samorządowe. Po długich latach istnienia najróżnorodniejszych dziwolągów i anomalij samorządowych, wykwitłych na niezdrowym gruncie chaosu różnych przepisów samorządowych, pozostałych po zaborcach — powstaje jednolity, zastosowany do potrzeb gospodarczych gminy i interesów państwa, samorząd polski. Nie wszędzie jeszcze wybory te odbyły się — ale już dziś można stwierdzić, że zdrowa myśl gospodarcza i państwowa walnie zwyciężyły, że wybory te wygnały z gospodarki gminnej szkodnictwo partyjne.

I jeszcze jedno, najdonioślejsze zresztą wydarzenie, jakie nam przyniósł rok 1933. Wniesiony został projekt nowej Konstytucji, zupełnej przebudowy ustroju państwa, przebudowy, opartej na zdrowej myśli o Polsce mocarstwowej, o koniecznem wzmocnieniu władzy organów naczelnych państwa, o przystosowaniu jego organizacji do jego potrzeb, a nie do interesów grup i koteryj, czy też chwilowych konjunktur politycznych, jak to było z dotychczasową Konstytucją. Nowy rok wschodzi nad Polską pod szczęśliwą gwiazdą tej właśnie przełomowej zmiany, jaka ma się w nim dokonać dla dobra Polski. Rozpoczyna się pod znakiem dalszej pracy dla państwa, choćby kosztem chwilowych ofiar i wyrzeczeń się. Bodźcem w tej pracy i zachętą będzie nam przykład całego życia Komendanta Piłsudskiego, który, dokonawszy gigantycznego dzieła zdobycia dla narodu polskiego wolnego bytu państwowego, podjął nową, olbrzymią pracę rozbudowy wielkiej, potężnej, mocarstwowej Polski. My, Peowiacy, do tej pracy i tej ofiary stajemy pierwsi — krwią swą i potem bowiem w walce o Niepodległość zdobyliśmy sobie to zaszczytne miejsce **zawsze pierwszych w obowiązku służby dla Ojczyzny!**

Tak też będzie i w roku 1934-ym...

J. L.-D.

Z okazji Nowego Roku

wszystkim Prenumeratorom, Czytelnikom i Przyjaciołom „Peowiaka" składa życzenia

REDAKCJA

JANUSZ LUBICZ

KRWAWY DZIEŃ WARSZAWY

Wspomnienia z przed 16-tu lat

8 grudnia 1917 roku...

Cóż to za data, tak stosunkowo niedawna, a tak nic, zda się, nie mówiąca? Ano, widocznie nie zapisała się niczem szczególnem w kronice dziejowej, skoro nie utkwiła w pamięci ludzkiej, mimo, iż to dopiero 16 lat minęło od tej chwili — powie sobie czytający te słowa. A jednak, dzień ten zapisał się krwawemi głoskami w historji Warszawy — i nietylko Warszawy!

Rok 1917 przyniósł Polsce zmęczonej trzyletnią już wówczas wojną, a w znacznej części kraju i dwuletnią okupacją, gorzkie rozczarowanie. Oto, po szumnych zapowiedziach, po ogłoszeniu przez Niemców dn 5 listopada 1916 r. „niepodległości" ówczesnej Kongresówki, przyszedł Traktat Brzeski, którym państwa centralne wespół z bolszewikami dokonały właściwie czwartego rozbioru ziem polskich. A potem przyszedł kryzys przysięgowy Legjonów, przyszło uwięzienie Komendanta Piłsudskiego w Magdeburgu przyszły masowe aresztowania i internowania Peowiaków i Legjonistów. Na polski ruch niepodległościowy spadał cios za ciosem — i Niemcy pewni byli, że zdławią w ten sposób wszelką myśl niezależną wśród społeczeństwa polskiego, przez oderwanie Komendanta i jego współpracowników od wojska i Polskiej Organizacji Wojskowej — „unieszkodliwią" skutecznie wzrastający z dnia na dzień narodowy ruch orężny.

Już bowiem od szeregu miesięcy Beseler i jego pomocnicy otrzymywali z całego kraju raporty o groźnym dla państw okupacyjnych rozwoju P. O. W., której doniedawna nie doceniali, jako zwykłej „cywilbandy". Lecz już pierwsze, masowe wystąpienia peowiackie, jak pamiętna defilada przed Piłsudskim na placu Małachowskiego, jak wielkie manewry na błoniach Mokotowskich i Skaryszewskich, jak ćwiczenia i zbiórki Peowiaków w okręgach i garnizonach prowincjonalnych — wykazały Niemcom, że P. O. W. jest niebezpieczeństwem, którego niewolno lekceważyć. Ale — już było zapóźno. Organizacja zbyt się rozrosła, zbyt wielkie i wyrobione stworzyła kadry oficerskie i podoficerskie, a równocześnie, zbyt popularna i otoczona nimbem czci powszechnej, posłuchu i zaufania była już w całym Narodzie postać Komendanta Piłsudskiego, aby prowadzony przez Niego ruch niepodległościowy, dał się przekreślić takiemi, czy innemi represjami. Rozbity okręg, czy obwód P .O. W., przez uwięzienie komendantów, odradzał się wkrótce, prowadzony przez innych ludzi, pod innym adresem, oczywiście — lepiej zakonspirowanym, niż poprzedni. Ruch stał się może przejściowo mniej masowy, mniej się uzewnętrzniał, ale zato szedł głębszym nurtem, bardziej skondensowany i zdecydowany. Rozpoczęła się faza przygotowań do zbrojnej rewolucji przeciwko Niemcom i Austrji.

W całym kraju zbierano i magazynowano broń, prowadzono wywiad i akcję dywersyjną przeciwko garnizonom i posterunkom wojsk okupacyjnych. Coraz to dochodziło tu i ówdzie do starć i demonstracyj, a kroniki niemieckich sądów polowych z tego okresu obfitują w nazwiska Peowiaków, skazanych na śmierć, czy więzienie w twierdzach i obozach.

I w takim właśnie nastroju wzajemnej walki bez pardonu kończył się krwawo zapisany w naszej historji rok 1917.

*

Był grudzień. Z dalekiego frontu nadchodziły niepewne i sprzeczne wieści o krwawych bojach armij centralnych ze sprzymierzonemi. Oczywiście, jawna prasa polska mogła podawać tylko szumne komunikaty sztabu niemieckiego o ciągłych wielkich zwycięstwach. Jednak, drogą bardzo ciernistą i okólną, przedostała się czasem wieść z wyczerpanych wojną i wygłodzonych Niemiec, czy Austrji.

Nadchodziły też i wieści bliższe, bardziej bezpośrednie. O tragedji Beniaminowa i Szczypiorna, gdzie cierpiały coraz straszniejszy głód i poniewierkę rzesze „krnąbrnych Legjonistów", którzy nie chcieli przysięgać na wierność „wielkodusznym monarchom państw centralnych".

I oto, dla zaprotestowania przeciwko temu, dla wyrażenia koleżeńskiej solidarności uwięzionym, dla stwierdzenia, że Naród Polski nie zrezygnował ani na chwilę z walki o Niepodległość — na dzień 8 grudnia 1917 roku została zarządzona w Warszawie demonstracja przeciwko Niemcom.

Zimny, pochmurny poranek. Dość liczni, świateczni przechodnie śpieszą do kościołów. Na placu Zbawiciela gromadzą się coraz liczniejsze grupy młodzieży, przeważają czapki studenckie. Wkrótce jest już tłum, złożony z kilkuset ludzi. Tłum napozór bezładny, ot, takie sobie zwyczajne zbiegowisko. Lecz baczniejszy obserwator mógł bez trudu zauważyć, że ktoś tym tłumem kieruje, że wśród zebranej rzeszy istnieje jednak ścisła łączność ba — wojskowa dyscyplina. A takich obserwatorów było wówczas wielu, po Warszawie grasowały setki agentów z „tajniaka" niemieckiego.

Więc, gdy na cichy rozkaz, ulicą Marszałkowską, w stronę Ogrodu Saskiego, ruszyli demonstranci, sformowani już w karne szeregi — policja i żandarmerja niemiecka były już zaalarmowane i zmobilizowane w pogotowiu bojowem na szlaku pochodu peowiackiego. Już przy ulicy Koszykowej maszerującym zastąpiły drogę pierwsze, silne posterunki niemieckie, lecz wśród przeciwniemieckich okrzyków Peowiaków cofnęły się pośpiesznie pod naporem zwartych szeregów.

Główna najbardziej dramatyczna faza walki, rozegrała się na zbiegu ulic Marszałkowskiej i Hożej. Tu Niemcy przygotowali już większe siły: policję i żandarmerję pieszą, a w odwodzie — i konną. Peowiacy jednak parli dalej naprzód, niepowstrzymani widokiem bliskiego i groźnego niebezpieczeństwa, jeżeli się zważy, że jedyną „bronią", jaką posiadał ten i ów, były... laski. Starcie było nieuniknione.

Ze strony demonstrantów padały okrzyki: „Precz z Niemcami! Precz z Beselerem! Niech żyją Legioniści w Szczypiornie i Beniaminowie! Niech żyje Dziadek!" śpiewano „Rotę" i pieśni legionowe. Niemcy oczekiwali w milczeniu, aż czoło maszerującej kolumny doszło do ich szeregów.

„Stać! Rozejść się!" — rozkazy oficerów policji niemieckiej nie wywarły żadnego wrażenia. Niemcy zakołysali się pod naciskiem Peowiaków, padła ostra niemiecka komenda. Z obnażonemi pałaszami rzucili się na demonstrantów. Zaświszczały szable i laski. Ponad tłum wzbiły się okrzyki i jęki rannych. Było ich kilkunastu, w tem i Peowiaczki, ale i Niemcy oberwali porządnie.

Starcie na froncie całej szerokiej ulicy, zamieniło się w szereg zaciekłych zapasów w małych grupkach, pomiędzy pojedyńczymi Niemcami a Peowiakami. W tłoku i zamieszaniu policjanci i żandarmi nie mogli wykorzystać przewagi, jaką im dawała broń, której demonstranci nie posiadali. Peowiacy przytem stawili zacięty opór, waląc czem się dało, laskami, grudami zmarzłego śniegu, nawet gołemi rękami. Kobiety walczyły przytem narówni z mężczyznami, to też i wśród nich było kilka ciężko rannych i poturbowanych.

Na jezdnię padło kilku Peowiaków, zalanych krwią, kilku innych, brocząc nią również, wycofało się do dalszych szeregów, uchodząc przed aresztowaniem. Lecz i ciężej rannych nie pozostawiono bez pomocy. Korzystając z zamieszania, koledzy wynieśli lub uprowadzili ich z placu walki do sąsiednich domów, gdzie, przy pomocy mieszkańców ukryto ich przed Niemcami, jacy wkrótce rozpoczęli pościg i poszukiwania. Między innemi, kilku rannym udzielił schroniska pobliski XIII-ty komisarjat Milicji Miejskiej, na ulicy Hożej, dokąd też wezwano Pogotowie. Lecz, gdy tylko przed dom zajechała karetka sanitarna, zjawiła się natychmiast policja niemiecka, przeprowadzając w komisarjacie rewizję w poszukiwaniu Peowiaków. Milicjanci zdołali rannych wyprowadzić przez inną sień, korzystając z tego, że Niemcy nie obsadzili dostatecznie domu.

Nieopatrzonych odwieziono dorożkami do sąsiednich lecznic i lekarzy, gdzie otrzymali pierwszą pomoc.

Tymczasem policji niemieckiej, której na pomoc nadeszły silniejsze posiłki żandarmerji, udało się rozproszyć pochód. Kilkunastu Peowiaków aresztowano. To wszystko jednak nie powstrzymało większości od dalszej demonstracji. Doszło jeszcze w kilku miejscach, w Alejach Jerozolimskich, na Krakowskiem Przedmieściu, a nawet i na dobrze oddalonej ulicy Miodowej, do ponownych starć z policją i żandarmerją. Liczba rannych i ciężej poturbowanych wzrosła do kilkunastu, zwiększyła się również liczba aresztowanych.

Okupanci przywrócili na ulicach spokój, lecz przez najbliższy okres Warszawa mówiła tylko o tej krwawej sobocie, a wieści o niej, zresztą wyolbrzymione, poszły również, drogą plotki, równocześnie z wiadomościami, rozesłanemi pocztą konspiracyjną, na prowincję i do okupacji austrjackiej. Wzmogły się nastroje przeciwokupacyjne, wzrosł duch buntu w społeczeństwie. Wśród Niemców powstało zaniepokojenie. A o to przecież chodziło.

Krew, przelana przez Peowiaków w dniu 8 grudnia 1917 roku, nie poszła na marne, stała się jednem z ogniw tego łańcucha czynów, który zawiódł nas do 11-go listopada 1918 roku.

Ob. Mjr. Juljan Marulski-Piasecki

Podsekretarzem Stanu

Dekretem Pana Prezydenta Rzeczypospolitej został powołany na stanowisko Podsekretarza Stanu w Ministerstwie Komunikacji jeden z zasłużonych w walce o Niepodległość Peowiaków, obywatel mjr. dypl. inż. Juljan Piasecki (Marulski). Zaszczytna ta nominacja wywołała w najszerszych kołach peowiackich szczery i serdeczny oddźwięk, ob. Marulski-Piasecki bowiem był dobrze znany w naszej organizacji i do dziś dnia blisko z nią współpracował. Lecz znany nam wszystkim jest nietylko z tych ostatnich czasów, bo pamiętamy go dobrze z tych ciężkich lat, gdy, wśród trudów i niebezpieczeństw, w robocie konspiracyjnej, pracował ofiarnie dla Sprawy. Swą wytężoną, wydatną służbą zapisał się dobrze w karcie dziejów P. O. W., zdobywając sobie zarówno uznanie ze strony Komendy Organizacji, jak też mir i sympatję wśród kolegów-peowiaków.

Ob. wicemin. inż. mjr. dypl. Juljan Piasecki urodził się 13 lutego 1896 r. w Stanisławowie Mazowieckim (woj. warszawskie). Ukończył gimnazjum Górskiego w Warszawie w r. 1913. W ostatnich latach pobytu w szkole pracował w t. zw. „Wolnej Szkole Wojskowej", później w Strzelcu. W roku 1915 z chwilą powstania P. O W. na terenie Kongresówki wstąpił do organizacji i pracował aż do rozbrojenia Niemców t. j. do 1918 r. Skończył Szkołę Podchorążych i oficerską P. O. W. Jako podchorąży P.O.W. ob. wiceminister inż. Juljan Piasecki rozbrajał Niemców w Warszawie w 1918 r.

Będąc w służbie czynnej ob. wicemin. ukończył Politechnikę Warszawską w roku



1923. W wojsku podczas wojny dowodził kompanją pierwszego pułku piechoty Legjonów. Po wojnie, jako inżynier przeszedł do korpusu Inżynierji Saperów. W r. 1926 skończył Wyższą Szkołę Wojenną i jako oficer dyplomowany był wykładowcą Taktyki Ogólnej w Wyższej Szkole Wojennej, zaś od r. 1923 t. j. od ukończenia Politechniki Warszawskiej ob. wicemin. Piasecki był asystentem przy katedrze Dróg Żelaznych na Politechnice Warszawskiej, zaś od r. 1927 wykładał na Politechnice Warsz. sygnalizację i urządzenia bezpieczeństwa oraz wojskowe kolejki wąskotorowe. W r. 1931 mianowany dowódcą bataljonu 36 p. p. ob. wicemin. bierze udział w pracach Min. Komunikacji, współpracując z wydziałem 19 zabezpieczenia ruchu i z Biurem projektów i studjów. Jako rzeczoznawca sygnalizacji i urządzeń bezpieczeństwa uczestniczy w posiedzeniach Państw. Rady Technicznej Kolejowej. Ob. wicemin. napisał szereg artykułów z zakresu kolejnictwa, oraz wydał szereg prac taktyczno-wojskowych. Ob. wicemin. od r. 1923 do chwili bieżącej jest wykładowcą dróg żelaznych w Szkole Podchorążych Inżynierji.

Odznaczony jest: Virtuti Militari kl. V, Krzyżem Niepodległości, Krzyżem Walecznych (3 razy), Krzyżem Zasługi i szeregiem medali.

Nie wątpimy, że ob. wicemin. Piasecki na nowym posterunku pracy państwowej będzie otoczony powszechnym szacunkiem, a Rząd Rzeczypospolitej zyskał w ob. Piaseckim jednostkę wielkich zdolności i niepospolitej wiedzy.

ANDRZEJ TRZASKA

SAMORZĄD TERYTORJALNY

Rozbudowująca się Rzeczpospolita kończy z ustawowemi przeżytkami zaborczemi. Niepodległy naród obce normy prawne zastępuje własnemi, służącemi jego dobru i jego potędze. Po unifikacji sądownictwa, opierającego się doniedawna na trzech zaborczych kodeksach, przyszła kolej na **ustawę o częściowej zmianie ustroju samorządu terytorjalnego,** która, jakkolwiek częściowa, ma niesłychanie doniosłe znaczenie dla naszego życia gospodarczego. Gdy zaborcze ustawy samorządowe miały na względzie nie interes i potrzeby samorządu i społeczeństwa, lecz interes rządów zaborczych, to nowa ustawa samorządowa, zaprojektowana przez polski rząd i uchwalona przez polski Sejm i Senat ma na względzie interes i potrzeby polskiego samorządu i polskiego społeczeństwa. Temu celowi służąc, jest zwarta i konsekwentna, przytem nie krępuje inicjatywy społecznej. Ogromną jej zasługą jest wprowadzenie jednolitego ustroju gminy wiejskiej, której komórką organizacyjną jest gromada z jej radą gromadzką i która zkolei przez swych mandatarjuszy wchodzi do wyżej zorganizowanego ciała samorządowego — rady powiatowej.

Nowa ustawa wyraźnie zmierza, aby na całym obszarze państwa istniały gminy o jednolitym ustroju, na tyle silne i zasobne, by zdolne były do spełniania zadań ciążących na gminie. Gmina wiejska stanowi fundament administracji nietylko samorządowej, ale i rządowej.

Pamiętamy dotychczasowe wybory do gmin wiejskich i miejskich, oparte na dawnych przepisach wyborczych, zawsze pełne demagogicznego przelicytowywania się stronnictw, partyj i partyjek, wrazie zwycięstwa uważających samorząd za swoją domenę. Nowa ordynacja wyborcza do rad miejskich, wprowadzając głosowanie imienne na nazwiska kandydatów umieszczonych na listach, a nie na listy, jak dotychczas się praktykowało, oraz zezwalając wyborcy na oddanie swoich głosów, przypadających na okręg (obwód) wyborczy, jednemu kandydatowi, skutecznie się temu partyjnictwu przeciwstawi, gdyż do rad miejskich wejdą w pierwszym rzędzie ludzie cieszący się powszechnym szacunkiem, znani ze swych walorów moralnych i fachowych. Nie bez znaczenia będzie tu również przesunięcie cenzusu wieku, bowiem w nowej ustawie obywatel polski nabywa prawa czynnego wyborczego po ukończeniu 24 lat, a biernego — po ukończeniu 30 roku życia. Ludzie dojrzali, doświadczeni niełatwo dadzą się wziąć na lep demagogji, co oczywista rzecz wyjdzie na pożytek interesom gmin i ich ludności.

Nie co innego, tylko ten pożytek miał na myśli ustawodawca, gdy okres kadencji rad gminnych i miejskich przedłużył do lat pięciu, ustanowił burmistrzów i prezydentów zawodowych, oraz rozgraniczył kompetencje organu stanowiącego, którym według ustawy, jest rada gminna i miejska — i organu zarządzającego, którym jest prezydent miasta i wiceprezydenci, lub burmistrz, wójt i podwójci. Przedłużenie kadencji zezwoli poszczególnej radzie miejskiej czy wiejskiej na opracowanie rozwojowego planu gospodarczego, a burmistrzowi, wójtowi zawodowemu da stałą podstawę pełnej realizacji swego zakresu działania, którą jakże często doniedawna niweczył po 3 latach, partyjny następca-demagog, byle byłoby żerowisko dla jego ludzi — słowem — koryto.

Rozgraniczenie zakresu działania organów uchwalających a wykonawczych dla sprawności gospodarki komunalnej, będzie miało ogromne znaczenie. Ileż to było tarć na tem tle, że radny, czy przewodniczący Komisji ingerował w urzędowanie zarządu, wnosił o to czy owo, zabierał czas, gdy sprawy nie cierpiące zwłoki wymagały natychmiastowego załatwienia. Dziś burmistrz czy wójt, według ustawy osobiście odpowiedzialny za całość powierzonej sobie gospodarki — nie zezwoli na nic podobnego, chodzi bowiem o uproszczenie, o usprawnienie pracy z objektywną korzyścią ogółu. Wszystkie sprawy bieżące załatwia jednoosobowo, nie czekając na zebranie zarządu, który głównie decyduje w sprawach, stanowiących przedmiot obrad rady miejskiej czy gminnej. To też z uwagi na to prezydent, czy wójt, obdarzony tak szerokiemi kompetenciami, odpowiedzialny osobiście za całość gospodarki, będzie musiał posiadać ustawą przewidziane kwalifikacje fachowe i intelektualne, których poprzednio nie wymagano.

Należy jeszcze podnieść, że nowa ustawa samorządowa gwarantuje w większym stopniu niż dawne samodzielność związków samorządowych; porządkuje stosunki terytorjalne, gdyż odtąd każda piędź ziemi, każda nieruchomość będzie wchodziła w skład gminy czy gromady; nadto ustawa ta normuje w racjonalny sposób nadzór państwowy nad samorządem jednolicie określając wypadki, w których władze nadzorcze mogą usunąć z urzędu wójta, burmistrza czy prezydenta. Dawniej w tej mierze panowała dowolność, dziś — zagrożony usunięciem przełożony gminy, ma prawo obrony składania wyjaśnień, powoływania świadków i t. d.

Że społeczeństwo polskie zrozumiało zalety nowej ustawy samorządowej, najlepszym dowodem są wyniki wyborów do rad miejskich, przeprowadzonych na terenie Małopolski i w Poznańskiem. Lista Nr. 1, prorządowa, idąca do wyborów z hasłem **własnemi siłami — do dobrobytu,** odniosła bezwzględne zwycięstwo. W Poznańskiem i na Pomorzu obóz prorządowy na 1872 mandatów zyskał 907 mandatów, w województwach południowych 1506 mandatów na ogólną ilość 2040, co wynosi 74% wszystkich mandatów.

W Poznańskiem trzyma się jeszcze endecja, na Pomorzu natomiast poniosła klęskę. Klęska ta w Małopolsce stała się poprostu katastrofalną. Nie pomogły najperfidniejsze posunięcia taktyczne, metody oszczerczej walki; wszędzie wyborcy poszli za głosem obywatelskiego sumienia, głosując na kandydatów listy Nr. 1, która wysunęła przy wyborach platformę ściśle gospodarczą, nie jako obietnicę wykonania jakiegoś programu, a realnie osiągalną nawet w granicach trwającego kryzysu.

Dotychczasowe rezultaty wyborów komunalnych każą przypuszczać, że i na innych terenach lista Nr. 1 odniesie zwycięstwo. Jak w Małopolsce i na Pomorzu, nie pomogą fałszywe wersje politykierów, że komisje unieważniają listy opozycyjne, gdy listy rozmyślnie były składane nieformalnie dla zamaskowania własnej bezsilności, co musiało pociągnąć za sobą utratę społecznego kredytu.

GDY ZAJARZY SIĘ CHOINKA...

Wybierałem się na peowiacką Wigilję, by tam zebranym powiedzieć. Nie złożyło się. Więc oto wszem Peowiakom piszę...

Gdy w lata następne znajdziecie się przy wigilijnym stole, gdy zajarzy się choinka, gdy życzyć sobie będziecie „dosiego roku", wybiegnijcie myślą do czarownych mickiewiczowskich strof, wspomnicie ową ucztę przyjacielską w celi Konrada i ową pieśń:

> Bracia, rocznica! więc po zwyczaju,
> Niech każdy toastem spłaci.
> Ten pierwszy puhar święcim dla kraju,
> Drugi dlaległych współbraci!...

I gdy już uczcicie wolną ziemię ojczystą, jej Wybawcę, a naszego Wodza, to wmyślcie się w tragedję lat, tak niedawno minionych, wspominajcie tych, którzy ległszy w walce nie doczekali nawet swojej wigilji — i tych którzy, skłuci bagnetami, czy tłuczeni kolbami w mroźny dzień 8.XII 1917 r. legli na twardych szpitalnych łożach, nim nadszedł wigilijny dzień, i tych, którzy puchli od brukwi i „mehl-zupy" w obozach, czy więzieniach niemieckich w ów dzień radości i pojednania — kolegów naszych.

* * *

Opowiadał mi taki jeden.

Nazywał się Staszek Michalicki — zwaliśmy go: Marek Dowmunt. Przyskrzynili chłopa szwabi na dywersji w Sochaczewie i zamknęli w celi-pojedynce więzienia w Łowiczu. Miał wtedy pewno 18 lat.

— Anim wiedział — powiada, — że to Wigilja.

— Przyszło na mnie jakieś zamroczenie.. Siedziałem już dłuższy czas pod śledztwem, trzymając nerwy w bezustannem napięciu, by czegoś niepotrzebnego nie chlapnąć. Szwabi tłumaczyli, prowokowali, grozili — ja nic.

Pokazują fotografję.

— Tych pan zna?

We mnie się coś rwie, łamie... Swoi chłopi! Ale zaciskam zęby, ścinam się...

— Nie.

— Na zbiórkach pana widzieli.

Śmieję im się w nos, twierdząc, że nic i o niczem nie wiem.

— Pan do obozu pojedzie!!

— Pan zczernieje jak święta ziemia!!!

Ja nic.

I tak dzień w dzień.

Po tem wszystkiem dali przez szereg dni spokój. I to było najgorsze. Nie mogłem wyrozumieć, co knują, czem mi znów dopiekać będą. Najpierw podniecenie, niepokój, oczekiwanie czegoś — co się przewidzieć nie da. A tu nie dzieje się nic. I teraz przyszła apatja. Mogłem przeleżeć na pryczy cały dzień z oczyma wbitemi w sufit, nie myśląc absolutnie o niczem. To jest najstraszniejsze, bo albo się potem we łbie coś popsuje i przestaje klapować, albo gorzej — wola w człowieku, charakter rozkleją się na nic i wtedy sypiesz — nie wiesz sam kiedy i jak.

Właśnie mnie to napadło.

Leżę dzień, drugi... We łbie pusto, jak w stodole na przednówku.

Zapada noc.

Na górze, nad moją celą, koniokrady i inni zbrodniarze coś wykrzykują, ale nie rozumiem nic, bo to zima, okienko zamknięte. I co mnie to zresztą obchodzi.

Naraz poprzez owe wrzaski wdziera się do mych uszu dźwięk, jakby kto żelazne garnki przerzucał...

Glok... glok... glok!... glok... glok... glok...!, słyszę najwyraźniej. I znów to samo, rytmicznie: trzy uderzenia... i znowu trzy... i znowu! Co to jest?

Ktoś w zbity garnek dzwoni?!

A w celi ogólnej nademną dzieje się coś niesamowitego! Jakiś bek! I naraz... Co?... co?...

„Bóg się rodzi! Moc truchleje!"...

Ależ najwyraźniej... słowa kolendy!

W mózgu kotłuje, coś, wre!

Co ja przeżyłem w tej chwili!!... Majaki... zwidy... dziwy!...

Choinka, wigilijny stół... Matka, ojciec nieboszczyk, babka uczestniczka powstania... Biały, jak śnieg opłatek!...

Rany boskie! toż to wigilijna noc. Toż na pasterkę w żelazną sygnaturkę dzwonili, bo spiż szwabi zabrali!

Jezu żywy! Który się rodzisz! Wielki nauczycielu miłości i zbratania!...

I naraz powstał we mnie jakiś szalony bunt.

— A tu co?... Za co? Za walkę o wolność tego szmata ojczystej ziemi, o prawa tego narodu od półtorawiecza jęczącego w niewoli?!

Myślałem, że oszaleję, że mi serce pęknie. Tłukłem łbem o zimne ściany celi i nawet bólu nie czułem.

Aż otrzeźwiałem, aż zestaliła się moja wola, aż zdało się, że mięśnie zwarły się w jednolite twarde bryły głazu.

I teraz duch mój uniósł się „per aspera ad astra!".

Usta bezwiednie jęły szeptać coś, jakby modlitwę:

— Wierzę, że nim minie rok!... — mówiłem w przestrzeń.

Urwał.

Po chwili podjął znowu.

— W styczniu 1918 r. puścili mię Niemcy pod nadzór policji. Wigilijna noc ocaliła mnie!

Łza zakręciła mu się w oku. Pokrył ją jakimś filuternym uśmiechem.

— A następną wigilję spożyłem już w *wolnej Ojczyźnie!*

* * *

Powtarzam Wam: ilekroć przyjdzie ta noc, wspomnijcie o męczennikach owych. Okiem wyobraźni zajrzyjcie do izb — tych z 1917 r., gdzie nad „ersatz"-opłatkiem, przy łojówce nad kromką chleba z kasztanów i miską peluszki siedziały one: nasze matki, siostry, żony, krasząc swą, jakże nędzną, wigilijną wieczerzę, gorzką łzą wylaną w głębokiej trosce o los kraju i nasz. I wtedy znów w myśl mickiewiczowskiej pieśni trzeci toast — zdrowie „branek... sióstr naszych, matek, kochanek" zespólcie z drugim i z serca całego mocą piersi całej huknijcie, aż po Polsce, jak długa i szeroka echo poniesie:

— Poległym na polu chwały, zmarłym z ran i w głodowych mękach, uczestniczkom i uczestnikom walki o niepodległość — wieczysta chwała! Żyjącym po wsze czasy cześć!

Stanisław Bohdan Kulesza.

ALFONS DZIĘCIOŁOWSKI

NASZ POETA

Józef Mączka.

Za lat dwadzieścia — jestem tego pewien — będą pisać o nim jak o Cyprjanie Godebskim. Wyznaczą mu miejsce w literaturze, dzieciom szkolnym wiersze jego przekażą. Bo u nas dopiero proch zetlały asymiluje. Trzeba się dobrze w grobie odleżeć, żeby zasłużyć na szacunek tych, którzy dla żywego szacunku nie mieli. Tacy już jesteśmy. Zresztą może dzieje się tak wszędzie.

Jeśli marzeniem Krasińskiego był poeta, którego słowa nie kłamałyby czynowi, to marzenie autora „Nieboskiej" najpełniej zrealizował Józef Mączka. Nietylko „płynął przez niego strumień piękności", ale i on sam był „pięknością". Wszystko, co napisał, swojem życiem najsumienniej poświadczył. „Ukochaniu najczystszych snów, Ojczyźnie Drogiej" pozostał wierny do ostatka.

Głębokie wzruszenie ogarnia, gdy po latach szesnastu bierze się do ręki jego jedyny tom wierszy, z przedświtowych akordów Zygmunta zrodzony, żarem poezji, romantycznej i ogniem własnego uczucia przepalony.

Starym Ojców naszych szlakiem —
przez krew — idziem ku Wolności!...
Z dawną pieśnią — dawnym znakiem —
my — żołnierze sercem prości,
silni wiarą i nadzieją...
że tam, kędyś, świty dnieją.

Mimo, iż słowa te pokryte są patyną rytmów Krasińskiego, brzmią bezpośrednio, szczerze, potwierdzone własnym, żołnierskim czynem. I z tej też przyczyny, mimo najszlachetniejszych wpływów poezji romantycznej, Józef Mączka w każdym wierszu jest sobą. Wszystko w nim jasne, proste, arcyludzkie.

Kiedy był nieletniem chłopięciem, jak każdemu chłopięciu polskiemu, śniła mu się husarja i ułany samosierskie, a kiedy wybiła godzina Legjonów, on dwudziestoparoletni mężczyzna, w przeciwieństwie do wielkiej masy swoich rówieśników, pozostał wierny chłopięcemu marzeniu. Stając do walki w polu, śpiewał:

Wyśniła mi się szabla i ułańskie czako,
i legjony zwycięskie pośród obcej niwy,
i wszystko, co marzyłem, przyjęło kształt żywy,
chociaż może niezawsze — niezawsze jednako.

Zdawał sobie sprawę, że pozycja Legjonów Piłsudskiego była stokroć trudniejsza od pozycji legjonów Jana Henryka Dąbrowskiego.

Józef Mączka kochał matkę swoją wyjątkową, głęboką miłością. Nie romantycznie, ale organicznie, po prostu, po chłopsku, jak się kocha swój zagon ojczysty. Nezapomniany ślad tej miłości zostawił w wierszu: „Matuli mojej", a przecież, prócz miłości do matki, na śmierć się zakochał w Ojczyźnie, przeto pisał do matki, jak do spartanki, aby nie rozpaczała, gdy synowie z wojny nie wrócą.

O, Matko, ucisz łzy i ból,
a pomyśl w onej chwili:
zapracowali się wśród pól,
toż słodko będą śnili.

Patos uczuć najprostszych brzmi w tych słowach.

Józef Mączka, jak każdy z nas, nie obcy był uczuciu miłości do kobiety, ale skoro ślubował Ojczyźnie:

A iż nie spocznę na żywot bezpieczny,
przysięgam Tobie na spoczynek wieczny,

łamiąc się z uczuciem erotycznem, śpiewał dziewczynie swojej:

Dziewczyno moja, wiedz,
nie mają mocy Twe czary,
nie będą lotów moich strzec
wspomnień mary!

. . . .

Zawojowała ci mnie wojna,
że jestem ninie jej, nie Wasz.

Takiego erotyku przed Mączką poezja nasza nie posiadała. Poeta-legjonista w czasie walki za Sprawę uczucie miłosne uważa za zbytek, za więź rycerskich lotów. Jest żołnierzem i tylko żołnierzem.

Oto bezprzykładne samowyrzeczenie się.

„Starym szlakiem" Józefa Mączki możnaby nazwać poetyckim pamiętnikiem żołnierza. Z szeregu powiedzeń możnaby ułożyć katechizm rycerski legjonisty, tak bardzo poetę zawojowała wojna. Tak oddał się jej bez reszty.

Śmierć nastraja poetę minorowo, jako coś, co kończy z człowiekiem raz na zawsze. Ale na polu walki uważa ją poeta za konieczność dopełnienia żołnierskiego obowiązku. Zwyciężyć lub zginąć.

„Polakiem umrzeć, dzierżąc broń" — oto najwyższy nakaz żołnierza.

Stąd też słowa poety do kolegi — legjonisty:

A wiedz, że z szarych twoich kości,
rzuconych w polu byle gdzie,
stawion jest pomost ku Wolności,
którą w przedśmiertnym marzysz śnie.

Zżyty ze śmiercią na polu walki, Józef Mączka nierzadko ma przeczucie własnego końca. Kiedy w wierszu do matki mówi:

nie przyjdzie — rzecze — brat ze żniw
całować Twoje dłonie...
powalił ci go sen śród niw
na zżętym hen zagonie!...

myśli o sobie. Proroczo również przeczuwa swój koniec, gdy pyta:

Zali na drogi połowie,
na twardym żołnierskim szlaku,
w nieznanych mogił orszaku
miękkie mi ścielesz wezgłowie?

Jakby majaczyła we mgle męczeńska śmierć w dalekiej stanicy paszkowskiej. Nie to jest wszakże najważniejsze. Nie to najsmutniejsze. Józefa Mączkę najwięcej smuci myśl, że może nie doczeka odrodzenia Ojczyzny, tej Ojczyzny, która zmartwychwstać musi:

Tylko nie wiem... gdy głowę położę znużony,
gdzieś wśród wrzawy wojennej — na krwawym [zagonie,
czy ujrzę w mgłach przedsennych—w słonecznej [koronie
koniec bajki czarownej... w dzieciństwie wyśniony.

I nie doczekał.



PAMIĘCI JÓZEFA MĄCZKI

POŚWIĘCAM

Nawet śmierć nie pogrąży w cieniu zapomnienia
bohaterstwa i zasług poety - żołnierza,
który umiał skojarzyć tęsknoty, marzenia
z czynem! Niech zostanie i jasna i świeża

Twa pamięć! Tyś podwójnym wawrzynem zdobiony,
Iżeś Polsce wciąż służył myślami wszystkiemi,
z obczyzny wracasz do nas, w swe rodzinne strony,
aby spocząć na własnej wyzwolonej ziemi.

Cyt! Niech nad tym Żołnierzem Polacy nie płaczą.
Niech się czernią ponurą ten pochód nie żali:
wszak powraca z tych jeden, co braciom - tułaczom
Ojczyznę wywalczywszy, wolną przekazali.

Z tych jeden, którzy dawne prawo odnowili,
że „dla szczęścia Ojczyzny umierać jest miło"...
Dlatego nam nie wolno w takiej ważnej chwili
przelewać łez powszednich nad świętą mogiłą.

Sylwja Borowska

ROMAN GUMIŃSKI

P. O. W. w powiecie lipnowskim

Na placu Małachowskiego w stolicy stanął symbol bohaterstwa i poświęcenia Peowiaków poległych w walce o niepodległość na wszystkich krańcach Polski.

Wśród nas, ich najbliższych towarzyszów broni; świadków ich ofiarności, męstwa i męczeństwa — pamięć o nich nigdy nie zaginie.

Jako dowód tej pamięci w ziemi płockiej stanął ich pomnik budowany własnemi rękami pozostałych przy życiu kolegów. Stanął bezpośrednio na ziemi mogilnej kryjącej ich groby.

Powstają takie pomniki i w innych ziemiach świadcząc o pamięci potomnych, stanowiąc dowód hołdu dla tych, którzy ofiarą z własnego życia okupili wolność współbraci. Ciąży na nas żywych jeszcze jeden obowiązek przekazać w słowie ich nazwiska i treść ich czynu potomnym.

*

P. O. W., które już na ziemiach Polskich zajętych przez Rosjan działała od 1914 r., na terenie lipnowskim rowzinęła się w pierwszej połowie 1915 r. Powiat lipnowski, jak inne, pokrył się gęsto siecią organizacyjną Komend Miejscowych i placówek, a mianowicie: Lipno, Dobrzyń n/W., Skępe, Karnkowo, Trzcianka Wielka, Wielgie, Tłuchowo, Kikół Czernikowo, Dobrzejewice, Lubicz, Działyń, Mokowo i Szpetal Dolny. Powiat dzielił się na dwa obwody, na czele których stali komendanci: Zenon Chmielewski, Władysław Smoleński, Wiprzycki, Kaczmarek i Ostrowski Janusz. Na czele komend miejscowych: Lucjan Giziński, Tadeusz Nowaliński, Józef Kuroczyk, Kazimierz Wodzyński, Wacław Bejger, Leon Ziółkowski, Ludwik Orszt, Henryk Dulczewski, Leon Pawłowski, Wojciech Gołębiowski, Stanisław Kępiński, Kalikst Michalski, Bolesław Rutecki, Leon Pączkowski i Jakielski. Ogólna liczba członków wynosiła 242. Przy obwodzie utworzony był oddział żeński (kurjerki): Jadwiga Poradzewska, Ludwika Lamparska, sekretarka obwodu Wanda Dzierżanowska, zaś łącznikiem obwodu— Władysław Turant. Zorganizowane było także Pogotowie Bojowe, składające się z t. zw. „szóstek", którego komendantem był Gustaw Olszewski. Powiat lipnowski podlegał Komendzie II Okręgu z siedzibą w Płocku. Komendantami Okręgu byli: Kussy (pseud.), Piotr Korczak, Dr. Dobaczewski, rotm. Chmielewski, a zastępcą przez cały czas Wł. Lenkiewicz. Przez pewien czas powiaty lipnowski i rypiński tworzyły jeden podokręg, którego komendantem był Zawadzki.

Praca organizacyjna i wyszkolenie odbywało się w trudnych warunkach najsurowszej konspiracji i w czasie twardych praw wojennych przy szczupłych funduszach płynących z ofiar bezinteresownych i cichych przyjaciół organizacji. Praca organizacyjna polegała na zbiórkach i ćwiczeniach polowych, pracy mobilizacyjnej, magazynowaniu broni, kolportażu i przygotowaniu ideowem, oraz przeciwdziałaniu werbunkowi do t. zw. „Wehrmachtu" (Polska Siła Zbrojna).

Znaczną pomoc okazywały organizacji: Liga Kobiet Pogotowia Wojennego z prezesową Arendt i pomocniczy Komitet Wojskowy obejmujący i powiat rypiński. Znaczniejszej pomocy finansowej udzielili członkowie tego Komitetu, jak: Leon Lissowski, Jerzy Siemiątkowski, Bolesław Pruski, Ludwik Chełmicki, Zygmunt Rzeszotarski, Ludwik Abczyński, Antoni Cissowski i inni.

W 1917 roku po uwięzieniu Komendanta Piłsudskiego, rozpoczęły się surowe represje okupantów, jak aresztowania (Jan Rozalski przebył 7 miesięcy w różnych obozach internowanych i więzieniach i wielu innych), rewizje i t. p., a w roku 1918 represje te wzmogły się.

W październiku 1918 r. P. O. W. rozpoczęła akcję dywersyjną, w wyniku której dokonano szeregu napadów na posterunki żandarmów niemieckich i oddziały rekwizycyjne, i niszczenia torów kolejowych. i przewodów telegraficzno-telefonicznych. Jednym z większych czynów dywersyjnych w powiecie była wyprawa na Trzciankę, w której zabito trzech żandarmów niemieckich. Organizowana była także na szerszą skalę akcja biernego oporu, a mianowicie: wstrzymywano i przeszkadzano rekwizycjom, dostawom kontyngentów, płaceniu podatków i t. p. W akcji tej zginął męczeńską śmiercią peowiak Bronisław Michalski z Dobrzynia n/W. Niezależnie od tego, w akcji dywersyjnej w związku z wyprawą na Trzciankę, został w Płocku rozstrzelany peowiak Gniazdowski Jan z Turzyny Wilczej, ponadto dokonano szeregu aresztowań peowiaków, nad którymi się w okrutny sposób pastwiono i czyniono ekspedycje odwetowe. W ten sposób między innemi zniszczono maj. Turza, którego właścicielem był peowiak Józef Kowalski, a gospodarzom zabrano inwentarz. W akcji burzenia mostu kolejowego na linji Steklin—Czernikowo, celem utrudnienia Niemcom wywozu majątku polskiego, ciężko ranny został peowiak Władysław Rygielski z Czerniówka, który przez pewien czas ukrywany przez właściciela maj. Łążyn, Gustawa Zielińskiego, a leczony potajemnie przez Dr. Maciejewskiego z Lipna, zmarł od otrzymanych ran.

A gdy przyszedł moment wyrzucenia okupantów, P. O. W. bierze w tem najczynniejszy udział, rozbrajając Niemców i nie pozwalając im nic z Polski wywieźć. Dzięki temu w ręce polskie wpada bogata zdobycz, jak magazyny z bronią i amunicją z ekwipunkiem wojskowym, aprowizacją i t. p. I tu nie obeszło się bez ofiar, gdyż przy wycofywaniu się oddziałów niemieckich, ginie w otwartej walce pod Lubiczem peowiak Kazimierz Trzaskalski, a kilku peowiaków w innych miejscowościach otrzymuje rany.

*

Głębokie korzenie zapuściła praca niepodległościowa w powiecie rypińskim (obwód 4-ty), podlegającym, jak wiemy, pod względem organizacyjnym wraz z powiatami lipnowskim, sierpeckim i płockim Komendzie II-go Okręgu P. O. W. w Płocku. Komendantami obwodu byli: Zygmunt Jagodziński, Roman Czarliński, Roman Gumiński, Stanisław Witkowski. Sekretarką obwodu — Zofja Gosiewska. Kierownikiem Sekcji pomocy internowanym i więzionym peowiakom-legjonistom — Henryk Gumiński. Komendantką oddziału żeńskiego — Marja Jagodzińska. Komendantem Pogotowia Bojowego — Antoni Sokalski. Komendantami miejscowymi: Wacław Kruziewicz i Stanisław Bocheński (Rypin), Zambrzycki (Dobrzyń n/Dr.), Strzelecki i Ignacy Szewczykowski (Skrwilno), Stanisław Wilczyński (Okalewo), Antoni Woźniak (Sadłowo), Alfred Nyke (Swiedziebnia), Tadeusz Kobierzycki (Rogowo), Zygmunt Wybawiński (Borzymin), Franciszek Sobociński (Cetki), Leon Brzuskiewicz (Róże), Henryk Jagodziński (Gulbiny), Wasilewski (Stalmierz). Przed rozbrojeniem Niemców obwód liczył 160 peowiaków.

Dużą pomoc w pracach P. O. W. w Rypinie okazywała Liga Kobiet Pogotowia Wojennego. Prezeską jej była Stanisława Mościcka. Kurjerkami były peowiaczki: Zofja Sokalska, Marja Wesołowska, Zofja Kolasińska, Janina Gończowa i Stanisława Serafińska.

Organizacja działała nader sprawnie, poczta i kolportaż funkcjonowały należycie, wszystkie rozkazy i instrukcje komend wyższych wypełniane były z całą gorliwością i zapałem, co świadczyło o pogłębieniu ideowem członków i ich poświęceniu.

Podczas represji okupantów w 1917 — 1918 r. internowani i więzieni byli peowiacy: Antoni Sokalski, Roman Gumiński, Wacław Kruziewicz, Ludwik Gawski, Witold Stawski, Irena Gumińska i Jan Pawłowski (ten ostatni przychwycony na granicy przy przemycaniu broni z Brodnicy).

Gdy przyszedł rozkaz biernego i czynnego przeciwdziałania okupantom, obwód rypiński staje na wysokości zadania, co

uwidacznia się między innemi we wstrzymaniu dostaw nakazanych. Gdy pewien sołtys zbyt usłużnie demaskuje przed władzami niemieckiemi tę akcję — przypłaca to swem życiem, ginąc z ręki P.O.W. Miało to posłużyć dla innych, którzyby podobną słabość wobec wroga okazali, za odstraszający przykład.

W akcji dywersyjnej bierze również i rypiński obwód żywy udział, a że obeszło się bez większych z naszej strony ofiar, zawdzięczać to należy sprawnej organizacji. Szpiedzy niemieccy, czując się bardzo niepewnie w Rypinie, raz po raz chronią się po drugiej stronie granicy, w Brodnicy. Mimo to ginie w połowie października 1918 r. żandarm z Gójska. Nadmienić należy również o żywym współudziale peowiaków we wszystkich ważniejszych akcjach społecznych, jak Rady Opiekuńcze, Straże Pożarne, Macierz Szkolna i t. p.

Podczas rozbrajania Niemców zdobyto: 78 karabinów, amunicję, dużo żywności, w Kasie Skarbowej przeszło pół miljona marek, tabor kolejki i t. p. Po rozbrojeniu Niemców komendantem obwodu rypińskiego został ppor. leg. Trojanowski zastępcą zaś jego i komendantem garnizonu podof. P. O. W. Roman Gumiński.

*

Po odzyskaniu Niepodległości peowiacy okręgu płockiego, a więc rypińscy i lipnowscy, tworzą kadry 32 p. p. w Ciechanowie, który odrazu w pierwszych walkach zapisuje się swem bohaterstwem i wytrwałością. Pozatem P. O. W. rypińskie i lipnowskie strzegła do stycznia 1919 r granicy polsko-niemieckiej.

W r. 1919 i 1920 peowiacy lipnowscy walczyli w szeregach armji polskiej, przyczyniając się do wytyczenia orężem granic Polski.

Obecnie wierni swemu sztandarowi peowiacy zorganizowani są w Związku Peowiaków, którego zadaniem jest: a) prowadzenie dalszej zbiorowej pracy nad utrzymaniem bytu i potęgi Rzeczypospoltiej i Jej rozwoju w kierunku demokratycznym, b) pielęgnowanie tradycji peowiackiej oraz zbieranie materjałów i opracowywanie historji P.O.W., c) udzielanie swym członkom pomocy materjalnej i moralnej, oraz roztaczanie opieki nad inwalidami, matkami, wdowami i sierotami po poległych, d) roztaczanie przedewszystkiem opieki nad grobami poległych peowiaków w służbie dla Ojczyzny, e) zrzeszenie członków organizacji na tle życia koleżeńskiego, f) zachęcanie do wychowania fizycznego, przysposobienia wojskowego i sportu.

Wszędzie i zawsze wierna służba dla rozwoju potęgi Rzeczypospolitej.

Ojczyzna jest celem peowiaka. Bo peowiak zawsze i wszędzie świecić winien przykładem, być wzorem dla innych, jak przystało na prawego szczerego Piłsudczyka.

S. BOHDAN

O TEM, JAK WILCZEK „FASOWAŁ" OD NIEMCÓW AMUNICJĘ DLA P. O. W.

Szukając niedawno przyczynków do jednej z moich prac w archiwach, znalazłem ciekawe dokumenty, któremi chcę się zwłaszcza z Braćmi Ślązakami podzielić. Pewno ich to zainteresuje.

* *
*

Był sobie na terenie Mińska Maz. taki Ludwik Dąbrowski. Chłopisko rosłe, dorodne. Wypierzył się ze szkolnej ławy i strasznie chłopa do wojaczki ciągnęło, a już najbardziej do kawalerji. Taką już miał polską naturę, a matka-przyroda jakby go do konia stworzyła.

Nie bawił się w dociekania międzybrygadowe, ni inne „arkana polityczne", a poprostu chciał powojować. Że to na swym terenie miał 2-gi pułk ułanów legjonowych, więc zgłosił się doń i rozpoczął ułańską karjerę, służąc w II szwadronie Polsce i Dziadkowi.

I tu bach!... Masz babo redutę!

Szwabi aresztowali Dziadka, rozwiązali Legjony, a legjonistom każą wierność i posłuszeństwo „kaizerowi" zaprzysięgać! Niby, że tak postanowiła Rada Stanu i Regencja i że Legjony — to teraz polski korpus posiłkowy dla armji niemieckiej.

Załamało się coś w chłopaku, gdy to usłyszał. Zaklął siarczyście — po legunowemu: „.....mater na taką wojaczkę". Szablisko ułańskie odpasał, trzasnął niem o ziem aż jęknęła, i nie przysiągł. Nie rozumował, tylko poprostu nie przysiągł na wierność i braterstwo szwabom, bo miał ich dość również jak i Polska cała.

Był skwarny dzień 28-my lipca 1917 r. kiedy z innymi pod strażą wpakowali go Niemcy do pociągu, wiozącego transport na leguńską Golgotę — do Szczypiorny. Zdawał się być zrezygnowany, pogodzony z losem.

A tu masz! Już nazajutrz potem drapnął z transportu, a po dalszych dwu dniach zameldował się u p. o. Kdta II Obwodu I Okręgu P. O. W. ob. Wiktora Janiszewskiego.

— Obywatelu Komendancie, niezaprzysiężony przez Niemców i „wystawny" z transportu szczypiornianskiego ułan Wilk melduje się do służby w P. O. W.

Cóż miał robić ob. Janiszewski z takim Wilkiem — przyjął go.

I tu Dąbrowski-Wilk poprzysiągł wierną służbę Polsce, Dziadkowi i P. O. W.

Groźnie brzmiał ten jego pseudonim: „Wilk" — a jakeś mu się przypatrzył, to z żadnej strony nie mogłeś wypatrzeć nic groźnego. Wielkie, bo wielkie, ale towarzyskie i łagodne wilcze szczenię. Jęła go też wiara wołać zdrobniale: „Wilczek"... i tak zostało. Oburzał się trochę, jak mu co na nos siadło — twierdził, że jest Kazikiem, ale Wilczkiem pozostał.

Do sierpnia 1918 r. objał się, to jako łącznik, to znów wywiadowca w Obwodzie i tak swoją służbę ku chwale Polski odwalał. W tym czasie u Niemców zaczęło się właśnie coś psuć.

Któregoś dnia wzywa go ob. Janiszewski. Kurtkę ułańską na grzbiecie obciągnął i melduje się.

— Wilk, czujecie, że szwabów zaczynają djabli brać? — powiada z mostu Obwodowy.

— Melduję posłusznie, czuję, obywatelu Komendancie!

— To dobrze! A czujecie, że już niedługo trzeba im będzie pomóc i trochę szkopów przekropić?

— Oj! czuję!

— To klawo! Słuchajcie Wilk, mamy trochę Manlicherów i Stayerów, ale orzechów (niby naboi) ani na lekarstwo.

Osłupiał ex-ułan, a ob. Janiszewski wali dalej:

— Musicie za wszelką cenę ładunków zdobyć... ile się da... jaknajwięcej.

Przeciągnęła się Wilkowi rura. Skąd wziąć?

— Słyszeliście?

— Melduję... słyszałem...

— I co wy na to?

— Melduję, obywatelu Komendancie... nie poradzę, bo nie mam.

— Że nie macie, wiem. To nie byłaby żadna sztuka, gdybyście mieli. Ja wam każę wymyślić tak, zeby były.

— Melduję... ale jak?

— To wasza rzecz! Jak za trzy dni nie wymyślicie, to powiem, że przyszliście do P. O. W. ze łbem wyłasowanym do swojej ułańskiej kobyły. Odmaszerować!

— Rozkaz!

Wyszedł Wilk z goryczą w sercu.

— Do knaju z taką robotą! — myślał po drodze. — Wymyśl! Ale co, ...jak? Bo to się amunicja na drodze wala, czy jak? Nie wisz czasem!? Cholera!

Ogarnęła chłopa desperacja.

Rozkaz — to rozkaz i trzeba go wykonać w trzech dniach.

Sam nie wiedział, kiedy doszedł do ulicy Tadeusza Kościuszki i znalazł się przy gmachu mieszczącym komendę „feld-żandarmerji". Tuż obok mieścił się jakiś pilnie strzeżony przez warty magazyn niemiecki.

Aż poderwało chłopa, gdy uprzytomnił sobie, gdzie się znalazł. Niedoszły szczypiorniak przy gmachu żandarmerji polowej — dobre, nieprawdaż.

Już miał wiać, ale jakby jakaś siła wewnętrzna osadziła go na miejscu. Przed komendą żandarmerji nie było nikogo. Koło magazynu miarowo maszerowały warty. Jął skręcać papierosa z jakichś bukszpanowych, czy zgoła kapuścianych liści.

— Ki djabła ci tam pilnują? — snuło mu się po głowie. Zapalił, zaciągnął się, zakasłał... I tu naszło nań olśnienie!

— Mam! psia krew! mam! wiem skąd brać! — Wymyśliłeś kapuściany łbie, ale nie od ułańskiej kobyły wyfasowana głowo. Trzasnął się garścią po „maciejówie" jakby chciał sprawdzić, czy tam, na karku, wszystko w porządku i jak stał zawrócił do obywatela Janiszewskiego.

Zdumiał się obwodowy, ujrzawszy Wilka z powrotem. A ten od progu trzask w kopyta i w krzyk:

— Obywatelu Komendancie, melduję posłusznie... mam!

— Co macie?

— Amunicję!... według rozkazu!

Pokiwał Janiszewski wątpiąco głową, pokręcił palcem po czole...

— Melduję posłusznie, tu w porządku, obywatelu Komendancie, jak Boga kocham!

— No to marsz do środka... i dawać!

Pomaszerował Wilk na środek pokoju... Zakłopotany drapie się za uchem...

— Melduję... nie to!...

— Więc co?... kawały!? ze mną?!

— Nie!! Tylko wiem skąd fasować... kupę...

Spostrzegł Janiszewski, że chłop odkryciem zdenerwowany i „zbity z pantałyku". Usadził go więc na krześle, sam siadł obok i delikatnie jął go za język ciągnąć.

Wilczek zwolna nabrał rezonu, rozgadał się.

— Na Kościuszki, obok żandarmerji obywatelu, jest magazyn niemiecki.

— Wiem... tam warty w dzień i w noc

— Tak. Nim nam kazali na wierność sobie przysięgać, to przedtem odebrali amunicję austrjacką, jaką mielismy i wtran żolli do tego magazynu.

— No więc?...

— Tylko iść i brać.

— Jak?

— Między żandarmerją i magazynem jest parkan od ogrodu. Niewysoki... Przeskoczyłbym. Koło żandarmerji w nocy wart nie ma... Zakraść się tam do ogrodu, a stamtąd przez parkan na plac, gdzie magazyn... żeby nie od ulicy...

— Co dalej?...

— Okna okratowane mocno, ale bez szyb na wysokości pół piętra... W środkowem wyłamany jeden pręt... Jakby przesadził najpierw rękę i ramię, równo z głową — to człowiek wejdzie... tylko trzeba wyczekać, aż warty za rogi budynku zajdą...

Janiszewski popatrzył nań długo uważnie...

— Ryzykowalibyście?

Wilk spoważniał, wstał z krzesła, wyprężył się.

— Melduję,.. ryzykowałbym.

— Spocznij!

Zwolnił postawę.

— Wiecie, czem to grozi?

— Wiem!

Zaległa chwila ciszy przed decyzją.

— Ani pary z gęby nikomu... i jazda!

— Rozkaz! — Ułan trzasnął w obcasy i odszedł pogwizdując.

. . . .

Pierwsza ciemna sierpniowa noc zastała go w ogrodzie posesji, zajmowanej przez komendę żandarmerji. Serce uciekało mu w pięty, duszę miał na ramieniu, ale pozbierał je po leguńsku — do kupy za łby, przycupnął pod parkanem i czekał... Wartownicy bezustannie krążyli dokoła budynku. Było ich dwu. Na zmianę, to jednego, to drugiego miał przed sobą. Pilnie obserwował ich ruchy. Czas jął dłużyć mu się niepomiernie. Wypilnował moment, gdy wartownik, będący przed nim dochodził do lewego skrzydła długiego frontu budynku, a drugi ciągle jeszcze był za nim i w tym momencie zręcznie przesadził parkan i przywarł do ziemi tuż pod ryglem ogrodzenia, ale już na placyku przed magazynem. Właśnie z za prawego węgła budynku dobiegł odgłos kroków drugiego wartownika. Wilk leżał na ziemi wstrzymując oddech w piersiach. Przeżywane wrażenia sprawiały mu wprost fizyczny ból. Serce trzepotało się nieznośnie. Gwałtownie pracowała myśl... Gdy ten będzie mijał środek, kierując się do lewego węgła, trzeba cichutko pełznąć, by dotrzeć do okna, nim drugi wyjdzie z za przeciwległego rogu...

— No . już..

Mechanicznie zmacał chlebaki na bokach i plecak na grzbiecie i sunął niczem wąż. Miał pod sobą miękką ziemię, porosłą bujnym chwastem. Wartownik szedł miarowo przed siebie, nie oglądając się.

Wilk był już pod oknem, nim tamten doszedł do węgła. Kroków z przeciwległego rogu budynku nie było jeszcze słychać. Powstał szybko tuż pod ścianą i lekko wspiął się po murze. Był na wysokości okna... podciągnął się mocno ręką chwyciwszy za kratę Trafił dobrze... właśnie wyłamany środkowy pręt... Ruchy jego teraz stawały się wprost błyskawiczne. Przesunął ramie wraz z głową, a za chwilę, bez szelestu, wciągnął się cały. Był już najwyższy czas, bo od prawego rogu budynku jął rozlegać się coraz głośniejszy tupot nóg. Zachowując największą ostrożność ześlizgnął się z parapetu na podłogę. Opanowały go dziwna ociężałość i bezwład. Wokół panowała przerażająca cisza, przerywana odgłosem miarowych stąpań wartownika — tam... za oknem. Dlaczego każde takie stąpnięcie odbija mu się w mózgu z mocą uderzenia gromu? Otrząsnął się, bowiem miał wrażenie, że za chwilę padnie bez sił. Gwałtownym wysiłkiem skupił w sobie rozproszone strzępy woli i rozumienia zjawisk. Z rękami wyciągniętemi przed siebie jaknajciszej sunął do środka magazynowej izby. Nagle... potknął się o jakieś naładowane wory i automatycznie siadł na jednym z nich. Zalęk, ciekawość, pożądanie kłębiły się w całej jego jaźni. Ogarnęła go przemożna chęć przygody, dokonania czegoś niecodziennego. Już w wyobraźni widział swój tryumf. Był prawie pewny, że wory zawierają naboje karabinowe... piątkami w „łódkach". Gładził miłośnie dłonią pękaty wór przed sobą — niczem jędrne kształty młodej dziewczyny. Sunął delikatnie palcami, aż tam... gdzie spodziewał się znaleźć zawiązany otwór. Nadzieja nie zawiodła go. Za chwilę papierowy sznurek puścił i ręka znalazła się we wnętrzu wora.

— Rany Boskie!... ładunki! tak upragnione, kochane „orzechy"! — rwał mu się bezgłośny krzyk.

Przebierał w nich przez chwilę dłonią, jak skąpiec w nagromadzonych skarbach. Lubował się...

— Czas! — przeszyła mu mózg świadomość — za chwilę zacznie dnieć!

Zdjął z grzbietu plecak i jął go gorączkowo napychać nabojami. Wypchał wnętrze, kieszenie, zapiął, zasznurował i postawił tuż pod ręką. Teraz z kolei jął ładować chlebaki. Opanowała go wprost gorączka nabojów. Miał ich już pełno... w spodniach, w kurtce, nawet w czapce.

— Dość! — perswadował rozsądek — nie będziesz mógł się poruszać...

— Mocnym! — rozprężył się dumnie.

Ale na szczęście już nie miał gdzie ładować. Z żalem opuszczał swe miejsce na worze z nabojami. Podźwignął swój skarb ku oknu. Właśnie tuż pod niem w odległości paru metrów przechodził wartownik.

— Nie zdradź się! — ostrzegał instynkt samozachowawczy. Objął ramionami swe drogie mienie, przyparł do piersi na parapecie okna i czekał, aż tamten odejdzie dość daleko w kierunku węgła. Nawykł już mierzyć odległość według odgłosu kroków straży.

Nareszcie! Rozwinął zawczasu przygotowany kawał sznura, uwiązał doń chlebaki i lekko spuścił za okno. Za chwilę leżały już na ziemi tuż pod murem, niewidoczne w mroku dla najbystrzejszego nawet oka. Teraz takaż manipulacja z plecakiem i tu rozpacz!... bowiem pękaty worek ani rusz nie chce przeleźć przez kraty... Kieszenie nie puszczają, zawadzają o żelaziwo okratowania... Łódki chrzęszczą przeraźliwie... I teraz śród borykania potworna myśl:

A nuż nadejdzie wartownik i potknie się o chlebaki, leżące pod murem... Co wtedy? A ciężkie kroki „szkopa" słychać coraz bliżej. Wilk czuje każde tętno krwi, każdy nerw nieomal... Kroki tuż, tuż pod oknem!... Mija... nie potknął się. Usta Wilczka bezwiednie szepcą modlitwę...

Znów kroki dość daleko i znów manipulacje daremne z plecakiem. Znów niesamowity lęk... i... złowróżbne kroki wartownika... i wyczekiwanie... i modlitwa... daremne oklepywanie, gładzenie, popychanie nieznośnego worka... rozpychanie rękami zimnych krat... I znów paniczna trwoga, granicząca z obłędem... prawie halucynacje... i nienawiść do plecaka, złość na własną nieudolność... wreszcie zniechęcenie, ...a po chwili nowe wysiłki.

Sześć razy przedefilowali wartownicy tuż pod nim, zanim przepchnął za okno nieszczęsny plecak i spuścił go na ziemię.

Teraz jeszcze wywindować siebie. Jedno miał już tylko pragnienie: wydostać się z tej przeklętej pułapki, być jaknajdalej od tego fatalnego miejsca, odpocząć.

Wydostał się stosunkowo łatwo i prawie nie zachowując koniecznej ostrożności, a porwawszy znienawidzony — a jednak tak drogi ciężar wielkimi susami parł do parkanu.

Był największy czas, bo wartownik wyminął już dawno węgieł. Na linji Wilka przystanął. Rozglądał się chwilę.

Czyżby dostrzegł... usłyszał?...

— Wer da? — zawarczał w ciemność przed siebie.

Wilk leżał pod ryglem płotu bez ruchu z zapartym oddechem. Instynktownie wpakował dłoń do kieszeni i zmacał swą „piątkę".

Szwab splunął i poszedł dalej.

Och te potwornie ciężkie chwile, wydające się wiekami! Chwile oczekiwania na wynik w grze, której stawką życie człowieka.

Minęły i one.

Wilk ze swemi tobołami przesadził parkan, przebiegł przez pusty ogród koło żandarmerji. Jak cień bezszelestnie przemykał się cichemi i jakby wymarłemi uliczkami miasteczka, aż do kryjówki wskazanej przez Janiszewskiego w cieplarni pałacowego parku.

Dzień przespał drętwy, jak kłoda. Wieczorem wyszperał gdzieś dwa woreczki po cemencie, zabrał ze sobą wraz ze sznurami i wślizgnął się do cieplarni, by obliczyć wczorajszy łup. Było tego ponad 300 sztuk. A w nocy... znowu zakradł się do magazynu... samowolnie skazując się na lęk i udrękę.

Tym razem poszło nieoczekiwanie łatwo, prawie bez silniejszych emocyj. Zjeżył mu wprawdzie włosy przestrach, wywołany szelestem jakiegoś wygłodniałego szczura, ale i tyle tego.

Więc na trzecią, czwartą i piątą noc brawura. Wilk jął liczyć „orzeszki" na tysiące — więc i duma i spodziewana sława śród peowiackiej braci. A tu nie każda noc chce być ciemna, i nie można pójść. Więc męka niezaspokojonego chcenia, gotowość ryzyka, walka ze zdrowym rozsądkiem...

Minęło jednak i to. Przyszły znów ciemne noce, a z niemi nieprzeparty mus wewnętrzny... Nic — tylko manja.

— Do magazynu... po naboje... aby jaknajwięcej.

W cieplarni nagromadziły się tego już całe stosy. Daremnie ob. Władysław Janiszewski (ojciec kdta obwodu), będący

przełożonym nad bronią i amunicją peowiacką, ostrzegał. Daremnie tłumaczył sam obwodowy i brat jego Zenon, że już dość, że ryzyko staje się zbyt wielkiem i grozi wsypą całej organizacji. Wilczek zaciął się. Zczerniał, jeść nie mógł, nie sypiał.

Na wszystkie perswazje miał jedną tylko odpowiedź:

— To na szwabów, psia ich mać, za ersatz-niepodległość, za przysięgę...

Strawił na te spacery z górą półtora miesiąca i nanosił 5.029 nabojów.

Przyjmując przeciętnie w/g. pierwszego transportu po 300 sztuk naraz:

5.029 : 300 = (+—) 17 razy był w niemieckim magazynie po swój niesamowity „fasunek". Prawda, jakie proste wyliczenie?—Tak bezgranicznie logiczne i proste, jak suchy trzask odwodzonych zamków karabinowych, jak krótki błysk salwy plutonu egzekucyjnego. Tylko, że od takiej prostoty i logiki, nawet mężni siwieją w ciągu jednej nocy, a słabi dostają pomieszania zmysłów.

Kto wie, czy i jego to nie czekało.

Kiedyś, będąc w dzień w cieplarni widział, jak „prince" von Löwenstein, „Kreisschef" powiatu mińsko - mazowieckiego rozkoszował się pięknem wyhodowanych w parku kwiatów, ani przypuszczając, na jak niebezpiecznem podglebiu są hodowane. Widok ten wprawił Wilczka w pasję

— Czekaj, wyhoduję ja ci kwiaty, aż cię od nich cholera z Polski wprost na „kaizerowe" łono do „Vaterlandu" ciśnie!— powtarzał, jak urzeczony.

Jęli Janiszewscy z gronem najbliższych przemyśliwać, jak go tu od tej pasji odwieść. W sukurs im przyszły jasne, księżycowe noce. Zespokojniał, posmutniał — myśleli — skończy nareszcie.

Jak powstała plotka, że na antresoli w magazynie amunicyjnym obok żandarmerji znajdują się całe stosy skonfiskowanych przez Niemców rewolwerów, o tem nikt nie wie do dziś. Dość, że plotka ta sprowadziła na Wilka nieszczęście.

— Palnę jeszcze ze dwa, trzy worki spluw i będzie koniec roboty! — powiedział sobie i z zaciśniętemi zębami czekał ciemnej nocy.

Obyż była nie nadeszła! Los chciał, że stało się inaczej.

Doczekał się i wlazł do magazynu. Topografję składu amunicyjnego znał. W ciemności orjentował się świetnie. Bez trudu znalazł wąskie schodki, wiodące na ową antresolę i polazł po nich na górę. Chodził tu, tam, we wszystkich kierunkach, pełzał, macał... Daremnie!... Rewolwerów ani śladu. Zmęczony zszedł na dół.

— Z pustemi rękami nie wrócę, choć naboi wezmę jeszcze raz — pomyślał i jął ładować worek. Tymczasem w okna magazynu zajrzał świt. Dzień wstawał niezwykle szybko. Zrobiło się widno. Zupełnie niespodzianie pojął stary wróbel na jak podłą plewę dał się wziąć. I opanował go lęk. Ręce wyczerpane bezprodukcyjnym trudem poczęły drżeć. Trzymany w garści magazynek karabinowy wypadł z wielkim hałasem na podłogę. Od tej chwili wypadki potoczyły się w zawrotnem tempie „na całego" puszczonej taśmy kinematograficznej. Szarpanie i łomot antab... zgrzyt zardzewiałych rygli... Wilk wiedziony instynktem samoobrony szuka schronienia...

— Na antresolę! — poddaje myśl.

— Nie zdążę!! i schody skrzypią!!

— Między worki!

— Już zapózno. Chrzęst zdradzi.

— Do następnej komory!

— Na nic, potwornie pusta i przejrzysta czeluść.

Pakuje się pod wąskie schody i przywiera do muru. Serce wali w nim, jak parowy młot.

— Żywcem mnie nie wezmą... no i kilku... — postanawia.

Ba, kiedy broni żadnej nie ma.

— Może to i lepiej! Tak, garściami, psia krew!

Rozwalili z trzaskiem wierzeje. Pakuje się z dziesięciu szkopów z karabinami do magazynu, a śród nich morda jakiegoś sakramenckiego, zamazanego cywila. Szpicel oczywiście.

Łażą, niuchają, przewalają śród worków, włażą na antresolę, do sąsiedniej komory.

Wilk już nie drży. Nawet serce przestało w nim gwałtownie łomotać. Zrobił się zimny i przedziwnie logiczny. No i wszystko otaczające jest tak bezlitośnie logiczne.. Te magazyny, izby i skrzyp schodów tuż nad głową i pruscy żołdacy z pyskami mopsów... wszystko... wszystko, a najbardziej ten szubrawy szpicel, wiercący się jak wrzeciono to tu, to tam.

Wilk widzi go doskonale poprzez szczeliny w deskach schodów... I rozumie... jak doskonale rozumie!? To przecież on wsypał, a teraz węszy, żądny żeru!

Jakie to proste! Ha! ha! Wilk musi się gwałtem opanować, by nie parsknąć śmiechem.

Szwabi nie znaleźli nikogo. Naigrawają się ze szpicla, bo żołnierz, choć i pruski, takiej cywilnej pluskwy nie lubi.

— No gdzie ty widzić złodziej, siakrew—świńska morda! Verfluchter Kerl?

Szpicel milczy i tylko kaprawemi ślepiami koso po kątach wodzi. Żandarmi i żołnierze zbierają się do odejścia.

— Vorvaerts! raus! pan kamerad — zapraszają szydliwie cywilnego kompana. — Mus man zu machen! Słyszane... siakrew!

A szpicel ślepki w szczelinę między deskami wbił i za chwilę ku schodom pełznie.

— Jest! panowie! jest!

Potężny rozmach pięści... łomot padającego cielska... To szpicel wije się na podłodze, kopiąc nogami i żygając wokół krwią.

Pochyliły się groźnie bagnety. Wilk wylazł ze swej nory, widząc bezskuteczność oporu. Żołnierz — uległ przemocy żołnierzy. Bez szykan, raczej z szacunkiem odprowadzili go do więzienia. Inni wynieśli nieprzytomnego szpicla.

Zaczęło się śledztwo, Wilk miał stanąć przed sądem wojennym... Odbyły się 2 przesłuchania... I zwiał im. Poprostu, ordynarnie zwiał, nie meldując o tem. Pomógł mu w tem brat rodzony Władysław i wszyscy trzej Janiszewscy. Zenon, brat obwodowego, w tej eskapadzie pogruchotał sobie kolano, że mu je potem musiano operować. Zadekowali go pierwotnie u siebie, a w czas jakiś potem wyprawili do Warszawy.

Nic mu się nie stało i już po miesiącu zjechał do Mińska rozbrajać okupantów i strzelać wyfasowanemi przez siebie nabojami.

W czepcu się taki patałach musiał urodzić — nieprawdaż?

WIGILJA PEOWIACKA W OKRĘGU STOŁECZNYM

Mówią, że trzynasty to feralny dzień — djabła tam.

Właśnie trzynastego łapią mnie „Prażany" i odrazu: „te, Skierka, przecież 16-go na naszą peowiacką wigilję musisz przyjść"!

— Co jest — powiadam — wigilja 16-go?

— A oni: — no tak! Przecież 24-go i ty i inni na rodzinnem łonie morduchny będziecie chcieli uszargać, to kto was tam zobaczy. A przecież z bracią peowiacką trzeba też popić! — nie?

Tak to przekonywująco wywiedli, że myślę sobie — trzeba pójść. Ale, że czułem, że mię influenza, czy zgoła inna grypa, ogarniać poczyna, więc im powiadam:

— Chłopy kochane, całą duszą z Wami, ale widzicie, bo to mnie ten... grypa... no rozumiecie... do łóżka...

A oni w krzyk:

Co? grypa?! To właśnie! Tylko na wigilję z nią! Najpierw jej świętego opłatka, potem wódy czystej, monopolowej — i po grypie! To nie wiesz? nie z wiaryś?

Odrazu chcieli mnie na popijawę z racji tej grypy wlec, alem się im wymigał, tylko musiałem solennie peowiackie słowo dać, że na wigilję przyjdę.

Cóż było robić? Grypa trzyma, ale jakoś niezbyt silnie... Gorączka 37,6. Myślę sobie, może mają rację, może się opłatka z wódą zlęknie. Więc gardło szczelnie w szalik i wio tramwajem z Woli na Pragę.

Ledwiem na teren koszar 36 pułku wszedł, słyszę orkiestra rżnie kolendy, aż ha!

Włażę na salę do kasyna... luda mrowie, stoły pozastawiane... feta. W zamknięciu podkowy stołów stara, komendancka wiara. Jest ob. wiceminister Wacław Jędrzejewicz i ob. kpt. Stefan Pomarański, obecny prezes Okręgu i ob. inż. Budzyński — vprezes Zarządu Gł. i kochany grubas Kazik Dublasiewicz, ob. Jurkowski — prezes Koła Praskiego i... ktoby ich tam wszystkich wyliczył... Rozglądam się, gdzie przycupnąć, aż tu mnie łapią kochane Prażany, z honorami do stołu taszczą... Bozdawko fotel jakiś, prawie ministerjalny ciągnie... sadzają.

Obywatelka jakowaś talerzyk z opłatkiem podsuwa. Oszczepalinder już czystą nalewa...

— No, dalej Skierka, z nami!

Łamiemy opłatek, a tu ob. Jurkowski, jako gospodarz na Pradze, z góry stołu zaczyna:

Obywatelu Ministrze, Obywatelki i Obywatele!

W imieniu Koła Praskiego Związku Peowiaków, witam Obywateli ze szczerą radością na dzisiejszej wieczerzy wigilijnej.

Wieczerza ta, wzorem roku ubiegłego, grupuje wielkich i małych ze względu na zajmowane obecnie stanowiska, a równych sobie z tytułu przynależności do Polskiej Organizacji Wojskowej, bezpośredniego udziału w robocie niepodległościowej, oraz z tytułu jednakowo silnej wiary w ideologję Marszałka Piłsudskiego i niezłomnego dążenia do urzeczywistnienia tej ideologji.

Ta wewnętrzna spoistość braci Peowiackiej jest naszą niespożytą wartością i dumą.

Taką serdeczną swojskością, taką ufnością bezgraniczną powiało po sali po tych prostych słowach, że człek odrazu zrozumiał, że tu właśnie jest między swoimi, śmiem twierdzić, bardziej nawet niż w rodzinie. To właśnie, ta spoistość z tradycji naszej, z ukochania naszego Wodza i ideologji Jego i naszej płynąca, ta wiara w wartość gromady i człowieka.

Klaruję to po cichu Oszczepalindrowi, który w międzyczasie podsunął mi kilonek.

Ale sza, bo oto głos zabiera ob. Pomarański:

„Obywatelu Ministrze, Panie Pułkowniku, Koleżanki, Koledzy!

Tradycyjna biesiada wigilijna należy do faktów, wywołujących irradjację przeżyć uczuciowych, o wysokiem na pięciu.

Rzecz to zrozumiała, jeśli się zważy że wspomnienia wigilijne są tak ściśle związane z beztroskiem dzieciństwem stając się dzięki temu symbolem naj piękniejszych chwil życia rodzinnego jego ciepła, oraz atmosfery miłości i ufności. Czyż może kogo zdziwić, że my — ludzie, którzy młodość mamy już za sobą — tak głęboko reagujemy na to piękne zjawisko, jakiem jest u nas w Polsce wigilja i obrzęd dzielenia się opłatkiem? Przecież jesteśmy mimo wszystko rodziną, sprzęgnięci ze sobą wielokrotnie więzami wspólnych tęsknot i prac, dążeń i cierpień, wspólnych niebezpieczeństw, tyloletniej walki w jednym szeregu, wspólnej doli i niedoli, a wreszcie wspólnego tryumfu!

Nasze indywidualne wspomnienia dzieciństwa przez ocean tych przeżyć, jakich doznaliśmy razem w walce o Niepodległość i w wojnie o jej utrwalenie, ogarnęły nas obręczą, sprawiając, że zetknięcie się w tej wzniosłej chwili święta narodzin Wielkiej Idei, jest dla nas potrzebą serca. Sięgnijmy myślą w przeszłość, a odtworzymy niejedno wspomnienie, które nam — starym żołnierzom — pozwoli pogłębić dzisiejszą naszą uroczystość. Ja naprzykład każdej wigilji wracam się myślą do grudnia 1914 r., kiedy w okrutnym realiźmie bitwy, w kilkanaście godzin po szturmie na bagnety, który wyrwał z szeregów tylu dobrych kolegów i przyjaciół, w zamrożonym okopie na krawędzi wąwozu, pod sklepieniem cudnej, zimowej nocy, wśród ustawicznego rechotania karabinów maszynowych, przeżywałem swą pierwszą zdala od matki i rodziny wigilję. Napięcie uczuć i głębia tęsknoty były tak silne, że poczułem się złamany i niezdolny do wysiłku. Z tej chwili odrętwienia i beznadziejnej niemocy wyrwała mnie dopiero kolenda jaką właśnie, gdzieś w dalszym ogniwie okopów zaczęli śpiewać żołnierze. Odtąd piękna kołysanka wigilijna „Lulajże Jezuniu“ wzrusza mnie tak, jak dźwięki Hymnu Narodowego, czy naszej najdumniejszej Pieśni Pierwszej Brygady. Jestem pewien, że taki Wojtek Stpiczyński i niejeden z grona jego współwięźniów w Havelbergu, w tym samym momencie wspomina tak pięknie opisaną przezeń kiedyś wigilję 1917 r., gdy wyrwany przemocą z kraju i od rodziny, biegł myślą do swoich bliskich i kiedy jedynym widomym symbolem dalekiej Ojczyzny była mała podobizna Komendanta, wydarta z jakiegoś kalendarzyka.

Tak, Obywatele! Każdy z nas poczuł się w takich chwilach członkiem wielkiej rodziny żołnierskiej, a za rodzeństwo, uznał towarzyszy z szeregu. Tu należy szukać przyczyny, że odczuwamy mus przeżycia co roku dwóch wigilij — jednej w kolisku żołnierskiem, a drugiej w gronie najbliższych.

Obywatele! Przystępuję do finału swego zagajenia. W tym momencie wzywam Was do zespolenia się myślą z naszym ukochanym Wodzem i z naszymi drogimi Dowódcami i Przewódcami. W imieniu Was wszystkich, życzę im zdrowia, długich lat życia i niewyczerpanych źródeł Mocy, z jaką prowadzą Nawę Państwową do potęgi. Wam natomiast, jako Wasz przełożony na pewnym odcinku pracy społecznej życzę spełnienia marzeń, osiągnięcia celów, wreszcie sił do opanowania zwątpień i słabości. A wtedy wszyscy odczujemy Radość Życia i doznamy prawdziwego szczęścia“.

Jakże gruchną oklaski — niczem karabiny maszynowe. Krzyk przepotężny — „niech żyje!“

Liryk! czystej wody liryk! jak mi Bóg miły!

Rozrzewniła się wiara, jęli wspominać... gwar przy stołach. Ciągnie mnie Wydra za połę:

— Pamiętasz stary naszą wigilję w B. Z. 5 p. p. Leg.

— Jakżebym nie pamiętał? To się pamięta, póki życia.

— No to wypijmy!

— Wypijmy!

I poczyna się trącanie w kieliszki. Ten temu życzy, tamten owego całuje — jak śród wiary. Już już miało się zacząć picie — takie „w bukiecik“, po peowiacku... Naraz... sza! słuchajcie! słuchajcie!

Ob. Piętowski odczytuje życzenia od tych, którzy nie mogli przybyć na wigilję. Więc serdecznie, po peowiacku nam dobrze życzą: ob. inż. Pohoski—wiceprez. Zarz. Gł. ob.ob. ministrowie Adam Koc, Tadeusz Schaetzel, Juljan Piasecki... Ale tu... nadstaw uszu Wiaro!! Ob. prezes Zarządu Głównego machnął do Was długi — taki typowo peowiacki list!

Ob. Piętowski czyta zbyt cicho, jak na tak dużą salę.

— Głośniej! Głośniej! padają okrzyki.

— Teżeście chcieli! Jeszczem nie jadł!— odpowiada z werwą.

— Dać chłopu, niech se podeżre, to się wzmocni — odkrzykują.

Ale sza! Słuchać, bo jest co! Dusza się śmieje do takiego pisania.

Czego bo tam nie było!... I prażańscy peowiacy pod „Setką“... i peowianki zawsze cnotliwe — nawet po szóstym mężu, i Skoropadski... i wreszcie peowiak „co szedł się zrobić księciem Potockim“. Ale grunt — to tupet. I tego właśnie tupetu życzył nam Obywatel Prezes przy „niewigilijnej wigilji“, w tem i przyszłem życiu.

Wiara ryczała ze śmiechu. Serdeczna radość rozpierała boki. Teraz dopiero zaczęło się picie „w krateczkę“. A gadania, a całowania, a „pamiętasz jak my to razem!...“

— Wiwat! Daj Boże zdrowie!

Co tu dużo gadać! Spędziliśmy kilka serdecznych godzin, które napełniły nas wiarą w siebie i otuchą na przyszłość. Stwierdziliśmy, że jesteśmy wielką zwartą i jednomyślną rodziną, gotową stanąć w każdej potrzebie, czy to na froncie walki, czy pracy. Wykazaliśmy jeszcze raz więź nierozerwalną między nami i miłość do Wodza naszego i naszych organizacyjnych zwierzchników.

Pokazało się też, że umiemy śpiewać nie gorzej jak dawniej. Chór Okręgu Stołecznego pod batutą ob. M. Królaka, chociaż powstał dopiero w październiku 1932 r., to jednak co do ześpiewania i siły nie ustępuje wielu starym chórom. Kolendy w dobrym doborze brzmiały w wykonaniu tego chóru czysto i melodyjnie.

Piosenki żołnierskie cechowały moc i werwa. Doskonale też wypadły sola wykonane przez p. Irenę Królakównę. M. Królaka, D. Walkiewicza przy dobrym akompanjamencie M. Usakiewicza.

Że tam przy sposobności ten i ów „zalał pałę“ jak, nie wytykając palcem, piszący, no to od czegóż raz w rok jest wigilja i od czegóż, do djabła, tupet!... To na rachunek grypy.

A propos grypy. Myślicie, że mnie puściła? A jakże! Dopiero po wódzie uścisnęła mnie na dobre i musiałem co nieco poleżeć. Ale do nikogo nie mam o to żalu, a do niej choćbym i miał — to co mi to pomoże.

Skierka.

ŻYCIE ORGANIZACYJNE

PAMIĄTKA PEOWIACKIEGO CZYNU

Dnia 8 grudnia r. b. Okręg Stołeczny P. O. W. święcił 16-tą rocznicę najcięższych w życiu peowiackiem chwil i krwawego starcia przy zbiegu ulic Marszałkowskiej i Hożej.

W południe dnia tego zebrała się wiara peowiacka przed dawną siedzibą Okręgu Warszawskiego przy ul. Hożej Nr. 51, gdzie odsłonięto pomnik wiecznotrwały peowiackiego czynu — tablicę pamiątkową.

Zgromadziła się brać peowiacka, jak ongi przed 16-tu laty — poważnie i karnie.

Na czele przedstawiciele władz państwowych i miejskich. Śród nich członek ówczesnej Komendy Naczelnej, a dziś podsekretarz stanu w Ministerstwie Skarbu ob. płk. Adam Koc. Dalej byli Komendanci jednostek organizacyjnych z ówczesnym Okręgowym ob. Stefanem Pomarańskim-Borowiczem — dziś prezesem Okręgu i wreszcie liczna peowiacka rzesza.

Opadła zasłona.

Z szarego tła muru kamienicy zdecydowaną dla oka plamą odcina się tablica marmurowa, a na niej złoconemi literami krótki, lecz w treści swej wymowny napis: „W domu tym w latach 1916—1917 mieściła się Polska Organizacja Wojskowa Tu sposobiły się oddziały P. O. W. do walki o wyzwolenie Polski. Tablica ta została ufundowana w piętnastą rocznicę niepodległości Rzeczypospolitej Polskiej".

I w tej chwili w ciszę padają jędrne — żołnierskie słowa. To prezes Okręgu ob. Stefan Pomarański rozpoczyna uroczystość przemówieniem.

„Skromna nasza uroczystość wewnętrzna ma szczególne znamiona — mówił kpt. Pomarański. — Pragnąc nadać tradycji peowiackiej jak najtrwalsze piętno, budujemy dla przyszłych pokoleń ślady naszej bytności — pamiątki po okresie dziejów Polski, znamiennych a doniosłych, o górnych i chmurnych przeżyciach naszych — żołnierzy najwznioślejszych idei.

W murach tych właśnie kilkanaście lat temu byliśmy gospodarzami. Dzięki zmarłemu już dziś koledze naszemu, ob. Gustawowi Grzybowskiemu, uzyskałem je na siedzibę okręgu warszawskiego - miejskiego P. O. W. i tu w charakterze komendanta okręgu, urzędowałem przez szereg miesięcy, tutaj wielu z Was terminowało w zawodzie wojskowym, a wielu tego zawodu uczyło.

Gdy sięgniemy myślą w przeszłość i zaczniemy wspominać naszą młodość, której wiele najpiękniejszych chwil z okresu kwitnącego P. O. W. przeżyliśmy w tych murach — staną przed nami drogie twarze ówczesnych przełożonych i kolegów, którym niesądzone było oglądać bogatego plonu ich trudu.

Energiczna postać Zdanowicza - Opielińskiego — wtedy już komendanta Grupy Okręgów, czy piękna marzycielska nieco wówczas komendanta Szkoły Podchorążych, Wacka Denhoffa - Czarnockiego, czy wysoka, suchotnicza Sambora - Trojanowskiego, czy kątem urzędującego pod naszym dachem ob. Ildefonsa - Gołębiowskiego, komendanta okręgu warszawskiego „prowincjonalnego", czy dzielnego komendanta obwodu praskiego Dziadaka - Rozłuckiego, czy wreszcie Kazika Betleya, Bohdana-Staniszewskiego, Wacka Policzkiewicza, Białego - Cederbauma, Rózgi - Zawadzkiego i tylu, tylu najdzielniejszych z pośród dzielnych, najofiarniejszych z pośród ofiarnych.

Lecz bynajmniej nie z myślą o poległych wmurowaliśmy tę tablicę. Im parę tygodni temu wznieśliśmy na placu stolicy pomnik — trwały wyraz naszej czci i hołdu dla Ich ofiary. Czynimy to dla naszych następców w służbach wzniosłych, aby czytając w spiżu czy w granicie wykute słowa, pogłębiali swój stosunek do tej, tworzonej przez nas pod wodzą Komendanta przeszłości, aby w czynie legjonowo-peowiackim, po którym widome znaki winny się znaleźć wszędzie, szukali szlachetnych podniet do zwalczania bezideowości i obojętności dla imponderabiljów".

Znów chwila skupienia — ciszy i powietrze przeszywają dźwięki hymnu narodowego, granego przez orkiestrę 36 p. p. A po hymnie imieniem Towarzystwa Mleczarskiego — dzisiejszego gospodarza domu Nr. 51 przy ul. Hożej, przemawiali poseł Jan Rudowski i inż. Leon Bąkowski, podkreślając niespożyte wartości, jakie do życia polskiego wniosła P. O. W., która po dziś dzień ma ambicje twórcze, nie dające jej zejść do roli weteranów walk o niepodległość.

Na zakończenie orkiestra odegrała Pieśń I Brygady, wysłuchaną w skupieniu przez uczestników uroczystości.

S. K.



Odsłonięcie tablicy pamiątkowej na ścianie dawnej siedziby Komendy Okręgu I B P.O.W. Pośrodku stoją: ob. min. Adam Koc i kpt. Stefan Pomarański

LEGJONIŚCI I PEOWIACY — MŁODZIEŻY.

W związku z uroczystością odsłonięcia pomnika poległych Peowiaków, z inicjatywy prezesów Okręgów Stołecznych Związków: Legjonistów i Peowiaków ob.ob. dr. Władysława Osiadacza i kpt. Stefana Pomarańskiego w dniu 10 listopada o godz. 16^{30} w Teatrze Wielkim odbyła się uroczysta Akademja Listopadowa pod hasłem: Legjoniści i Peowiacy — Młodzieży.

Na scenie Opery, ustrojonej zielenią, barwami narodowemi i barwami Krzyża Niepodległości, stanęło paręset pocztów sztandarowych młodzieży szkolnej, a po środku, po bokach popiersia Marszałka, poczty Związku Legjonistów i Peowiaków.

Widownia, przeważnie młodzieżą szkolną przepełniona wysłuchała świetnego przemówienia płk. Juljusza Ulrycha, który w mocnych i żołnierskich słowach podkreślił dziejową rolę wojskowych organizacyj niepodległościowych, a w szczególności P. O. W. Marja Strońska pięknie recytowała „P. O. W." Alfonsa Dzięciołowskiego, a Janusz Warnecki — mocny, skierowany do młodzieży wiersz Kazimierza Andrzeja Czyżowskiego. Popisy muzyczne wypadły doskonale. Zachwyciła młodzież, zawsze wierna uroczystościom niepodległościowym, kapela prof. Stanisława Kazury; toż samo orkiestra symfoniczna Państwowych Zakładów Inżynieryjnych oraz chór Związku Strzeleckiego.

A. T.

WACŁAW SIEROSZEWSKI O HOŁÓWCE.

W związku z pomyłką popełnioną w sprawozdaniu z akademji ku czci ś. p. Tadeusza Hołówki, umieszczonem w „Biuletynie Federacji P. Z. O. O." ob. Wacław Sieroszewski wystosował do kpt. Stefana Pomarańskiego prezesa okręgu stołecznego zagajającego Akademję, następujące pismo, które za „Biuletynem" powtarzamy:

„Kochany, drogi Kolego po piórze i Towarzyszu broni!

Stała się Wam krzywda, której ja okazałem się mimowolną przyczyną. W Biuletynie Federacji Pol. Zw. Obrońców Ojczyzny w Nr. 19 b. r. w sprawozdaniu z Akademji, zorganizowanej przez P. O. W. ku czci Tadeusza Hołówki, piękne Wasze przemówienie, którem zagailiście uroczystość, podano, jako moje.

Nicbym nie miał przeciwko temu, gdyż podzielam zupełnie te serdeczne i górne akcenty, jakiemi nacechowana była Wasza mowa, ale prawdzie musi się stać zadość— nie ja tym razem je wypowiedziałem.

Wybrany na przewodniczącego Akademji, musiałem ograniczyć się do kilku krótkich zdań, w których nie byłem w stanie nawet potrącić o rozmaite zdarzenia i okoliczności, w jakich krzyżowały się i łączyły wspólne nasze z Tadeuszem Hołówką drogi. Byliśmy bardzo bliscy sobie poglądami, wzmocnionemi w dodatku gorącą, osobistą sympatją.

Przypomnę, że Tadeusz Hołówko był tym jedynym literatem, który na historycznem zebraniu na ul. Brackiej 5 w 1915 r. po wkroczeniu do Warszawy Niemców, na moje wezwanie do braci pisarskiej, aby wypowiedziała się za hasłem niepodległości i wzięła udział w walce o nią — zażądała ustami znanego publicysty przedewszystkiem... gwarancji, on jeden w płomiennem przemówieniu dowodził, że „gwarancje" leżą w nas samych, w naszej energji i ofiarności; inni z obecnych albo solidaryzowali się z owym publicystą, albo milczeli...

Tak nawiązała się moja z Hołówką znajomość i przyjaźń. Wielekroć potem walczyliśmy obok siebie, zarówno na terenie pisarskim, jak politycznym oraz organizacyjnym w P. O. W., gdyż obaj byliśmy przez pewien czas w konwencie P. O. W.

Wy o tem wszystkiem wiecie dobrze, kochani, gdyż przecie byliście wciąż razem z nami, jeśli nie ciałem, to duchem i dlatego, gdy powiedzieliście, „o skurczu serca" na wieść o tragicznej śmierci Tadeusza, ten skurcz poczułem znowu.

Uważałem, że nic już dodać nie potrzeba do tych serdecznych słów Waszych; sprostować jedynie należy wiadomość, że wypowiedzieliście je Wy, a nie ja!

Łączę wyrazy głębokiego poważania i przyjacielski uścisk dłoni.

(—) **Wacław Sieroszewski.**

UROCZYSTOŚCI PEOWIACKIE W ŁOMŻY.

Oddanie hołdu ś. p. Kaliwodzie, komendantowi Okręgu P. O. W.

Łomża przeżywała wzruszającą chwilę złożenia hołdu pamięci jednemu z dzielnych swych synów, ś. p. Leonowi Kaliwodzie, podchorążemu i komendantowi okręgu P. O. W., który padł na ulicach Łomży w r. 1918 w walce o wolność Polski.

Uroczystość ta połączona była z poświęceniem sztandaru P. O. W. w Łomży oraz dekoracją zasłużonych działaczy społecznych nadanemi w dniu święta Niepodległości odznaczeniami państwowemi.

Na uroczystości te przybył ob. wojewoda Kościałkowski oraz w zastępstwie nieobecnego prezesa Zarządu Głównego P. O. W. wiceprezes ob. inż. Pohoski z Warszawy. Przeglądu ustawionych na rynku w Łomży oddziałów wojskowych organizacyj byłych wojskowych, oraz oddziałów strzeleckich i przysposobienia wojskowego dokonał ob. wojewoda Kościałkowski, w towarzystwie dowódcy dywizji, gen. Młot-Fijałkowskiego, poczem odbyło się wbijanie gwoździ w drzewce ufundowanego sztandaru P. O. W., poprzedzone przemówieniem ob. Wojewody. Z kolei nastąpiła dekoracja odznaczonych orderem „Polonia Restituta" i Krzyżami Zasługi osób, a następnie defilada 600 peowiaków.

Po defiladzie na cmentarzu parafjalnym ob. wojewoda Kościałkowski w obecności obojga rodziców, poległego peowiaka ś. p. Kaliwody, dokonał odsłonięcia nagrobka na jego mogile. Wśród powszechnej ciszy ob. Wojewoda wzruszonym głosem wypowiedział słowa: „W imieniu Pana Prezydenta Rzeczypospolitej dekoruję Twój grób Peowiaku, wyrażając żal głęboki, że nie sądzonem mi było zaszczytnem tem odznaczeniem ozdobić Twej bohaterskiej piersi" i zawiesił na nagrobku ś. p. Kaliwody Krzyż Niepodległości z mieczami. Zebrane oddziały sprezentowały broń, orkiestra odegrała hymn narodowy.

Po uroczystości na cmentarzu odbył się w sali kasyna oficerskiego 33 p. p. peowiacki-żołnierski obiad, w czasie którego przemawiali ob. Wojewoda Kościałkowski i wiceprezes zarządu głównego, inż. ob. Pohoski.

Z SOKOŁOWA PODLASKIEGO.

Po czterogodzinnej jeździe autobusem kursującym między Warszawą a Sokołowem Podl. via Mińsk Mazowiecki, Kałuszyn, Węgrów — wysiadam na schludnym, czystym rynku w Sokołowie, kierując się do magistratu.

Ładny, nowy dwupiętrowy budynek magistratu stoi tuż za miastem. Prócz biur Zarządu Miasta znajdują tu pomieszczenia Komunalna Kasa Oszczędności powiatu sokołowskiego, Pow. Komenda Policji, remiza i świetlica Ochotniczej Straży Pożarnej, a pierwsze piętro zajmuje piękna sala dźwiękowego kina miejskiego, które jak widać z afiszów wyświetla trzy razy w tygodniu pierwszorzędne filmy.

Po zameldowaniu się u Sekretarza zostaję przyjęty przez p. burmistrza inż. Stefana Krzypkowskiego.

Jako Prezesa miejscowego Koła Związku peowiaków zapytuję o stan liczebny członków, żywotność Koła i czy znajdują się wśród peowiaków bezrobotni.

Ob. Inżynier odpowiada mi, że peowiacy są żywotni, przodując w pracach społecznych, Koło liczy 30 członków, i bezrobotnych obecnie niema.

Zaczynamy mówić o mieście, ob. inżynier Krzypkowski powyciągał stare dokumenty i nowe broszury, w tem ładnie wydaną jednodniówkę z okazji jubileuszu 50-lecia Ochotniczej Straży Pożarnej.

Siedzimy teraz nad tem i wyciągamy na słoneczne światło dnia rzeczy ważne.

Już w 1391 r. w akcie nadania ziemi przez Władysława Jagiełłę Ziemowitowi Mazowieckiemu wymienione są miasta Drohiczyn, Mielnik Suraż i Bielsk, oraz kilka drobnych zameczków, w jednym z nich był prawdopodobnie Sokołów jako leżący na pograniczu Podlasia (ziemia Litewska) z Mazowszem.

Za Zygmunta Augusta Sokołów z przyległemi dobrami należał do rodu Kiszków, 1578 r. wymieniony jako miasto, a w 1581 r. Jan Dymitr Solikowski, sekretarz królewski odbiera tu przysięgę od delegowanych miasta Rygi na warunki udzielone im przez króla w Drohiczynie. Kościół parafjalny oddany przez Kiszków jako dziedziców na zbór zostaje następnie zwrócony katolikom. W połowie XVIII w. Sokołów należy do Ogińskich. W 1764 r. Sejm Rzplitej ustanawia tu jedną z trzech kadencyj sądów ziemskich dla ziemi drohiczyńskiej. W 1775 r. taryfa poborowa wykazuje w Sokołowie 230 domów płacących podymne.

Obecnie miasto powiatowe — Sokołów leży na wyniosłości w pobliżu źródeł rzeczki Cetynji (lewy dopływ Bugu).

Sokołów jest ośrodkiem ożywionej komunikacji autobusowej, jak również posiada dogodne połączenie kolejowe Siedlce — Małkinia. Sokołów ze względu na swe tranzytowe położenie i rozwijającą się komunikację autobusową ma przed sobą poważne widoki rozwoju.

Miasto liczy 11.350 mieszkańców, jest czyste i posiada zabrukowane ulice i chodniki.

Życie towarzyskie skupia się w różnych organizacjach jak: „Strzelec", „Sokół" Przysposobienie Wojskowe i inne organizacje i kluby, które prowadzą również ożywioną działalność sportowo - wychowawczą. Klub Towarzyski ogniskuje życie towarzyskie miejscowej inteligencji i okolicznych obywateli, a w Domu Ludowym urządzane są zabawy, przedstawienia i t. p. Mając na względzie rozwój tężyzny fizycznej ludności, zbudowano dzięki staraniom starosty p. Chylińskiego nowoczesny stadjon sportowy.

Zapytuję ob. Krzypkowskiego, kiedy został postawiony budynek magistratu i założone kino. Uprzejmy mój rozmówca wyjaśnia mi, że dokonano tego niedawno, za jego już burmistrzostwa.

Kino, mimo bardzo niskich cen biletów i sprowadzania pierwszorzędnych filmów daje jeszcze zyski.

Z braku czasu nie zdążyłem poruszyć wielu jeszcze ciekawych rzeczy i prac dokonanych. **Włod.**

ZAGUBIONE LEGITYMACJE ZWIĄZKU PEOWIAKÓW.

Małkowski Eugenjusz — Okr. Stołeczny, leg. Nr. 2277.

Zalewski Jan Marjan — Okr. Stołeczny, leg. Nr. 2088.

Bogdanowicz Mieczysław — Okr. Stołeczny, Koło Praga, leg. Nr. 3780.



Śląsk



STANISŁAW MASTALERZ

PEOWIAK ŚLĄSKI

Narodził się w chacie wsi śląskiej lub w ciasnej izbie domów zakopconych miast i osad przemysłowych. Tam go do snu układała matka, tam mu nuciła staropolskie pieśni i piosenki ludowe, tam polskiego uczyła pacierza — tam też pierwsze spędzał lata młodości. A gdy osiągnął wiek przepisowy, zgłosił go ojciec rodzony lub matka do szkoły. Do **pruskiego** rechtora, do **pruskiej szkoły.** Musiał do niej uczęszczać przez 8 długich lat — **wbrew własnej woli,** wbrew temu, co się odzywało w jego sercu i sumieniu. Chodził tam spragniony dźwięku mowy i języka ojczystego, chodził z wzrastającym buntem w sercu. Był tam przedmiotem, tak jak ławka, stół, tablica i trzcina rechtorowa, której dość często zasmakował. Zakazano mu odezwania się w języku ojczystym do swych towarzyszy niedoli, zakazano używania tego języka, w którym wychowali go rodzice i który mu go dali jako jedyne „wiano“ na drogę życiową. Nie zrozumiał malec tego zakazu, ale odczuł go jako krzywdę i niesprawiedliwość. Młoda dusza jego poczęła się buntować przeciwko krzywdzie. Wtedy instynkt kazał mu szukać takich z pośród swego otoczenia, którzy taksamo poznali doznaną krzywdę. Z nimi począł spiskować w swoisty sposób, co to zrobią wszystko, gdy tę katownię pruską opuszczą. Jedno było zawsze pewne, że odrazu przestaną słuchać pana rechtora i naumyślnie przed nim zapalą papierosa, aby go zgniewać, gdy ich już bić nie będzie mógł ani karać.

W czasie przymusowej nauki w szkole pruskiej, uczyła go w domu czytania i pisania polskiego — matka, czasami ojciec. Pokryjomu opowiadano mu o wojsku polskiem, które pobiło Turków pod Wiedniem, o Kościuszce i Poniatowskim, o Krakowie i Warszawie, o polskiej rzece Wiśle — no i o śpiącem wojsku świętej Jadwigi. Z chciwością łapał młody umysł te barwne opowiadania o świetności polskiej przeszłości. Szczególnie legenda o śpiących rycerzach wzbudziła jego fantazję.

A gdy w czasie wolnym od nauki chodził za gęsiami lub pasł kozę czy krówkę razem z innymi, usłyszał śpiew piosenki ludowej, która się zachowała żywą wśród ludu. Wyśmiewał się z przychlebków, którzy się umizgiwali rechtorowi i zdejmowali czapkę przed żandarmem lub Amtsvorsteherem.

Gdy wreszcie opuścił ławę szkolną, zaczęła się dla niego gehenna życiowa. Musiał ojcu pomagać w zarobkowaniu. Poszedł do kopalni lub huty i ciężko musiał się zginać od najwcześniejszych lat, aby zarobić tych parę marek, potrzebnych do życia rodziny. I tu zazwyczaj bardzo prędko zrobił fatalne dla siebie odkrycie. Nie było już wprawdzie hakatystycznego nauczyciela, był jednak niemniej zawzięty sztygar, majster, czy inny naganiacz. Ci go tembardziej napędzali do pracy, szafując ordynarnemi wyzwiskami i przekleństwami. Sypały się częste kary, a rezultatem tej naganki był nowy, wzrastający bunt. Z postępem dojrzewania postępowało uświadomienie krzywdy, dotkliwiej odczuwał brutalność przemocy. Nie pogodził się z marnym losem. Szukał drogi oporu. Pewnego dnia znalazł się w towarzystwie polskiem, gdzie napotkał na takie same, jak on, jednostki, gdzie mógł się swobodnie wypowiedzieć, gdzie zrozumiano jego żal i bunt, gdzie dano poradę, wskazano na sposób walki z krzywdą, gdzie umożliwiono mu pracę oświatową nad sobą. Tam czuł się szczęśliwym.

Niedługo jednak trwało to szczęście, postarała się o to pruska policja. Zaczęły się sypać kary, z pracy go też wydalono, na nowe miejsce nie przyjęto, chociaż nie było kryzysu.

Wkońcu był zmuszony udać się na tułaczkę lub zmienić zawód. Wreszcie zabrano go do wojska, jako przymusowego żołnierza pruskiego. Koszary pruskie, drill i buta podoficera pruskiego wpłynęły na niego tak dalece, że z całą energją wytępiono resztę chwastów niemczyzny z niego.

Wybuchła wojna światowa. Uświadomiony młodzieniec śląski zdawał sobie sprawę z tego, że nadchodzi chwila rozstrzygająca. Nikt nie wiedział, jak się to rozstrzygnie, wielu jednak wierzyło święcie, że po tej wojnie powstanie Polska — Wolna i Niepodległa. Skwapliwie przemilczano na Śląsku o utworzeniu się Legjonów Komendanta Piłsudskiego. Obawiano się, że liczna młodzież śląska pójdzie do służby pod Orła Białego.

Pozamykano licznych wiarusów, po kilku dniach wcielono ich przymusowo w szeregi armji pruskiej. Śląskie pułki stawiano tam, gdzie było najbardziej gorąco. Krwawili się ludziska nasi po wszystkich frontach, ginął kwiat młodzieży polskiej, co sprytniejsi szukali ratunku w niewoli, aby nie służyć katom...

Nadzieją był dla nich koniec wojny, którego jednak długo doczekać się nie było można. Aż wreszcie począł trzeszczeć w posadach kolos, uciekał kajzer, znikli jego trabanci. Wolność nadchodzi...

Wolność?! — Narazie nie, bo w miejsce siepaczy kajzerowych przyszli kaci czerwoni, Horsingi, stan oblężenia, Grenzschutz, gwałt, teror, mordy i grabieże, bezprawie i bezhołowie.

To nie była Wolność! Zwycięscy dygnitarze nie dali wolności uciemiężonym, nie mogła się urodzić Wolność przy zielonym stoliku dyplomatów. Zdawaliśmy sobie sprawę, że prawdziwa Wolność może być tylko krwią i żelazem wywalczona, inaczej nie będzie ona wartościową i rzetelną. Nie czekał zatem na łaskę dyplomatów Peowiak śląski, nie interesowały go targi i konferencje. Nauczony doświadczeniem życiowem, zaczął się skupiać, zszedł w świat podziemi konspiracji, szedł borem, lasem cicho, z zaciśniętemi zębami. Przysięgał ochoczo. Za krzywdę całego życia, za razy trzcinowe lat szkolnych, za krzywdę w pracy, w wojsku, za krzywdę czasu wojska i wojny, za okradanie rodzin, za zakaz mowy polskiej — zapłata nadchodzi. Skupiał się pokryjomu, rodzonemu bratu częstokroć nie wspominając, przygotował się do rozgrywki, starał o broń i — czekał rozkazu. —

Długo wyczekiwał, chcąc zrzucić to obrzydłe od dawna jarzmo, chcąc być Wolnym... Zgrzytał zębami na długie wyczekiwanie, klął na tych, co sprawę przeciągają, pierunował po śląsku, siarczyście i z przejęciem. A gdy przyszedł wreszcie rozkaz, stawił go przed tak olbrzymie zadanie, że tylko cała zawziętość, cała moc buntu mogły go porwać do czynu — rozpaczy. Po-

kazał swe lwie pazury w one dni sierpnia 1919 roku, kiedy to wielmoże partyjni w Warszawie dzielili ziemie... On chciał Wolności dla swej ziemi ojczystej i poszedł na bój, na walkę karła z olbrzymem. Nic to, że uległ przemocy, nic to, że poszedł na tułaczkę. Rogata dusza się w nim odezwała. Wykorzystał czas tułaczki na poznanie swej wartości, uporządkował swe szeregi, wzmocnił się na duchu, nabył rutyny i doświadczenia.

A gdy powrócił, począł dalej konspirować, jednał nowych zwolenników, zaprzysięgał i uświadamiał ich, łowił broń i amunicję i magazynował ją starannie. A gdy nadeszła rocznica pierwszego chrztu walki czynnej, gdy pod stolicę zapuszczały się watahy czerwone, niosące zagładę Niepodległej, on tu nie wytrzymał szyderstwa i bezczelności wroga, nie ścierpiał gwałtu i grabieży. Chwycił ponownie za broń i robił porządek. Przepędzał bandę wrażą z wsi i miast śląskich, aby już więcej nie grasowała tu na tej ziemi, dla której on pragnął rzetelnej Wolności.

Nie pokazał już lwiego pazura, lecz udowodnił, że **potrafi być panem tej ziemi,** że ta niemczyzna, to albo płatny bojowiec, albo też sztuczna tylko naleciałość. Rozliczył się z nią, jak przystało i dopiero na rozkaz zwinął broń, chowając ją starannie. Nic to, że poniósł krwawe ofiary, że stać musiał nad niejedną mogiłą drogiego kolegi — towarzysza broni i pracy. Sztandar peowiacki wzniósł wysoko — czysty i nieskalany, a godło Polski załopotało tam, gdzie przez wieki było zakazane.

I jeszcze jedno: nie założył rąk, nie spoczął na laurach. Był przekonany, że nie kartka, a karabin rozstrzygnie o losie tej ziemi. Nie wierzył w kunszt dyplomatów, w ich „poczucie" i hasła sprawiedliwości. Wierzył w swój karabin, w siłę własną i przebój podziemnej pracy. Ujrzał nagle to zbudzone z wiekowego snu wojsko św. Jadwigi. Chodził nadal na zbiórki, słuchał rozkazów, które przychodziły skądś z pod ziemi i kazały mu wykonywać pracę tę czy ową. Co niedzielę stawał do szeregu niepodpadająco, bronił swoich i gromił wroga. Był głuchy na obiecanki i przynęty — wiernie spełniał swój obowiązek, jako cywilny żołnierz Rzeczypospolitej. Zapłatą mu była czasami — nędza, czasami pieśń wspólna o Grenzschutzu, Horsingu i Germanie, czasami wesołe towarzystwo lub — widok uciekających bojowców niemieckich. Stoicyzm i wytrwałość uchowały jego poczynania oraz ta pewność, że musi wkońcu ostatecznie zwyciężyć.

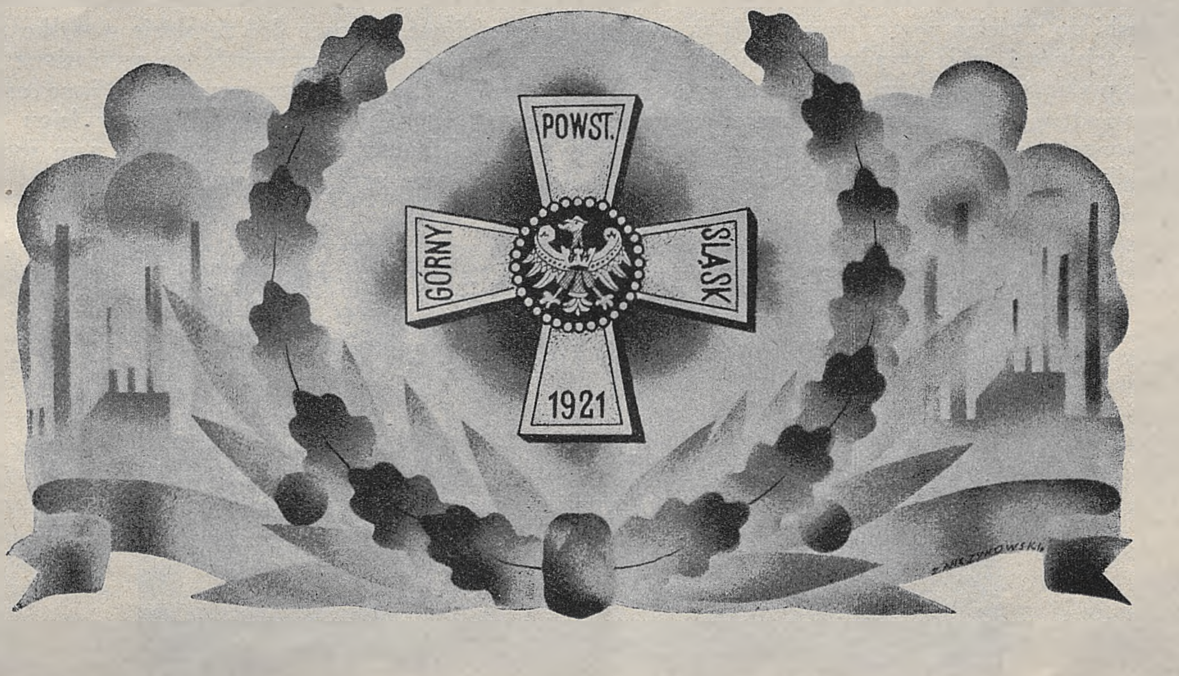
Plebiscyt był dla niego formalnością do oddania kartki za Polską, dużo wiary w niego nie wkładał. To też fatalny wynik go nie przeraził, bo miał swoją broń, swego dowódcę i głęboką wiarę w słuszność jego sprawy. Wiedział, że zbliża się końcowa, walna rozgrywka. To też, gdy doszła go wiadomość, że dyplomaci wyznaczyli mu ponowną niewolę, wybuchnął z przerażającą potęgą. „Jak woda podskórna" zalały cały kraj śląski oddziały powstańcze. Stoczyły niejedną walkę, zajęły pozycje nad sinemi brzegami słowiańskiej Odry.

Dwa miesiące prowadził walkę, tłukąc wroga nader przykładnie. I dopiero na rozkaz ustąpił, niezwyciężony, złożył broń do nogi i wyczekiwał. Spełnił wzorowo swój obowiązek i wkupił się krwawo do rodziny peowiackiej, do równych z równymi, **jako pełnowartościowy syn Wolnej i Niepodległej.**

Ziemia jego odzyskała w jednej części pełną Wolność. Druga część pozostała, niestety, w niewoli — jednak nigdy o niej nie zapomina Peowiak — powstaniec śląski. Wie on, że i dla tamtej części musi kiedyś wybić godzina sprawiedliwości dziejowej, godzina Wolności, jakiej tu danem nam było doczekać się.

Żyj Peowiaku śląski, prowadź nadal twe życie, pełne ukochania Wodza Narodu i tej wiary w Wolność ziemi śląskiej. A dziatwę twoją ucz kochać tę Wolność, której ty się napragnąłeś, dziatwie twojej wskazuj te mogiły, w których śpią ci, co ukochanie Wolności życiem swem przypieczętowali. Niech obca im będzie naleciałość b. zaborcy, niech ona nie dozna już nigdy upokorzenia niewoli i wyrośnie na tych dzielnych żołnierzy Rzeczypospolitej, którzy w spuściźnie po tobie już nigdy nie dopuszczą do takiej gehenny, jaką ty przechodziłeś.

Żyj Peowiaku — Powstańcze śląski!



JAN DOBRZAŃSKI

Górny Śląsk i jego rola w Polsce Mocarstwowej

Potęgę każdego państwa ocenia się miara wartości dóbr duchowych i materjalnych jego obywateli, a rozwój państw uwarunkowany jest wzrostem obu tych wartości. Dobra te zdobywa się mozolną codzienną pracą, tem skuteczniej, im silniejszą jest organizacja państwa, im wyrazistszą jest wola ludzi, tem państwem kierująca. Stanęliśmy niewiele lat temu przed olbrzymiem zadaniem budowy od podstaw własnego Państwa, które złączone z wielu dzielnic, zmuszone było zespolić je duchowo i związać silnemi więzami gospodarczych zależności. Rozpoczęliśmy wyścig pracy pod hasłem: Usunąć jaknajprędzej ślady niewoli i zapełnić luki przez nią wyrządzone, temsamem zająć właściwe stanowisko wśród mocarstw Europy.



Dr Michał Grażyński — wojewoda śląski.

Jakie wartości dla Państwa wnosi w tym wyścigu pracy dzielnica Śląska? W dziedzinie duchowej jej główny przedstawiciel, robotnik reprezentuje wartości niepowszednie. Jest twardy i nieugięty, dyscyplinowany i oporny w swem trwaniu przy polskości. Ma jedno wyłączne nastawienie, by na odcinku swej pracy jak najszybciej umocnić się i zerwać więzy zależności materjalnej od swych dawnych gnębicieli, którzy pomimo zmienionych warunków politycznych są dostatecznie silni i wpływowi.

Robotnik śląski jest konserwatywny, ale też i konsekwentny w swem działaniu. Nie zapomina on ani na chwilę, że praca jego nad umocnieniem polskości nie skończyła się na powstaniach, że trzeba ją prowadzić codziennie z niesłabnącym wysilkiem.

Te cenne walory, jakie w dziedzinie duchowej wnosi robotnik śląski do wyścigu pracy, uzupełniają się z wartościami materjalnemi, jakie przedstawia dzielnica śląska dla życia gospodarczego Państwa.

Tu nagromadzone są ogromne bogactwa naturalne Polski, tu koncentruje się największy przemysł, tu jest główne źródło, ożywiające gospodarczo inne dzielnice Polski. Górny Śląsk wydobywa 78% całej ilości węgla, produkuje 68% żelaza i stali, prawie 100% cynku i ołowiu. Tu istnieją największe zakłady przemysłowe, chemiczne, elektryczne i metalowe. Przemysł śląski nastawiony jest w dużej mierze na eksport, stąd rozwój naszych portów morskich jest ściśle z rozwojem przemysłu związany. Dzięki Śląskowi wychodzimy z naszego zaścianka, bierzemy udział w międzynarodowym ruchu gospodarczym i stajemy się poważnymi przeciwnikami na rynkach konkurencyjnych. Produkcja przemysłowa Polski zajmuje w wielu gałęziach poważne miejsce wśród państw Europy i uczestniczy w międzynarodowych porozumieniach jako równy kontrahent.

W wewnętrznem życiu gospodarczem Polski rola Śląska jest dominująca. Bogaty Śląsk zasila poważnie kasy państwowe, dzięki niemu realizuje się takie zamierzenia jak budowa Gdyni i magistrali węglowej, swojemi wyrobami zaspokaja on potrzeby całego kraju. Z tego krótkiego zestawienia widać, że Śląskowi przypada w dziele odbudowy i utrwalaniu mocarstwowej Polski rola przodująca.

Śląsk czuje jak ważną misję przypadło mu spełnić i do tego jest w zupełności przygotowany.

Górny Śląsk jest dla całej Polski gospodarczej wspaniałą szkołą, która w solidarnej zorganizowanej pracy wyrabia typy Polaków o szerokich horyzontach, daje możność wyrobienia charakterów twardych, konsekwentnych i odpowiedzialnych. To też ta szkoła życia powinna przyciągnąć do siebie jednostki najbardziej wartościowe, mogące dać ze siebie nietylko maksimum wysiłku, ale także gwarancję, że wyniesione stąd nauki potrafią skutecznie przeszczepić na inne części Polski pracującej. Takich ludzi dziś do wyścigu w pracy najczęściej potrzeba i takich trzeba nam sobie świadomie i celowo przygotowywać.



Katowice *Urząd Wojewódzki*

WŁODZIMIERZ GALCZYŃSKI

Wysiłek orężny P. O. W. na Górnym Śląsku

Niesposób w treściwym artykule przebiec szczegółowo chronologicznie bieg i rozwój wszystkich trzech powstań śląskich z uwzględnieniem zasług personalnych.

Najbardziej decydujący wpływ na stan faktyczny wyzwolenia części Śląska z pod obcego jarzma miało 3-cie powstanie, dla tego, choć szkicowo, pragnę zapoznać kolegów peowiaków z innych okręgów z ową chwilą dziejową.

Po nieudanej niemieckiej ofenzywie w lipcu 1918 r. zaczęły się przejawiać tak na froncie, jak i w kraju, oznaki niezadowolenia. Jakiś ferment przyszłej burzy przeciągał przez całą b. Rzeszę Niemiecką.

Polacy z b. zaboru niemieckiego, tem więcej musieli być przygotowani, ażeby raz na zawsze zrzucić z siebie jarzmo niemieckie.

Zalążki ruchu zbrojnego na Śląsku sięgają daty 26 października 1918 r. W tym to dniu w kadrze ówczesnego „Sokoła“ powstaje organizacja t. zw. Straż Obywatelska, by znów po niejakim czasie przekształcić się w „Związek Wojacki“, rekrutujący się w dużej ilości z b. wojskowych Polaków. Nieistotne są tu dalsze przemiany strukturalne i w nazwie aż do P. O. W. włącznie.

Założenie ideowe i organizacyjne było jedno: przygotować kadry powstania.

Właściwe formy organizacyjne zdobywa P. O. W. — Górny Śląsk w lutym 1919 r. kiedy dzięki sprężystości ob. Grzegorzka Józefa powstaje Komitet Wykonawczy P. O. W., który ma reprezentować właściwą władzę wojskową na G. Śląsku. Następuje zaprzysiężenie członków Wydz. Wykonawczego; m. in. ob. ob.: Dreyzy, Zgrzebnioka, Rumpfe'da, Świdcza, Masta'erza, Zejera i Gajdasa. Na czele stanął ob. Dreyza.

W krótkim czasie stworzono sieć organizacyjną na terenie G. Śląska. Podział na Okręgi wyglądał następująco:

Okręg I — powiat bytomski — organizator i Komendant Świder Augustyn;

Okręg II — pow. katowicki — organizator i Komendant Postrach Adam;

Okręg III — pow. zabrski — organizator i Komendant Pyka Jan;

Okręg IV — pow. Gliwicki — org. i Komendant Mastalerz Stanisław.

Okręg V — pow. torzecki — org. i Komendant Wróblewski Władysław;

Okręg VI — pow. tarnogórski — org. i Komendant Zejer Jan;

Okręg VII — pow. lubliniecki — org. i Komendant Golas Paweł;

Okręg VIII — pow. pszczyński — org. i Komendant Fizia Aleksy;

Okręg IX — pow. rybnicki — org. i Komendant Bula Józef;

Okręg X — pow. kozielski — org. i Komendant Zgrzebniok Alfons;

Okręg XI — pow. raciborski — org. i Komendant Wyglenda Jan;

Okręg XII — pow. strzelecki — org. i Komendant Renka Tomczyk;

Okręg XIII — pow. opolski — org. i Komendant Ku'ik.

Z czasem nad całością objął komendę ob. Zgrzebniok Alfons.

Rozkaz brzmiał: „Organizujcie i zbrójcie się“. Tłumaczono go sobie indywidualnie i każdy na swój sposób organizował i zbroił się.

Okręgi podzielono na obwody i zasadniczo okręg pod względem bojowym przedstawiał siłę pułku, a obwód siłę kompanji.

Wojska niemieckie zupełnie zdemobilizowane i zdemoralizowane, z chęci zysku pozbywały się rewolwerów, karabinów, granatów ręcznych, amunicji i nawet karabinów maszynowych. Za śmiesznie niskie ceny zdobywano całe magazyny broni.

Entuzjazm dla ruchu wojskowego na G. Śląsku był powszechny tembardziej, że podsycany terrorem ze strony Niemców.

Czemu przypisać niepowodzenia I powstania w 1919 r. i nikłe zwycięstwo II-go w 1920 r.?

Otóż ludzie stojący u steru akcji powstańczej, ożywieni jaknajdalej idącym oddaniem się dla sprawy, bezsprzecznie nieskazitelni patrjoci, a jak późniejsze boje wykazały, odważni i nawet bohaterscy — wojskowi, w początkowem stadjum organizacyjnem stanowili materjał zupełnie surowy, jeśli chodzi o robotę konspiracyjną i bojową.

Pragnęli swoją gorliwością bezprzykładną, zastąpić braki fachowe.

Dlatego pierwsze dwa powstania, były niejako szkołą żołnierskiej strategji i przewidywania i dopiero suma zdobytych doświadczeń złożyła się na efekt zwycięstwa III-go powstania w r. 1921.

Dzisiaj, gdy rozporządzamy materjałem dokumentów historycznych, śmiało rzec możemy, iż gdyby w 1919 r. na czele organizacji stał wódz dla Śląska tak opatrznościowy, jaki znalazł się dla Litwy w osobie gen. Żeligowskiego, zdyskontowanie zapału powszechnego Ślązaków już wówczas dałoby efekty olbrzymie, bez względu na intrygi koalicyjno-plebiscytowe.

Obyłoby się bez krwawego terroru Niemców, trzechletniej gehenny ludu śląskiego i wielu ofiar, bolesnych doświadczeń z racji chwiejności w poczynaniach i decyzjach.

Natomiast Śląsk wówczas miał wodzów ruchu wyzwoleńczego, którzy serdecznie pragnęli poprowadzić swój lud do wolności — lecz nie znajdował i drogi, którą należy konsekwentnie kroczyć.

Temu przypisać należy niejednolitość dowództwa, uzależnionego w pobieraniu decyzji od wielu czynników, hamujących właściwy rozwój wypadków.

Temu należy przypisać dekonspiracje, aresztowania komendantów, niejednoczesny wybuch powstania we wszystkich powiatach, wygasanie szybkie i likwidacje sporadycznych wybuchów w okręgach.

Pierwsze powstanie górnośląskie odbywało się w warunkach, nie mających przykładu w żadnem z powstań narodowych. Miało ono przeciwko sobie stokrotnie liczebniejszego wroga, a u steru ruchu nie było człowieka, ktoryby umiał niem pokierować odpowiednio.

W r. 1919 wskutek nieumiejętności prowadzenia prac konspiracyjnych, władze niemieckie były o wszelkich poczynaniach polskich lepiej poinformowane, aniżeli członkowie Polskiej Organizacji Wojskowej G. Śląska.

W ten sposób najgłówniejszy atut, będący w rękach dowództwa organizacji — zaskoczenie nieprzyjaciela — upadł.

Dysproporcja sił walczących była zbyt rażąca, a bohaterskie walki powstańców w Paprocianach, Tychach, Pszowie, Rozdzieniu, Lipinach, Mysłowicach i t. d., nie mogły odwrócić klęski, jaka groziła ludowi śląskiemu.

Dorywczość działania sfer kierowniczych, bez obliczenia następstw na dalszą metę, wyciskały na powstańcu śląskim znamiona katastrofy.

Nadzieja pokonania Niemców własnemi siłami upadła, a myśl o interwencji ze strony Polski lub Koalicji okazała się zawodną.

Tragiczny był moment, kiedy Bytomski Pułk Piechoty, złożony wyłącznie z Górnoślązaków, stał nad granicą śląsko-polską i mimo iż głośno domagali się tego żołnierze, niewolno było nikomu przekroczyć granicy... A tam — za granicą Niemcy mordowali najbliższych.

I smutny był widok tych 20.000 powstańców - uchodźców, korzystających z gościnności „Tej, dla której życie poświęcić byli gotowi“, kiedy z zaciśniętemi rękami słuchać musieli o systematycznem mordowaniu swych rodziców, żon, dzieci...

Powstanie zostało stłumione siłą, ale bynajmniej nie upadło, bo powstańcy nie złożyli broni dobrowolnie przed wrogiem.

Ideologja, której się chwycił lud śląski, nie zginęła, przeciwnie, zatoczyła kręgi niebywałe, czego dowodem są dwa następne, rokrocznie po sobie następujące powstania.

Nie przesądzając atoli dziejowego znaczenia pierwszego powstania górnośląskiego, stwierdzić trzeba dzisiaj, że dzięki szla-

chetnemu porywowi garstki szaleńców, Polacy na Górnym Śląsku, poraz pierwszy od siedmiu wieków, zerwali się z nużącego, dla sprawy polskiej bardzo szkodliwego półsnu, i za pomocą walki orężnej zadokumentowali przed światem swoją przynależność do Państwa Polskiego.

dzom koalicyjnym porozumienie się z Komisją Międzysojuszniczą w Opolu, a tem samem przeszkodzić w wydaniu odpowiednich rozkazów, zmierzających do stłumienia powstania w pierwszej chwili i niedopuszczenia do dalszego szerzenia się polskiego ruchu zbrojnego.



Zaprzysiężenie pułku P. O. W. przez Komendanta Okręgu Kornkego w roku 1920 pod W. Piekarami na Górnym Śląsku.

Powstanie 1919 roku, jest chwilą ocknienia się samowiedzy narodowej u Górnoślązaków, jest pomnikiem najdoskonalszego uzmysłowienia sobie miłości Ojczyzny Górny Śląsk stał się przez swe powstanie uczestnikiem bohaterskich tradycyj polskich powstań narodowych roku 1831 i 1863-go.

Ale i z punktu widzenia polityki międzynarodowej pierwsze powstanie Śląska posiadało wielkie znaczenie. Że Górny Śląsk zamieszkały jest przez Polaków, dowiedział się świat podczas rokowań pokojowych, na których delegaci polscy żądali wcielenia Górnego Śląska w ramy nowopowstającej Polski, lecz, że Górny Śląsk zamieszkały jest przez ludność polską narodowo uświadomioną, zdążającą konsekwentnie, na drodze przez siebie obranej, ku Polsce, o tem dowiedział się świat dopiero z chwilą wybuchu powstania.

Dyplomaci, w których rękach leżał los trwałego pokoju w Europie, dowiedzieli się ze zdziwieniem, iż, obok dymiących kominów i hut warczących, stanowiących główny przedmiot targów dyplomatycznych, siedziała szara niedola ludu polskiego — że na Górnym Śląsku wielka niesprawiedliwość dziejowa czekała na zadośćuczynienie.

Kiedy w nocy z dnia 19 na 20 sierpnia 1920 r. powstańcy górnośląscy po raz wtóry rozpoczęli pierwsze walki z Niemcami, początkowo nikt nie dawał temu wiary, a najmniej wierzyła w to Komisja Międzysojusznicza.

Ażeby spotęgować chaos niezaradności, zarządziła P. O. W. Górnego Śląska zniszczenie z chwilą wybuchu powstania wszelkich przewodów telegraficznych, by w ten sposób uniemożliwić powiatowym wła-

Przebieg powstania potwierdza słuszność przewidywań i wydanych przez P. O. W. rozkazów. Pierwsze trzy dni ruchu były decydujące. Nim powiatowe władze koalicyjne zdołały nawiązać kontakt z Kom. Międz. w Opolu, nim się zorjentowano w sytuacji, nim się zastanowiono nad rozkazami, jakie należy wydać, ażeby przywrócić stan normalny — powiaty katowicki, bytomski, pszczyński, zabrski i tarnogórski były, z wyjątkiem miast powiatowych, w rękach powstańców.

Powiaty lubliniecki, gliwicko - torzecki i rybnicki zajęte były przez oddziały powstańcze, w myśl rozkazów operacyjnych P. O. W.

Na terenach tych przestała istnieć prowokująca lud polski „Sicherheitspolizei", a nowa władza bezpieczeństwa zorganizowana została przez P. O. W. G. Śląska.

Dopiero po czterech dniach trwania powstania, władze koalicyjne zaczęły się zdobywać na trochę decyzji i żądały, ażeby powstańcy złożyli broń.

Komisja Międzysojusznicza rozpoczęła pertraktacje bezpośrednio z powstańcami, czyli uznała tem samem prawną podstawę istnienia formacyj powstańczych. W dodatku uznawano te formacje za zwycięskie, ponieważ wszystkie postulaty powstańcze zostały przez Komisję uznane i wypełnione. Dotyczyło to:

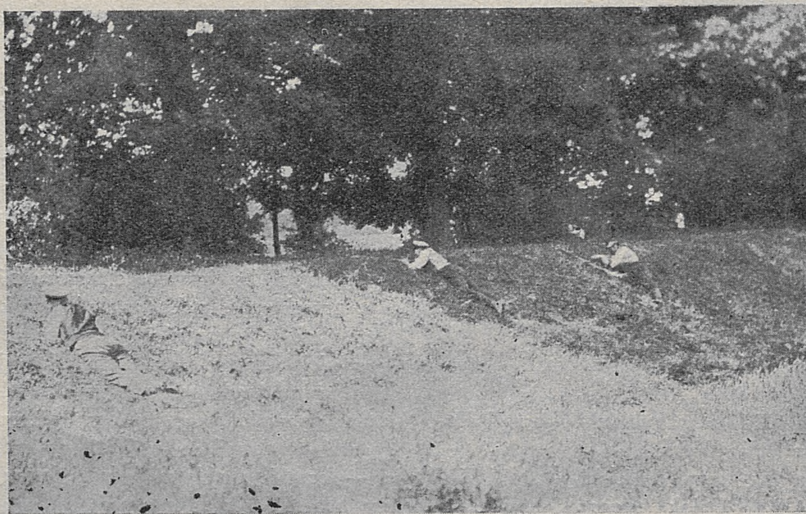
1) rozbrojenia, rozwiązania i wywiezienia poza teren plebiscytowy „Sicherheitspolizei";

2) uznania de jure i de facto stworzonej przez powstańców „Straży Obywatelskiej" tak długo, dopóki Komisja Międzysojusznicza nie stworzy, przewidzianej traktatem pokojowym „Policji plebiscytowej", zorganizowanej na zasadzie parytetowej.

Przyrzeczenie swoje władze koalicyjne niebawem zamieniły w czyn. „Sicherheitspolizei" skoncentrowano w Gliwicach, Rybniku i Opolu i tutaj ją rozbrojono. Urzędników jej, pochodzących z poza terenu plebiscytowego, wysyłano do miejscowości pochodzenia.

Wobec przyjętych na siebie i lojalnie wykonywanych przez Komisję Międzysojuszniczą zobowiązań, P. O. W. G. Śląska znalazła się w krytycznem położeniu, ponieważ masy powstańcze domagały się rozkazów, celem rozszerzenia powstania na cały teren plebiscytowy, leżący po prawej stronie Odry. Trudno było wytłumaczyć tym masom, które spontanicznie porwały za broń, że powstanie skończone. Widziały i czuły się zwycięskiemi i dlatego żądały ażeby powstania nie kończyć, dopóki cały teren plebiscytowy nie będzie w ręku powstańców i dopóki faktu dokonanego nie uzna Koalicja.

W dniu 25 sierpnia 1920 r., kiedy to powstanie osiągnęło największy rozmach — przybyli do P. O. W. G. Śląska z ramienia Polskiego Komisarza plebiscytowego, posła Korfantego, delegaci pp. Paluch



Pozycje powstańcze nad Odrą.

i Potyka i na konferencji u komendanta Zgrzebnioka uchwalono wydać rozkaz zaprzestania powstania, a to przez rozwiązanie P. O. W. G. Śląska.

Skończyła się po raz drugi rola P. O. W. G. Śląska, niewyzyskana w pełni rozmachu i możliwości, tym razem jednak po zwycięstwach, które dla sprawy polskiej na G. Śląsku posiadały olbrzymie znaczenie.

Pozornie P. O. W. G. Śląska została rozwiązana, lecz słusznie sądzono, iż należy, mimo chwilowych sukcesów i poprzednich wysiłków zbrojnych, nadal czuwać, przypuszczając, iż nawet akcja plebiscytowa nie odbędzie się zupełnie czysto, bez presji i wpływu wrogich nam czynników. Przeto w odpowiednim momencie konieczną być może interwencja z orężem w ręku.

I tak się stało. Plebiscytowe szacherki Niemców, przy biernem stanowisku władz Komisji Międzysojuszniczej stały się wręcz prowokacyjne, przytem bezczelny terror ze strony Niemców, uprawiany śród ludu śląskiego, spowodowały nadmiar krzywdy, wyładowany w spontanicznym odruchu trzeciego powstania, w końcowem, bezkompromisowem żądaniu przynależności do Polski, co też niebawem uwieńczono ostatecznem zwycięstwem, niestety, jednak nie dla całości Górnego Śląska.

Upłynęło lat kilkanaście od chwili zbrojnego ruchu Polskiej Org. Wojskowej na Śląsku i wybuchu kolejnych powstań w latach 1919, 1920 i 1921, przeciw kilkusetletniej okupacji niemieckiej.

Ze względu na czas ich trwania, jak i ze względu na warunki, w jakich powstania te odbywały się, zajęły się historją tego, w dziejach narodu polskiego bezprzykładnego ruchu, miarodajne czynniki badawczo-historyczne.

W czerwcu 1922 r. wojska polskie objęły w wieczyste posiadanie — jedną tylko część Górnego Śląska.

Tak chciały traktaty, które z Górnego Śląska uczyniły przedmiot zawziętych targów.

Ironją tragicznego losu, a zarazem policzkiem dla ówczas powstałej farsy plebiscytowej jest fakt, że powiaty najwięcej polskie, jak gliwicko-torzecki, strzelecki, opolski i kozielski, przyznane zostały Niemcom.

I kiedy na mniejszej części ziemi piastowskiej powiewają sztandary i chorągwie o barwach polskich, to na większej połaci tej samej piastowskiej ziemi panoszy się nadal nienawistny Niemiec.

Lecz tak, jak niezbadane są drogi dziejowych przeznaczeń, tak niezachwianą jest miłość do Matki Ojczyzny u nieszczęśliwych rodaków po „tamtej" stronie granicy, i to dodaje otuchy na przyszłość.

Tymczasem — duchy bezimiennych bohaterów Śląskiego P. O. W. będą trzymać czujnie straż nad Odrą, aż do czasu, w którym cały Górny Śląsk zostanie wcielony w skład Wielkiej, Potężnej Rzeczypospolitej Polskiej.

JAN PRZYBYŁEK (PRZYKÓR)

W przededniu powstania

Rok 1919. Słonko czerwcowe przypieka. Aż miło wypocząć na cienistem wzgórzu i popatrzeć hen w dal z uroczej Kalwarji Piekarskiej. Wzdłuż byłej granicy „Kongresówki" po stronie polskiej widać niebieskie mundury żołnierskie. To Hallerczycy, którzy wrócili do Ojczyzny i pełnią straż graniczną. Po drugiej stronie Brynicy postępuje krok w krok zajadły „greneszuc" niemiecki z pod znaku „Hörsinga".

Obaj z Zejerem zdążamy z Sosnowca, gdzie w dowództwie P. O. W. po zdaniu raportów z pracy na terenie Górnego Śląska od dwóch dni czekaliśmy na dalsze zlecenia. Komendant Główny Zgrzebniok Alfons razem z ekspertem do spraw wojskowych Podkomisarjatu Rad Ludowych naczelnikiem Dreyzą Józefem wyrazili swoje zadowolenie z dokonanych prac organizacyjnych w powiatach lublinieckim, oleskim, strzeleckim i opolskim, gdzie stosunkowo najtrudniejszą była „robota". Nawet w powiecie kluczborskim, przy pomocy dzielnego kolejarza Kawuły udało się rozciągnąć sieć organizacyjną.

Śpieszymy ku Bobrownikom, po drodze zakupując nieco okrasy, by przekupić lub obałamucić „greneszuc" w razie przyłapania przy przejściu przez granicę. Upatrzyliśmy sobie dzisiaj przejście — Wesoła-Józefka, ponieważ zdążamy do konspiracyjnej centrali łącznikowej na ulicę Kawaleryjską w Piekarach, dokąd przyjeżdża z raportem z „Oleskiego" Baron Jan. Mrok zapada już, gdy jesteśmy na posterunku Hallerczyków w Bobrownikach. Przedkładamy nasze konspiracyjne legitymacje, upoważniające do wielokrotnego przejścia granicy na wszystkich odcinkach. Oficer, Hallerczyk, który 24 godziny pełni tu służbę graniczną nie kapuje się i pomimo nalegania z naszej strony, że koniecznie dzisiaj nocą musimy przejść granicę w naglących sprawach organizacji wojskowej na Śląsku, zatrzymuje nas na odwachu. Nie pomaga najwyższe nasze oburzenie.

Zaczyna pracować telefon bobrownicki, by połączyć się z Dowództwem organizacji w Sosnowcu. Dopiero nareszcie nad ranem oficer, otrzymawszy porządną burę z dowództwa i natychmiastowe przeniesienie — przychodzi i przeprasza nas. — Niestety! — Przemycać się przez granicę w jasny słoneczny dzień — to trochę więcej, niż zwyczajna odwaga.—Do tego trzy nieprzespane z kolei noce. Ale cóż robić! Na godz. 7-mą wieczorem zamówieni są do centrali ludzie, mający odebrać instrukcję dla „północy". Wprawdzie raporty przyjęłaby kierowniczka centrali najstarsza córka Glazowskiego, jedyna wtajemniczona w sprawy organizacji — ale instrukcje znajdują się w mojej kieszeni.

Namawiam Zejera. Muszę przejść, chociażby to kosztowało życie. Ten, chcąc nie chcąc, dołącza się. Biorę przejście przez rzekę w Kamieniu — niezbyt głębokie, ale zato bardzo niebezpieczne. Odwach „greneszucu" z Kuny potrafi nas łatwo „złoenetkować", nie mówiąc już o patrolujących wzdłuż granicy „zielonkach" (Grenzjäger), Zapadamy w wodę po biodra i szczęśliwie dosięgamy drugiego brzegu bez strzału.



I Kompanja Bogucicka pod dowództwem ob. Kotlarza.

Zatem nie spostrzegli nas z Kuny. Niebezpieczeństwo jednak nie mija, musimy przejść mokrzy jak nurki ulicą patrolowaną przez „grenczuc“. I to nam się udaje. Poprzez pola — kierunek na dzisiejszą starą szkołę w Brzozowicach i dalej ku „złodziejskiej kolonji“ — ulatniamy się zygzakiem w wysokie żyto, zacierając za sobą ślady. Dopiero teraz oddychamy swobodniej. Zdejmując buty i spodnie, by wyschły na słońcu, przedewszystkiem badam, czy papiery nie zamokły i czy broń w porządku. Wypoczywamy jakieś dwie godziny. Dłużej nie wolno, aby się nie spóźnić. Przestrzeń stąd na Kawaleryjską dla zwykłego śmiertelnika niewielka. Może pół godziny drogi. Mnie natomiast, ściganemu namiętnie już od sześciu miesięcy przez władze pruskie — mogła ona zająć wiele godzin. Zbliżanie się do centrali musiało odbywać się przemyślnie, z zachowaniem największych ostrożności, bo niewolno mi narażać domu i jego mieszkańców na ewentualny terror.

Żegnam się z Zejerem, wskazując mu jak najlepiej i bezpieczniej, wzdłuż dzisiejszego nowego toru kolejowego, gdzie dawniej jeszcze były pola — przedostanie się do Radzionkowa, by zetknąć się z swoim zastępcą organizacyjnym na powiat tarnogórski, Frankiem Zającem. Ściskamy sobie mocno dłoń, nie wiadomo bowiem, czy nie po raz ostatni. Pozostaję sam — kombinując jak „przefrunąć“ niewidzialnie. Jest godzina 2-ga po południu. Decyduję się na krok dosyć karkołomny, ale dający więcej pewności dotarcia niespostrzeżenie do celu.

Wskakuję do znajdującego się w pełnym biegu tramwaju w polu pomiędzy Rozbarkiem a Szarlejem — by następnie przy tak zwanej „Klytagasse“ w Piekarach zeskoczyć znów w biegu, zdecydowany naturalnie na wszelkie ewentualności. Wpadam w uliczkę i różnemi kombinacjami, zacierającemi ślady — przedostaję się od pola przez ogród do domu — przypuszczam niespostrzeżenie. Obserwując poprzednio z ukrycia blisko godzinę dojście do domu, wydawało mi się, jakoby nie przypadkowo przechodził tam trzykrotnie ten sam żołnierz „grenczucu“.

W domu spotykam się ze starszą córką Glazowskiego. Tylko ona i jej matka w całym domu wiedzą, że jestem na miejscu — nikt poza niemi. Matka z konieczności toleruje wszystko, nie będąc naturalnie wtajemniczona w szczegóły — które wie tylko córka Klara. Referowane mi przez nią sprawozdanie z międzyczasu mej nieobecności przyjmuję posłusznie — tak okropnie czuję się zmęczony po ostatnich „strapacach“. Zasypiać jednakowoż jeszcze nie mogę — dopóki nie odprawię jeszcze Barona, który niebawem ma wpaść. Wyrażam moje obawy wobec panny Klary — czuję bowiem przez skórę, że coś jakby jeszcze wisi w powietrzu. Proszę, by dobrze obserwowała zbliżanie się przedewszystkiem Barona, który również od dłuższego czasu, jako komendant organizacji w Piekarach jest „łapany“ przez „grenczuc“.

Wtem wpada zadyszany kurjer, przynoszący niemiłą wiadomość, przesłaną poufnie od konfidenta naszego Lichoty — że „grenczuc“ jest na moim tropie, gdyż widziano mnie w tramwaju. Nie wiedzą tylko, gdzie się podziałem. Zawiadamiam o tem pannę Klarę. Nie zastanawiając się zbytnio nad ostrzeżeniem, myślę tylko o najprędszym wypoczynku. Niedługo przychodzi Baron. Załatwiam go pośpiesznie i przesyłam na nocleg o jeden dom dalej do znanego nam p. G. — orjentując o doniesieniu poufnem.

A teraz — warto pomyśleć o sobie. Radzą, abym poszukał innej pewniejszej kryjówki. Ja decyduję się zostać i tylko „o jedną ścianę“ przenieść się do współlokatora K., którego poprosi się o nocleg, nie wtajemniczając go w resztę.

Śpię sobie w najlepsze i tak twardo, że nie wiem, iż od dwóch godzin, t. j. zaraz po godzinie 2-giej w nocy odbywa się już w całym domu rewizja w poszukiwaniu mnie. Wystraszona rodzina K. budzi mnie nareszcie, obawiając się skutków przy ewentualnem przyłapaniu mnie w ich mieszkaniu. Przeraziłem się z początku, odrazu jednakże „pozbierałem“ zmysły, już teraz nieco wypoczęte. Przez ścianę słyszę, jak stary „offizierstellvertreter“, dowodzący blisko półkompanją grenszucu — rozstawioną z ciasnemi odstępami naokoło domu (co mogłem zaobserwować przez okno) rozmawia z jakimś innym krzykaczem, który zapewnia, że ja muszę znajdować się w domu — bo dom był przez patrole obserwowany, a ja mieszkania nie opuściłem.

Słysząc tak konkretne postawienie rzeczy — na wszelki wypadek zaproponowałem K. plan, według którego winienby był postępować w razie nacierania „grenczszucu“ do jego mieszkania. Chodziło mi o to, ażeby jaknajdłużej odwlekać, ewentualnie odstraszyć grenszuc od wejścia do mieszkania. Żona K. znajdowała się w poważnym stanie. Po ostatecznem już wykorzystaniu planu, gdy pomimo to grencszuc zdążałby do drugiego pokoju — pierwsze łóżko, maskujące tylko nakryte skrzynie i kozły, przy poruszeniu rozwaliłoby się z łoskotem. Wtedy, żona K. miała popaść w omdlenie. Gdyby i to nie pomogło i żołnierze zmierzaliby do drugiego łóżka, w którem leżałem ukryty — mieszkańcy pośpiesznie z dziećmi mieli opuszczać pokoje. Bowiem na ostateczny ratunek miałem przy sobie nieodstępne trzy „jajka“ żelazne — jedno poszłoby w pokój — drugie przez okno i...

Na szczęście — jakby pod suggestją — grencszuc pominął akurat to mieszkanie nic przypuszczając, żeby ścigany odważył się na śmiałość i poszedł tylko o jedną ścianę z mieszkania właściwego. Rewizja, która skończyć się mogła dla mnie tragicznie, niepozbawiona była i wesołych stron. Trzy córki Glazowskiego, wyrwane ze snu zaczęły odbywających rewizję dezorjentować, wyprowadzając ich swoim tupetem i pewnością siebie z równowagi z jednej strony — z drugiej znów stwarzając sytuację niecomal humorystyczną. Starsza — Klarcia zaczyna grać na fortepianie — młodsza Wita, dzisiejsza komisarzowa Drobniewiczowa urządza sobie niewinny flirt z jednym z sierżantów grencszucu, i dowiaduje się od niego następnie, że dom od tygodnia jest pod obserwacją i tak długo będzie w niej trwał, dopóki nie złapią Przybyłka. Cywil, który taki rej wodzi przy rewizji, jest to znany przy Dywizji 117 kierownik wywiadu niemieckiego Lesznik. Pomiędzy innymi poufnie oświadcza sierżant, że władzy pruskiej bardzo zależeć musi na schwyceniu Przybyłka, jeżeli już Lesznik osobiście dowodzi rewizją.

Godzina 5-ta nad ranem, rewizja według mniemania wszystkich ukończona, bo grencszuc opuścił dom. Mieszkańców domu nie zastanowiła ona zbytnio — wszak to nie poraz pierwszy. Dziwiły wszystkich tylko rozmiary rewizji, gdyż nie znano tutaj ogólnie wypadku, żeby aż połowa kompanji grencszucu ścigała jednego przestępcę. Pomylili się ci, którzy sądzili, że z odmaszerowaniem grencszucu rewizja skończona. Nie upływa pół godziny, gdy wpada z powrotem osobiście wspomniany Lesznik... Rzekomo przez zapomnienie zostawił laskę, która też rzeczywiście ukryta znajduje się w mieszkaniu. Znów w godzinę później wpada trzech żołnierzy, by zabrać staremu Glazowskiemu obłożone aresztem — mundury wojskowe niemieckie, któremi G. uprawiał handel, a grenszuc twierdził, że to mundury, w które Przybyłek ubiera „wojsko polskie“. W międzyczasie Glazowski mundury usunął na piekarnik, a do tych trzech żołnierzy powiada, że skrzynię z mundurami przed chwilą zabrało już innych czterech. Ci w mniemaniu, że to ich koledzy zabrali mundury, nie zostawiwszy potwierdzenia odbioru, udzielają wymaganego przez Gl. poświadczenia. Gdy później zorjentowali się — Glazowskiego już nie było, wyjechał bowiem w niewiadomym kierunku.

Reszta dnia jakoś mija już spokojnie. Wieczorem młodsza — Wita ma z sierżantem randkę, skąd dowiaduje się, że obserwacja domu jest obostrzona. Na drugi dzień podchodzi do składu kolonjalnego obcy mężczyzna i prosi o rozmowę z najstarszą, Klarą. Wypowiada znane hasło i wręcza jej wydobytą gdzieś z mankietu małą karteczkę dla Przybyłka. Jest to goniec z Piotrowic ze Śląska Cieszyńskiego, gdzie mieści się przejściowo Główny Sztab organizacji wojskowej na Śląsk, który zwo-

luje na dzień 11 czerwca zebranie wszystkich komendantów powiatowych. Przybyłek ma rozkaz sprowadzić komendantów z pięciu północnych powiatów, przytem Kornkego Rudolfa i Barona Jana na ową odprawę. Odprawa ma odbyć się za trzy dni, więc niema czasu do stracenia. Komendantów z północy zawiadamiają do spółki Renka Wincenty, Glazowska Klara i Baron Jan — powiat lubliniecki znów Kornke Rudolf.

To wszystko odbywa się przy zaostrzonej obserwacji grenczszucu. Trzeciego dnia rychło rano — godzina 3-cia — ostrożnie i nieznacznie z okna K. wyłania się postać, która czołgając się następnie, znika niespostrzeżenie w zbożu. Najgorzej przedostać się do krzyża na Kociegórki, skąd jakoś pójdzie. Dalej polami do stacji kolejowej w Bytomiu.

W bilet peronowy zaopatrzyli mnie moi ludzie w dniu poprzednim. W ostatniej minucie w największym pośpiechu mijam halę dworcową, wskakując do odjeżdżającego już pociągu w kierunku na Jastrząb-Moszczenica. Kupno biletu zgłaszam w pociągu. W Moszczenicach przejście granicy do Piotrowic jest stosunkowo mniej niebezpieczne. Na zebranie do Piotrowic zjeżdżają się najwięksi spiskowcy P. O. W. ze wszystkich stron Śląska. Tutaj człek trochę raźniej się czuje i swobodniej oddycha, bowiem nie grożą mu tu „haftbefele" — ani śmierć, czy długoletnie więzienie pruskie... Lecz na jak długo?...

JAN ZEJER

Geneza i przebieg I Powstania Śląskiego

(R e l a c j a)

Początek nieoficjalny ruchu powstańczego datuje się od końca listopada 1918 roku, dnia nie pamiętam, kiedy to z ramienia Sokoła powiat tutejszy został podzielony na okręgi i obsadzony mężami zaufania, a z których to okręgów i ja miałem jeden powierzony. Tymczasem organizacja ograniczyła się do roli obserwacyjnej i politycznej i do upatrzenia mężów zaufania w poszczególnych miejscowościach, nie przybierając szerszych rozmiarów.

Dopiero z początkiem stycznia 1919 r. po zawiązaniu się głównego Komitetu organizacyjnego P. O. W. rozpoczęła się właściwa robota konspiracyjna i organizacyjna.

W lutym na posiedzeniu odbytem w Ulu wszyscy Komendanci Powiatowi zostali zaprzysiężeni przez główny Komitet, w którego skład wchodzili ob.ob.: Zgrzebniok, Dreyza, Grzegorczyk (Kosa), Lazar (Laska), Lampner, Rumpfeld, Jasionek i Wiza. Z powiatu tarnogórskiego był obecny oprócz mnie, i p. Gajdas, aptekarz z Radzionkowa. Nieco później zebrałem wszystkich moich upatrzonych miejscowych organizatorów z całego powiatu do biura Rady Ludowej w Radzionkowie, i zaprosiłem na to zebranie ob. Lazara, który po zaznajomieniu obecnych z celem organizacji dokonał zaprzysiężenia zebranych.

W pierwszym roku pracy organizacyjnej pomocnikami moimi byli ob.ob : Wilhelm Mazur, Ignacy Winder, Piotr Nowak, ś. p. Jan Nowak i Paweł Pietryga. Początek organizacji połączony był ze stosunkowo bardzo wielkiemi trudnościami komunikacyjnemi, ze względu na to, że z początkiem roku 1919 zaprowadzili Niemcy na kolei szalone ograniczenia przy zakupie biletów kolejowych. Wskutek tego częstokroć zimową porą trzeba było w jedną stronę iść pieszo dwadzieścia kilometrów, by potem odbyć tę drogę również pieszo z powrotem.

Naogół przy wynajdywaniu miejscowych mężów zaufania nie natknąłem się na obawy czy też niechęć do sprawy ze strony werbowanych. Mężowie zaufania po otrzymaniu ode mnie szczegółowych objaśnień organizowali dalej, a gdy się zebrała większa ilość niezaprzysiężonych, przybywałem od czasu do czasu na miejsce, by odebrać przysięgę. Takie schadzki urządzaliśmy przeważnie w lasach np. Stolarzowice, Puferki i t. p.

W końcu maja 1919 roku otrzymałem ja jak i pozostali komendanci powiatów, kilkaset czerwonych plakatów, wzywających całą ludność do zachowania spokoju i pozostania na zajmowanych posterunkach.

Dotyczyło to szczególnie urzędników Niemców, Stosstruplerzy powinni, w myśl tych odezw czemprędzej Górny Śląsk opuścić. Miało to związek z pogłoskami, że Górny Śląsk został przez Koalicję bez plebiscytu przyznany Polsce. Pewnej nocy, z niedzieli na poniedziałek, zostały owe plakaty rozlepione przez naszą organizację w całym powiecie, co na Niemców podziałało jak czerwona płachta na byka. Na tem tle dochodziło do prowokacyj i prześladowań. Doszło też do zabójstwa oficera niemieckiego w Nowym Radzionkowie.

Akurat w tym czasie mieliśmy konferencję w Piotrowicach na Śląsku Cieszyńskim a ponieważ stacje kolejowe były już obsadzone przez Grenzschutz musiałem iść pieszo razem z robotnikami zdążającymi do kopalni w Bytomiu.

W drodze spotykałem okropne masy Grenzschutzu maszerujące do Radzionkowa. Była tam piechota z ciężkiemi kulomiotami, miotaczami min i nawet artylerja. W Bytomiu na stacji kolejowej dowiedziałem się, że kolejarze zastrajkowali, czyli, że nie możemy jechać dalej, wskutek czego musiałem pozostać w mieście w składzie mebli p. Piotrowskiego aż do wieczora. Następnego dnia dowiedziałem się że cały pułk piechoty, otoczył wieś Radzionków, a wewnątrz na targowisku ustawili kulomioty, artylerja zaś zajechała z boku od wsi i skierowała lufy na Radzionków. Piechota przeszukiwała wszystkie domy, przyczem znaleźli coś około 10 sztuk starych rosyjskich karabinów, które sobie żołnierze z wojny światowej przynieśli na pamiątkę. Właścicieli tych karabinów zabrali Niemcy do więzienia Bytomskiego, jednakże z powodu braku bliższych dowodów winy, oraz nieużyteczności owej broni musieli już w dniu następnym zwolnić. Nastąpił stan oblężenia, a potem i wyjątkowy lecz wszystko bez skutku, bo sprawców rozklejania afiszów i zabójstwa oficera nie znaleźli.

Żeby jaknajszersze masy przyciągnąć do P. O W. założyłem w kilku miejscowościach Związek wojacki Polaków. Niedługo jednakże udało nam się naszą robotę ukrywać pod nazwą wyżej wymienionego Towarzystwa, albowiem Niemcy już wkrótce zorjentowali się i pilnie ten ruch śledzili. Trzeba było tej akcji zaniechać.

Nie od rzeczy będzie wspomnieć tutaj o ś. p. Laryszu, synowcu aptekarza Gajdasa w Radzionkowie. W marcu 1919 roku wrócił on jako oficer artylerji niemieckiej z wojska, i zorjentowawszy się w zmianie stosunków zaszłej podczas jego nieobecności, nie mógł się z tem pogodzić. Był to człowiek bardzo inteligentny i rozumny. Wraz ze swoim ojczymem wracał raz wieczorem o godz. 11,30 z odwiedzin u znajomych. Spotkał ich patrol Grenzschutzu, krzycząc „Hände hoch", do czego jednakże ś. p. Larysz nie zastosował się, patrol ów pytał go o broń — tenże odpowiedział, że broń ma przy sobie. Ponieważ Grenzschutz domagał się „Waffenscheinu", którego ś. p. Larysz przy sobie nie miał, musiał ojczym jego pójść do domu i przynieść żądany dokument, poczem dopiero zostali puszczeni na wolność. Następnego dnia z powodu zmiany komendanta odcinkowego (zmieniali się oni b. często), dowódca kompanji stacjonowanej w Radzionkowie dał rozkaz do aresztowania ś. p. Larysza, co się też stało i dopiero kiedy ś. p. Larysz porozumiał się z komendantem odcinka, który również na szczęście był oficerem artylerji, został zwolniony z więzienia, jednak broni zabranej z powrotem nie otrzymał. Przez pewien czasokres odbywały się codzień rewizje w aptece i w mieszkaniu pp. Gajdasów. Tego rodzaju szykany wpłynęły na ś. p. Larysza do tego stopnia, że przysiągł on zemstę, i przystąpił natychmiast do P. O. W., zgłaszając się u ob. Grzegorczyka w Bytomiu, do dyspozycji władzy naszej. Pracował razem ze mną jako mój zastępca. Urządzaliśmy z nim wspólnie zbiórki kompanijnych albo u Fliegera w kawiarni w Bytomiu albo w lesie pod Stolarzowicami, czy Puferkami, zaś pododziałów w pobliżu odnośnych miejscowości.

Sytuacja była bardzo naprężona, Hörsing dawał coraz to silniej swoją łapę odczuwać Polakom, wskutek czego zanosiło się na strajk. Nieporządki i niesprawiedliwość we wszystkich dziedzinach już oddawna wytworzyły przeciwieństwo pomiędzy ludnością polską Śląska i rządem pruskim. Wojna różnicę jeszcze zaostrzyła. Prasie polskiej nie wolno było bronić interesu ludności polskiej. Robotników polskich nawet inwalidów zaciągano stosunkowo liczniej do służby wojskowej niż Niemców. Szalony brak środków żywnościowych jak i przemysłowa gospodarka żywnościowa nadwątliły siły fizyczne ludności polskiej, zmuszonej do wytężonej pracy, przy głodowych zarobkach. Robotnikom polskim grożono wysłaniem do okopów, jeżeliby głośno swe żądanie byli wypowiedzieli. Rewolucja z dnia 9-go listopada nie polepszyła położenia gospodarczego, bowiem choć podwyższono zarobki, ale w tej samej mierze podskoczyły ceny na artykuły codziennej potrzeby, do czego przyczyniło się paskarstwo znanych śląskich niemieckich lichwiarzy. Robotnikowi polskiemu w Niemczech i zagranicą urabiali opinję, że jest leniuchem i jest winien brakowi węgla. Było to świadomem przekręcaniem faktów. Powody braku wę-

gla w Niemczech były zgoła inne. Władze nemieckie celowo nie dostarczały kopalniom śląskim wagonów, tak, że węgiel leżał na hałdach i pa'ił się. Po oddaniu Francji taboru kolejowego zdołano dziennie dostarczać kopalniom śląskim jeszcze 5000 wagonów. Naraz zniżono ową liczbę w czerwcu 1919 roku do 2000. Dlaczego? — tylko rząd pruski jest w stanie na to pytanie odpowiedzieć. Tendencyjnie kładziono brak węgla na kark robotnika polskiego i posądzano go krzykliwie o dążności spartakistyczne, co go naturalnie bolało i oburzało.

Tworzenie oddziałów ochotniczych. Zaczęto tworzyć niemieckie oddziały ochotnicze. Włączono w nie wielu robotników i urzędników kopalnianych i hutniczych płacąc im dalej dniówki i pensje. Wskutek tego już wówczas w różnych kopalniach doszło do strajku, ponieważ ci pasożyci nie tylko by'i podwójnie opłacani ale również i odżywiani (np. robotnik polski otrzymał na cały tydzień przydział pół funta mięsa, podczas kiedy taki „ochotnik" otrzymywał taką samą porcję na jeden dzień). Dnia 1-go sierpnia formacje ochotnicze zlikwidowano lub przemieniono na odziały obrony krajowej („Reichswehr"). Nasi robotnicy sprzeciwiali się ponownemu przyjęciu „Grenzschutzów" do pracy, a to zupełnie zrozumiale, albowiem przez długi czas ci nierobisie otrzymywali podwójne pensje i podwójną żywność, gdy kopalnie obeszłyby się bez nich. Byli to tylko szpic'e i podżegacze.

Niektóre kopalnie wskutek tego zastrajkowały, a'e dyktator Hörsing domagał się przyjęcia z powrotem tych ludzi i stanowczo zażądał, że wszyscy robotnicy, którzy się temu sprzeciwiają, mają być wyda'eni z pracy, co się też stało. Na strajk robotników odpowiedzieli urzędnicy tem samem, wskutek czego została zamknięta kopalnia Lithandra, co spowodowało wzrost liczby bezrobotnych.

Drożyzna, brak żywności, terror polityczny i wojskowy, wydalanie robotników z pracy wywołały wśród robotników wrzenie. Agitowano za strajkiem generalnym. Polacy nie byli skłonni do strajku. Mimo to doszło dnia 11 sierpnia do wybuchu strajku generalnego. Jak zwykle, tak i tym razem pracodawcy odrzucili żądania strajkujących. Dnia 12 sierpnia w Katowicach zebrali się mężowie zaufania wydziału związków zawodowych robotniczych. Robotnicy zmuszeni byli zwrócić się do Komisarza plebiscytowego, gdyż pracodawcy nie chcieli wdawać się z nimi w żadne układy. Hörsing zwołał w celu omówienia sprawy posiedzenie do hotelu Wienerhof w Katowicach, na które zaproszono kilku mężów zaufania, zastępców pracodawców i organizacyj zawodowych. Na tem posiedzeniu zostały wysunięte następujące żądania: 1) natychmiastowe przyjęcie wszystkich wydalonych robotników do pracy, (równocześnie wniesiono energiczny protest przeciwko przyjmowaniu byłych „Grenzschutzów" do pracy); 2) uruchomienie wszystkich fabryk zastawionych; 3) złagodzenie stanu oblężenia tak, ażeby można bez przeszkód odbywać zebrania i wiece w sprawach gospodarczych, 4) przyjęcie do kartelu Polskiego Centralnego Związku Zawodowego (Polskich Socjalistów).

Zastępcy organizacji zawodowej zgodzili się na poparcie tych żądań, jednakże uzależnili to od tego, ażeby w dniu 13 sierpnia strajkujący powrócili do pracy. Wskutek dalszego rozszerzania się strajku zebrali się ponownie w środę dnia 14-go kwietnia mężowie zaufania, lecz obrady ich były bezskuteczne.

Pracodawcy oświadczyli, że są gotowi do układu, ale dopiero po likwidacji strajku. Rozpoczął się lokaut.

Wiadomość ta rozgoryczyła szalenie naszych robotników i lada drobnostka mogła spowodować rozruchy nawet na większą skalę. Tak się też i stało.

Główne dowództwo P. O. W. mieściło się wówczas na Śląsku Cieszyńskim w Strumieniu, dokąd udawaliśmy się zawsze na konferencje.

Z początkiem sierpnia 1919 roku w mieszkaniu p. Maciejczyka w Bytomiu, dowiedzieliśmy się o grozie nadchodzących dalszych nemieckich posiłków wojskowych. Grzegorczyk wyjechał właśnie do Strumienia na konferencję. W parę dni później przybył na takie posiedzenie niejaki p. Barlong z Poznania i wyraził gotowość dostarczenia z Poznania żywności na wypadek powstania. W następnych dniach uwięziono ś. p. Wolskiego Michała z Bytomia, co spowodowało wielkie oburzenie wśród naszych, a co miało związek z przemytnictwem niemieckiem do Polski. Wzburzenie umysłów było ogromne, jednakże w tak ważnej chwili zdołaliśmy zachować spokój. Zastanawialiśmy się obszernie nad całem położeniem i postanowiliśmy powstanie wywołać. Wobec tego atoli, że Grzegorczyk ze Strumienia nie wrócił przeczuwaliśmy, że został on na pograniczu aresztowany. Postanowiliśmy prosić na tę konferencję jeszcze kilku ze starszych inteligentnych Polaków, aby posłuchać ich rady. Przyszli pp. Hanke, Cyran i Rybarz, pierwszy z nich nie chciał nic słyszeć o akcji zbrojnej. Inni dwaj stawili się do naszej dyspozycji. Zadecydowaliśmy podjąć ostateczną walkę z nieprzyjacielem. Dowództwo główne powierzono ob. Wolskiemu Adamowi z Szarleja. Inne funkcje obsadziliśmy obecnymi. Po ustaleniu czasu ruszenia pojechałem ze ś. p. Laryszem pociągiem do Radzionkowa, gdzie po przyjeździe omówiliśmy wspólnie plan operacyjny na powiat i postanowiliśmy rozbroić powiat. Zaznaczam, że do dyspozycji miałem 11 kompanij, które podzieliłem w następujący sposób: te formacje, które w swojej wsi miały Grenzschutz, rozbroją nasamprzód tenże, a potem udadzą się pierwsze cztery kompanje t. j. z wiosek: Mikulczyce z d-cą ś. p. Ogórkiem, Wieszowa, Górniki, Stolarzowice z d-cą Kocybikiem Szczepanem, Repty Stare i Nowe z d-cą Waliską Janem, Stare Tarnowice, Mieda-ry, Wilkowice, Laryszów i Piaseczna z d-cą Zorychtą, na koszary kawalerji w Tarnowskich Górach. Drugie cztery kompanje z powiatu, a m.: Miasteczko, Żyglin Wielki, Mały, Jędrysek okolica, Bibiela i Brynica z d-cą Łapokiem Pawłem z Miasteczka; Chechło Stare, Nowe, Radzionków z d-cą Paligą Franciszkiem; Rudne, Piekary, Bobrowniki i Suchą Górą z d-cą Książkiem Stanisławem na koszary piechoty w Tarnowskich Górach. Pozostałe trzy kompanje (d-ca Słota Antoni i Urbańczyk Piotr) delegowałem do Nakła. Kompanja 11-ta z d-cą Miglusem Janem miała operować w Nowym Radzionkowie.



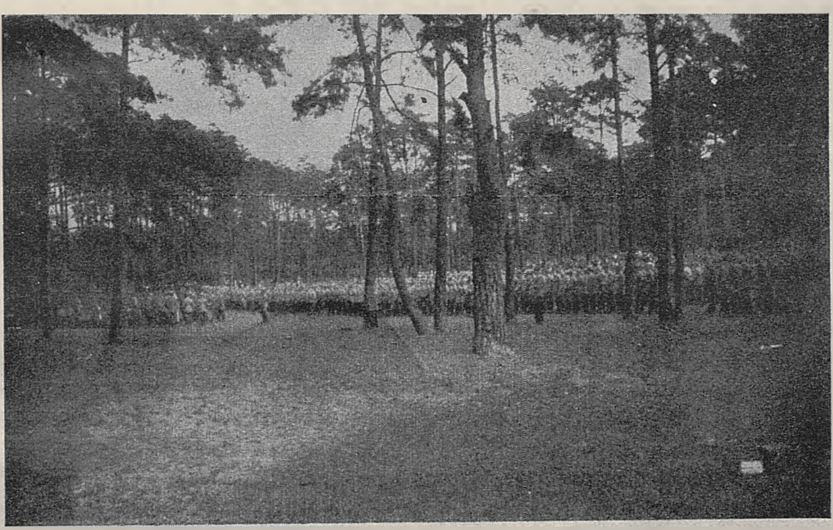
Konferencja dowództwa P. O. W. w Strzemieńcu na Śląsku Cieszyńskim w r. 1919.

O 1.30 w nocy miała się rozpocząć walka na całym Górnym Śląsku. Wobec tego, w Radzionkowie już o 11-tej zaczęło się bieganie naszych ludzi bądź to z bronią bądź też z ręcznymi granatami. Znamiennem było to, że patrole zwykłe Grenzschutzu nie pokazały się wogóle we wsi.

O godz. 12.30 zbieraliśmy się za Radzionkowem, skąd w kolumnie czwórkowej wyruszyliśmy przez Rudne Piekary do Tarnowskich Gór. Nie brakło też przytem ciekawych, którzy nie należąc do organizacji szli za nami przez ciekawość, a nawet kilku takich wstąpiło do szeregów. Jednakże z braku broni nie mogli brać czynnego udziału w walce. Wskutek tego, że kompanje miały za zadanie najpierw rozbroić miejscowy oddział wroga (co prawie nigdzie gładko nie poszło), czas rozpoczęcia akcji przewlekł się do godziny 3-ciej. Przekonaliśmy się już po pierwszych paru strzałach, że Grenzschutz był dokładnie poinformowany o powstaniu, albowiem, mimo pozornie ciemnych okien w koszarach, z karabinem w ręku i ustawionemi maszynkami nas przywita'i, i kiedyśmy przeskakiwali przez mur z tyłu do podwórza koszar — dali ognia, a nieco później wylatywali z mieszkań prywatnych z miasta żołnierze z bronią i strzelali z tyłu do nas, co spowodowało popłoch. Z patrolu wysłanego poprzednio w kierunku wartowni koszar piechoty, ugodzony kulą w szyję zginął ś. p. Pietryga Augustyn z Radzionkowa na czele swojej sekcji. Rozproszyło się wszystko. Każdy na swój sposób szukał ucieczki, ulegając przewadze liczebnej znakomicie uzbrojonych Niemców, podczas gdy u nas przeciętnie co piąty żołnierz miał broń. Od koszar odbici, musieliśmy się wycofać aż poza mur tylny, skąd po raz drugi i trzeci

usiłowaliśmy szturmować koszary. Musieliśmy jednak z naszego zamiaru zrezygnować, tem więcej, że w międzyczasie kawalerja rozpoczęła ściganie. Ponieważ o zwartem wycofaniu się nie mogło być mowy, chronił się każdy na swój sposób, bądź to ucieczką, bądź też przez rzucenie się na polu. Naprzykład ob. Mazur, widząc, że go goni konnica, rzucił się do kartofli i leżał tak w rządku, twarzą w górę, nie zważając na komary i robaki, przez cały dzień, od 5-tej rano do 9-tej wieczorem, nieruchomo, udając zabitego. Dopiero nocy następnej mógł się udać do dalszej wioski, do krewnych. Kompanja Waliski Jana z Reptów uciekając, trzymała się na ogół razem, tak długo, aż kawalerja złapała Waliskę, i doprowadziła do więzienia, gdzie w okrutny sposób bito go do krwi i różnemi sposobami wymuszano od niego zeznania. Walisko, licząc się nawet z najgorszemi możliwościami szykan i tortury — nie zdradził nikogo.

My obydwaj z ś. p. Laryszem widząc, że o dalszej walce nie ma co marzyć, poszliśmy do domu, następnie do Bytomia,



Nabożeństwo w obozie powstańczym.

by zasięgnąć informacji, jak się sprawa ma w innych powiatach. Przyszedłem do domu i zaledwie zdążyłem buty z siebie zrzucić dowiaduję się, że patrol Grenzschutzu idzie do mojego domu. Wskutek tego uciekłem oknem, a stamtąd do sąsiada, gdzie się schowałem do czasu, aż Niemcy poszli. Ów patrol dowiedział się bowiem, że ja wróciłem już do domu. Chcieli mnie schwytać. Na pytanie, czy jestem w domu, matka odpowiedziała, że nie — i poszli sobie dalej. Po odejściu Grenzschutzu, wróciłem, ubrałem i oczyściłem się, i udałem się do Piekar. Przyszedłszy na Józefkę, na główną szosę, widzimy konnego żołnierza Grenzschutzu, jadącego ku nam. Śledzimy go. Ten zaś, przejeżdżając koło nas, pyta się, jak tam u nas wypadło. Jak z dalszej rozmowy wywnioskowałem, był to powstaniec z Bytomskiego powiatu. W Wielkich Piekarach zastaliśmy wielki ruch, jedni wiozą zabitych i rannych, drudzy transportują broń, a kobiety i starcy stoją gromadkami i obradują nad sytuacją. Siedliśmy do tramwaju i zajechaliśmy do Bytomia. Tam najpierw poszedłem do głównego d-twa, do mieszkania ob. Maciejczyka, gdzie dowiedziałem się o rozpaczliwem położeniu powstańców. Udałem się do składu mebli p. Piotrowskiego na Rozbarku, dokąd w ciągu dnia przynosili kurjerzy raporty ze wszystkich powiatów. Później przyszli do nas ob. ob. Gajdas i Szyler, a wieczorem ś. p. p. Larysz. W składzie mebli przenocowaliśmy. Rano o godz. 4-tej gospodyni krzyczy, ażebyśmy się czemprędzej stąd wynieśli, ponieważ Grenzschutz urządza kolejno dom za domem rewizję, w poszukiwaniu broni, przyczem strzelają. Już drugi dom obok nas zrewidowali. Zrywamy się czemprędzej, ubieramy się i wychodzimy. Zauważyliśmy, że Grenzschutz pędzi przechodniów przed sobą, nie przepuszcza zaś nikogo, idącego naprzeciw, a w tym kierunku myśmy właśnie musieli iść.

Wychodząc z domu, nie namyślam się długo, lecz idę naprzeciw Grenzschutzu, mijam tę masę pędzących przed sobą ludzi, przechodzę koło Grenzschutzu i... udało mi się dziwnym trafem przejść przez kordon. W ten sam sposób uczynił ś. p. Larysz. Następnie pojechaliśmy tramwajem do Siemianowic, gdzie nazbierało się nas więcej i, wykorzystując moment stosowny, przeszliśmy przez granicę, albowiem mnóstwo ludzi otoczyło posterunek graniczny Grenzschutzu.

Poprzednio w Bytomiu widziałem, jak Grenzschutz woził na samochodach ciężarowych do koszar powstańców, przyłapanych z okolicy, obitych do krwi, z rękami założonemi na głowie. Umieszczono ich w Exerzier-Schuppen i dalej w nieludzki sposób bito. Przywiązywano ludzi do koni i zmuszano ich do wołania: „Niech żyje Reichswehra, na pohybel Polsce". Ulubionem narzędziem do katowania były plecione druty elektryczne. Kopalnia Radzionkowska dostarczała wojsku takich drutów, długości metra, do chłostania aresztowanych. Bito wszystkiem, co tylko było pod ręką, naturalnie, bito także gołą pięścią i szablą. Katowani musieli swą własną krew zlizywać z ziemi. Innych puszczono przez rózgi, rozciągano ich na stołach i ławkach i bito ich, aż do omdlenia. Na widok krwi bryzgającej, żołdactwo pruskie drwiło: „Patrzcie, jak się pocą". Z dziką radością przyjmowali każdy nowy transport jeńców, których setkami spędzano z wiosek.

W podwórzu górnika Franciszka Zająca w Kozłowej Górze, zeszło się dnia 21-go sierpnia 1919 roku około 30 żołnierzy, i wołali go po nazwisku.

Zawołany natychmiast wyszedł, pewny, iż mu się nic złego stać nie może. Zdziwił się jednak, kiedy oficer nazwał go „królem polskim" i aresztował go. Żołnierze zaczęli kpić z niego. Po zrewidowaniu jego domu, jak i całej wioski, zgromadzono żołnierzy i zaczęto wołać: „wszystko do budy, zamykać drzwi i okna!" Wtedy górnika Zająca zaczęli okładać wężem gumowym, wskutek czego kilkakrotnie upadł na ziemię. Żądali od niego, żeby im wskazał, gdzie znajdują się polskie chorągwie, a gdy się wzbraniał powiedzieć, bito go znowu. Ponieważ nie mógł już znieść bólu, więc powiedział, że u przewodniczącego są chorągwie. Musiał więc iść i wskazać mieszkanie przewodniczącego Towarzystwa. Żona przewodniczącego wskutek groźby zastrzelenia wydała chorągwie polską i francuską. Obie dano Zającowi do rąk i prowadzono go przez wieś, zmuszając do wołania: „Niech żyją Niemce, precz z Polską"! Transportowano go do Świerklańca, krętą drogą przez las. Musiał biec co tchu starczyło, ponieważ żołnierze pędzili za nim kłusem. Dwa razy upadł na ziemię, bo go najechali końmi. W lesie musiał Zając stanąć w otwartem miejscu, gdzie wojsko polskie, oddalone o jakie 1000 metrów dobrze mogło go widzieć, kazano mu machać chorągwiami i wołać: „Na pohybel Polsce, niech żyją Niemcy!". Przy Świerklańcu znowu go bito i lżono. Wszystko to działo się w obecności dowodzącego oficera, który zachęcał żołnierzy do większych okrucieństw i który Zającowi groził, że wkrótce zostanie zastrzelony. Zając przesiedział niewinnie 5 tygodni w więzieniu, skąd wypuszczono go bez sądu.

Koszary Radzionkowskie były zajęte jako katownia dla złapanych powstańców, których kładziono kolejno na ławę i bito jednocześnie żyłami, drutami i rzemieniami. Zwykle katowano ofiary aż do utraty przytomności. W taki to sposób obito 19 sierpnia 9-ciu powstańców: Józefa Wyrwoła, Antoniego Kalinowskiego, Leopolda i Piotra Misia, Franciszka Urbańczyka, Sylwestra Polaczka i Kalusa z Rojec, wymierzając im najpierw po 25, a później po 125 razów. Antoni Kalinowski dostał wskutek tego kurczów nerwowych i prosił o przerwę w biciu, na co mu zawiązano usta wiązką słomy i bito dalej.

Katowanych przymuszano do śpiewania pieśni niemieckich. Ob. Józefowi Urbańczykowi z Radzionkowa wymierzono sto batów w trzech porcjach. Wyciągnięty na ławie dostał najpierw 25, potem 50 razów, zaś ostatnich 25 ominęły go wskutek utraty przytomności. Musiał wołać „niech żyje Reichswehra" i śpiewać „Deutschland über alles". Dopiero potem przystąpiono do przesłuchiwania świadków.

W Suchej Górze w powiecie tarnogórskim urządzono również wiele rewizyj i aresztowano masę ludzi. Przy poszukiwaniu znaleźli Niemcy w jednem z mieszkań spis różnych nazwisk. Właściciel oświadczył, że są to nazwiska członków Różańca. Żołnierze szydząc, odpowiedzieli, że dziś już niema takich głupich, którzyby różaniec odmawiali.

Po przejściu przez granicę, udaliśmy się do Saturni, następnie do Sosnowca na ulicę Kołłątaja 8, do biura Naczelnej Rady Ludowej, gdzie urzędował ś. p. Ks. Pośpiech, którego prosiliśmy, żeby telefonował do Naczelnika Państwa celem zasięgnięcia informacyj, czy możemy liczyć na pomoc wojskową, lub nie, abyśmy wiedzieli, jak się ustosunkować. Naczelnik Państwa był wówczas zajęty, żądaliśmy połączenia z p. Paderewskim, który też był zajęty, udaliśmy się więc do zastępcy Naczelnika Państwa, który nam oświadczył, że nie może dać absolutnie żadnej pomocy zbrojnej. Byłoby to bowiem formalnem wypowiedzeniem wojny Niemcom. Przyszło nam na myśl, że istnieje pułk bytomski, do którego mamy zupełne prawo.

Władze zgodziły się na to i przyrzekły nam, że już w następnym dniu będzie ów pułk stał do naszej dyspozycji.

Zadowoleni tem, udaliśmy się ze ś. p. Laryszem do Bobrownik, gdzie w międzyczasie zebrali się nasi ludzie. Odrazu poczyniono wszelkie przygotowania, celem dostawy żywności i kwater. Tu przebyliśmy 3 dni. Z powodu ciągłego napływu ludzi, przenieśliśmy się do Grodźca, gdzie to dowodziłem pułkiem bytomskim (powstańczym) i baonem tarnogórskim. Po 14 dniach przeprowadziłem się z moimi ludźmi do Strzyżowic. Ażeby ludziom pobyt urozmaicić, wysyłałem ich częściowo na roboty polne, albo różne inne zarobki. Pewna część ćwiczyła wojskowo, zaś inni, starsi, szukali w innych zajęciach urozmaicenia. W Strzyżowicach dowodziłem baonem, zaś d-cą odcinka był kpt. Nowina, później kpt. Polkowski, następnie (kpt. Trygar Chłopicki). Dnia 27 października 1919 r. wyjechaliśmy razem z bytomiakami do Szczakowy do nowych koszar. W miarę podziału otrzymał każdy baon, a więc i tarnogórski, jeden blok celem zajęcia i rozlokowania oddziałów. Zastaliśmy puste ściany i podłogi. Dzień następny, pomimo, że to była niedziela, był nader pracowity, gdyż szukaliśmy wszyscy słomy, kotłów do kuchni, garnków, naczyń do jedzenia i tym podobnych. Pomimo, że pieniędzy nie było, wkrótce się wszystko znalazło, tak, że o godz. 3-ej popołudniu miał cały baon gotowany obiad, słomę na posłania, jednem słowem wszystko, co było potrzeba. Po ustąpieniu głównego komendanta, pułkownika Żymierskiego, objął d-two gen. Haller. W Szczakowie pełniliśmy służbę wojskową, wartowniczą i polową. Obóz ten składał się z powstańców z powiatu bytomskiego i tarnogórskiego. D-cą obozu był kpt. Trygar (Chłopicki). Zaś dowódcami baonów bytomskiego pułku byli oficerowie czynni z Kongresówki, zaś d-cą baonu tarnogórskiego byłem ja, adjutantem zaś był ob. Matejczyk Paweł z Orzecha, d-cą I komp. ś. p. Augustyn Krupa z Radzionkowa, d-cą II komp. — ob. Piotr Szeliga z Radzionkowa, a d-cą III komp. ob. Piotr Urbańczyk z Kozłowej Góry. Oprócz powstańców górnośląskich była też w tym obozie jedna komp. C. K. M. z samych królewiaków.

W listopadzie 1919 roku, po wyjściu amnestji, zaczęli pod naciskiem władz śląskich (Rady Ludowej) nasi ludzie wracać na Śląsk.

Na drogę otrzymał każdy po 100 mk. niemieckich, świadectwo czystości, żywności na jeden dzień. Przechodzili przez most Modrzejowski do Mysłowic, odprowadzani każdorazowo przez orkiestrę. Powstanie było stłumione. Władzę objęła czasowo Komisja Koalicyjna.

JÓZEF WITCZAK

Wybuch pierwszego powstania

(Relacja)

Zaznaczam zgóry, że pisząc te słowa posługuję się tylko pamięcią, a w niej zacierają się już zdarzenia i chronologiczny ich związek.

Należałem do komendy P. O. W. w Strumieniu na Śląsku Cieszyńskim, która w lipcu i sierpniu 1919 roku była centralą Polskiej Organizacji Wojskowej na Górny Śląsk. Do Komendy tej, oprócz kilku wybitnych działaczy terenowych, należeli przeważnie ludzie zdekonspirowani, którzy z powodu przynależności do P. O. W. musieli uchodzić z Górnego Śląska. W czasie organizowania się tej Komendy, wytworzył się w Bytomiu odrębny ośrodek organizacyjny, składający się z dawniejszych współpracowników ob. Dreyzy, pierwszego szefa organizacji wojskowej na Górnym Śląsku. Głównym organizatorem komitetu bytomskiego był ob. Józef Grzegorzek, aktywny działacz powstania — wyznaczonego zdaje mi się na 11 lub 13 czerwca 1919 roku — zaczął się cieszyć większą sympatją społeczeństwa i podlegał bardziej nastrojom terenowym, zaognionym coraz więcej wskutek ucisku i barbarzyństwa żołdactwa pruskiego. Trzecia komórka organizacyjna, choć bez wszelkiego autorytetu, utworzyła się samowolnie w Piotrkowicach na Śląsku Cieszyńskim z uciekinierów z Górnego Śląska, którzy nie chcieli się przenieść do Strumienia. Taki stan rzeczy istniał na początku sierpnia 1919 roku. Z Bytomia nadchodziły wciąż do nas wiadomości, że Bytom dąży do przejęcia całej władzy nad P. O. W. i przeniesienia sztabu strumieńskiego na teren. 9 lub 10 sierpnia odbyło się też istotnie w Bytomiu zebranie, na którem domagano się rozwiązania, albo przeniesienia sztabu strumieńskiego na teren i podporządkowana go komitetowi bydgoskiemu, oraz przygotowania i wyznaczenia rychłego terminu powstania.



Wymarsz na front II baonu Pospiecha.

Celem zakomunikowania nam tych uchwał, wydelegował Bytom ob. Józefa Grzegorzka do Strumienia, który też 15 lub 16 sierpnia tam się zjawił. Na wspólnej naradzie, w której wzięli udział, o ile pamiętam, oprócz mnie, ob.ob.: Wyglenda, Buła, Połomski, Basista i inni, przedstawił nam ob. Grzegorzek postulaty bytomskie, spotykając się z naszej strony ze zdecydowanym sprzeciwem. Na podstawie informacyj naszego wywiadu i po przedyskutowaniu całego położenia, przekonano ob. Grzegorzka o małych widokach akcji zbrojnej i postanowiono po burzliwej dyskusji: 1) wydać ostry zakaz do wszystkich komendantów powiatowych, by niczego nie przedsięwzięli na własną rękę i słuchali tylko rozkazów Strumienia — rozkaz taki wydany został na piśmie, podpisanem przez Wyglendę i Bułę, — 2) wysłać szefa sztabu Bułę, by razem z ob. Grzegorzkiem przekonał Bytom o nierealności jego planów i zlikwidował zatarg. W wykonaniu uchwał tej narady, ob.ob. Buła, Grzegorzek i inni, wiozące ze sobą częściowo wyżej wspomniane rozkazy, przekroczyli wieczorem, tego samego dnia, granicę polsko-niemiecką, by z Pawłowic na Śląsku Górnym wyjechać do Bytomia. Śledzeni widocznie już od Strumienia przez agentów niemieckich, zostali wraz z innymi aresztowani w Pawłowicach, przyczem w ręce niemieckie wpadły także te rozkazy. Nazajutrz rano, otrzymaliśmy wiadomość o ich aresztowaniu, a zarazem gruchnęła wiadomość, że oddział w Piotrowicach, w nocy, w liczbie kilkunastu ludzi napadł na posterunek niemiecki w Gołkowicach, biorąc go do niewoli i zdobywając jeden karabin maszynowy. Z terenu — zdaje mi się z okręgu wodzisławskiego i z Bzia — meldowali

nam kurjerzy, że niektórzy komendanci otrzymali rozkaz piśmienny rozpoczęcia powstania z podpisem „Iksal" i że hasłem będzie silny wybuch w Gołkowicach. Wieczorem, tego samego dnia, otrzymaliśmy dalszą wiadomość, że komendanci powiatu pszczyńskiego, ś. p. Fizia i ś. p. Krzyżowski ruszą w nocy z całym powiatem i porozumieli się już z komendantem powiatu katowickiego, ś. p. Postrachem, który mobilizuje swój powiat i ma zamiar rozpocząć powstanie następnej nocy. Jakiekolwiek sprawdzenie lub wstrzymanie otrzymanych wiadomości było technicznie niemożliwe. Przebieg wypadków wykazał, że były one prawdziwe, gdyż istotnie powiat pszczyński ruszył tej samej nocy, przez co pociągnął inne powiaty za sobą i rozszerzył ruch zbrojny na cały teren. Opierając się na bezpośrednich informacjach, nie miałem wątpliwości, że ś. p. Fizia, lub ś. p. Krzyżowski otrzymali rozkaz z podpisem Iksal. Zagadkowem tylko może być, dlaczego oni rozkaz ten wykonali. Tłumaczę to sobie tem, że centrala bytomska, ciesząca się pewnym autorytetem, jeszcze przed wyjazdem ob. Grzegorzka do Strumienia zapewniła komendantów powiatowych o rychłym wybuchu powstania, jako o fakcie pewnym, z tem, że termin zostanie im zakomunikowany na piśmie. Napięcie nastroju, otrzymanie rozkazu bez możności skontrolowania, kto go wydał, napad na Gołkowice — widocznie przekonały ś. p. Fizię i Krzyżowskiego o autentyczności rozkazów i popchnęły ich do wydania hasła rozpoczęcia powstania. Po rozpoczęciu ruchu w powiecie pszczyńskim wstrzymanie dalszej akcji było niemożliwe i nawet niecelowe, a centrala bytomska podobno formalnie innym powiatom kazała ruszyć. W ten sposób akcja zbrojna objęła teren w takich rozmiarach, w jakich mniej więcej Górny Śląsk przypadł ostatecznie Polsce. Członkowie Komendy w Strumieniu, wobec wytworzonej sytuacji, utworzyli natychmiast regularny oddział, który ruszył do powiatu rybnickiego, by rozniecić tam jaknajszerzej powstanie. Oddział ten zapisał sobie chlubną kartę w dziejach pierwszego powstania, a członkowie jego stali się później czołowymi przywódcami P. O. W. na Śląsku.



Oficerowie Baonu Sztabowego I pułku Powstańców Śląskich Fojkisa.

K A R A B I N

Gdy w XV rocznicę odzyskania niepodległości przyglądałem się młodzieży, dziarsko maszerującej w szeregach przysposobienia wojskowego, i widziałem, jak każdy z tych młodych dumnie niósł na ramieniu karabin, będący niejako symbolem ducha żołnierskiego, który nad temi szeregami panuje, mimowoli myśl moja cofnęła się nieco więcej, niż o lat 15, i przypomniałem sobie maszerujących peowiaków „uzbrojonych" w jakieś przedmioty z drzewa, prawdziwy karabin zaledwie przypominające.

Karabin dla nas w owych czasach, i to jak na ironję, w czasach największej chyba produkcji karabinów, był mitem. Spragnionem okiem śledziliśmy szeregi uzbrojonych wojsk okupacyjnych, a marzeniem naszem było, żeby choć jeden taki karabin mieć na pluton. Niestety, surowy przepis i groźba sądu wojennego stały na przeszkodzie urzeczywistnieniu naszych pragnień.

Przecież jednak czasem, skądś przywędrował jakiś karabin. Pokazywanie go, opisywanie jego części, demonstrowanie zamka (o strzelaniu nie było prawie mowy), było podobne do jakiegoś misterjum. Instruktor cichym głosem tłumaczył te tajemnice, a wokół skupiona garść ludzi z zapartym oddechem wchłaniała w siebie tę wiedzę, która wydawała się szczytem wszystkich umiejętności; a razem z tą wiedzą chłonęła mit wojny. Rozebrany niemal na atomy, przenoszony po kawałku w wielkiej tajemnicy, wędrował ten karabin dalej, gdzie nowa garść ludzi najbardziej pewnych i oddanych była dopuszczona do tego obrzędu, aby posiąść tę upajającą, tajemniczą wiedzę. Wydaje mi się, że dwóch rzeczy nie będę mógł zapomnieć do końca życia — pacierza i opisu „Manlicher'a 95", ten bowiem model karabina posiadaliśmy. I chociaż nie chcę żadnym innym karabinom ubliżyć, przeciwnie, nawet przekonany jestem, że jest wiele lepszych, to jednak muszę przyznać się, że ten Manlicher 95 posiada odrobinę mego sentymentu, którego chyba nigdy już się nie wyzbędę.

I oto nagle, 15 lat temu, w listopadzie, stała się rzecz wprost niesłychana: tak się prawie raptem stało, że każdy peowiak mógł otrzymać karabin, aby naprawdę pełnić z nim zaszczytną służbę. Ile to tupetu i ryzyka włożono, aby zdobyć karabin, aby go odebrać żołnierzowi niemieckiemu lub austrjackiemu. Pamiętam, jak w te dni niezapomniane gorączkowo wyciągały się drżące ręce po karabiny, jak niewprawnie nakładano pasy, przymocowywano ładownice — no i szukano miejsca na ramieniu dla karabinu; trochę było z niemi niewygodnie z początku, prawda, ale wreszcie słowo stało się ciałem, pragnienie znalazło swój wyraz. Ilu to było takich, co wogóle z karabinem nie chciało się rozstać ani na chwilę, oczywiście wbrew surowym rozkazom przełożonych, z których niejeden tak samo dopiero co dostąpił tego szczęścia.

A gdy pierwsza noc zapadła, gdy na posterunkach wszędzie stali już napół cywilni młodzieńcy, ale z karabinami nabitemi, raz po raz rozlegał się strzał. Czyżby się jaki wróg zbliżał? Wcale nie — to była tylko nieprzeparta ciekawość, to była nie do opanowania chęć żywego i bezpośredniego i całkowitego zespolenia się, to była wreszcie wielka radość — zaślubiny młodego żołnierza z bronią. W całej Polsce rozlegały się te strzały — wyrazy spełnionych tęsknot, a patronował im duch żołnierski, który tej nocy owładnął tyle serc polskich; a z nich najsilniej biły te młode serca, do których drżące ręce tuliły karabin.

Przy wtórze młodych, peowiackich serc, wielka Polska stawała się rzeczywistością.

J. Żółtaszek.

RUDOLF OCHMAN

Zryw bojowy P. O. W. w sierpniu 1920 r.

(Przyczynek do historji walk w II Powstaniu Śląskiem)

Kiedy cały naród polski wzrok i siły swe kierował na wschód, kiedy bolszewicy dobijali się do bram Warszawy, toczyła się na Śląsku niemniej zacięta walka. Jakkolwiek formalna władza spoczywała w rękach władz koalicyjnych, to faktycznie urzędy sprawowały jednak czynniki pruskie, składające się z najzagorzalszych Niemców. Na powiat przypadał zaledwie 1 przedstawiciel władz koalicyjnych. Komisja koalicyjna i jej organa, nie znając obowiązujących na terenie plebiscytowym praw i stosunków lokalnych, zależne były od subjektywnej interpretacji przepisów przez urzędników niemieckich.

Tymczasem zaś Niemcy, korzystając z naszego położenia na froncie wschodnim, postanowili zlikwidować niewygodny dla nich stan, wytworzony obsadzeniem Śląska przez wojska koalicyjne, i wrócić do bezwzględnego terroru i tępienia polskości, jakie nastąpiły po upadku I powstania. To też czynili wszystko, żeby wykorzystać przygnębienie szerokich mas, zaniepokojonych o los Polski, i rozpoczęli gwałtowną propagandę, szerząc nieprawdziwe wiadomości o położeniu na froncie oraz zaostrzyli i tak już okropny terror. Spowodowali też wybuch strajku generalnego, by tem samem zmusić władze koalicyjne do kapitulacji. Dawniejsze oddziały Grenzschutzu, powiększone trzykrotnie, pełniły funkcje t. zw. „Sichercheitspolizei". Wzorowo zorganizowane bojówki niemieckie, prowadzone przeważnie przez byłych oficerów i urzędników niemieckich, tworzyły drugą armję nieprzyjacielską, która zabrała się do generalnej rozprawy z Polakami.

Czynniki polskie, prowadzące akcję plebiscytową, nie mogły oprzeć się temu naporowi, gdyż w każdym nieomal powiecie urządzano napady na nasze placówki, zmuszając polskich działaczy do ucieczki, lub też mordując ich w bestjalski sposób. Napadnięto i zniszczono komisarjaty plebiscytowe w Oleśnie, Kluczborku, Opolu i Strzelcach. Z początkiem sierpnia urządzili Niemcy dobrze zorganizowany napad na główny komisarjat plebiscytowy w Bytomiu, gdzie dzięki energicznej postawie urzędników komisarjatu oraz członków P. O. W., nie doszło do poważniejszych strat z naszej strony. Silny opór stawili kmdt. Kornke i jego ludzie. Około 10 sierpnia 1920 r. wzmogła się niemiecka akcja na terenie powiatu katowickiego, a w szczególności w samem mieście, oraz w większych ośrodkach przemysłowych. Było to w czasie, gdy bolszewicy zbliżali się do Warszawy.



Alfons Zgrzebniok, b. Komendant P. O. W. na Górnym Śląsku.

Masowym aresztowaniom zapobiegał częściowo nasz wywiad, lecz nie było mowy o należytej obronie, zwłaszcza, że cały aparat administracyjny i policyjny spoczywał we wrogich nam rękach. Tu i ówdzie reagowali Peowiacy czynnie. Nie było dnia bez walk, a śmierć po obu stronach zbierała swe żniwo. Przypomnieć tu należy walki w Imielinie, siedzibie zakonspirowanej Komendy Okręgu P. O. W., gdzie cały pociąg policji ruszył na Peowiaków.

Rozpacz i gniew dochodziły do zenitu. Dzięki zastosowaniu terroru, Niemcy doprowadzili do usunięcia niektórych czołowych kierowników, lub utrudniali im czynności. Na domiar złego, wpadł w ręce wywiadu niemieckiego spis czołowych członków sztabu P. O. W. Za dostawienie lub zabicie głównego komendanta Alfonsa Zgrzebnioka, wyznaczyli Niemcy nagrodę w wysokości 1.000.000 marek niemieckich.

W takiej to sytuacji rozpoczął się strajk generalny. Tłumy robotników i bojowców niemieckich skoncentrowały się w Katowicach, by terrorem zmusić koalicję do kapitulacji. Zamordowano ś. p. Dr. Mielęckiego, podpalono siedziby polskiego komisarjatu plebiscytowego w Deutsches Haus w Katowicach. Wojska koalicyjne wycofały się poza obręb miasta do koszar, a bojowcy niemieccy przypuścili szturm generalny na wspomniany Deutsches Haus, gdzie dzielnie obroną kierowali: p. Koj, obecny burmistrz Mikołowa, i poseł Władysław Wieczorek. Walka na śmierć i życie skończyła się pobiciem i wzięciem do niewoli wszystkich pracowników komisarjatu i Peowiaków, których ogień i czad zmusiły do kapitulacji. Straty Niemców w zabitych i rannych, według ówczesnych relacyj gazet niemieckich, wynosiły około 50 ludzi. W mieście staczano walki uliczne. Peowiacy z okien bronili się granatami ręcznemi i bombami własnej konstrukcji, których dostarczył w ostatniej chwili dzielny oficer Szafarczyk. Komendant Okręgu na Katowice, Pszczynę i Król. Hutę Fojkis, przebija się do koszar i zmusza straż ogniową do gaszenia pożaru.

Ówczesny francuski komendant miasta, płk. Blanchard, odmówił innej interwencji i zagroził Fojkisowi aresztowaniem, jeżeli poczyni kroki obronne. W tej sytuacji wydaje Fojkis rozkaz mobilizacji do powstania. Na rozkaz stanęli wypróbowani



Okopy wojsk powstańczych nad Odrą na Górnym Śląsku.

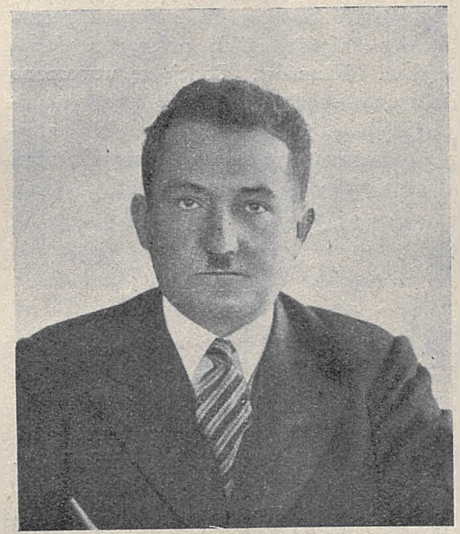
oficerowie grupy Fojkisa, znani z późniejszych walk o Kędzierzyn z okresu III powstania, jak: ś. p. ppor. Franciszek Sitek, ś. p. ppor. Marcin Watoła, ś. p. Wilhelm Kłosek, por. Ryszard Sieroń, Mainka i inni.

Padł rozkaz powstania! Oficer Szafarczyk zawiózł powiatowemu komendantowi w Pszczynie, ś. p. Krzyżowskiemu, rozkaz następującej treści: „Na moją odpowiedzialność rozkazuję rozpocząć powstanie. 400 karabinów odstawić natychmiast do Murcek, nawiązać łączność z powiatem rybnickim i czekać dalszych rozkazów. Fojkis". Powiat Katowice i Król. Huta otrzymały rozkaz zebrać oddziały obwodami i stawić się na kopalni „Saturn" w Czeladzi i w opróżnionych koszarach Traugutta w Sosnowcu. Liczba zmobilizowanych wynosiła około 1200 ludzi, z czego 300 zebrało się w Czeladzi, zaś 900 w Sosnowcu. Kmdt Fojkis podzielił oddział na 3 grupy, z których jedna pod dowództwem Ryszarda Mainki miała atakować Mysłowice — Szopienice, drugą grupę przydzielił kmdt. ś. p. ppor. Kłoskowi i kmdtowi Bergerowi, trzecią — kpt. Stankowi. Ostatnia miała za zadanie marsz na Siemianowice i Hutę Laury. Po przydzieleniu kpt. Stanka do sztabu Okręgu, oddziałem tym dowodzili Dreyza i Kopiec.

Plan ataku szedł w tym kierunku, by wielkiemi oddziałami ruszyć od granicy wgłąb powiatu katowickiego i ze zdobytą bronią i napływającą pomocą uderzyć na nieprzyjaciela. Wobec braku broni, dał kmdt rozkaz rozbrojenia polskiej straży granicznej i zabrania jej szczupłych magazynów, jak również zażądał broni od ekspozytury śląskiej P. O. W. w Sosnowcu. Zastępca komisarza plebiscytowego, Korfantego, ś. p. Matuszczyk oświadczył, że ma polecenie, by za żadną cenę nie prowokować ruchu zbrojnego. Korfanty dał mu w tym kierunku wyraźny rozkaz. Również kmdt. Zgrzebniok nie miał żadnych instrukcyj, wobec czego postanowiono rozbrojenie całej policji sosnowieckiej, oraz przygotowano zamach na koszary w Będzinie, celem uzyskania broni.

W biurze ekspozytury dochodziło do gwałtownych sprzeczek. Oddział, wyczekujący na placu koszarowym, zajął wobec przedstawiciela p. Korfantego groźną postawę. Rozkaz wydany do wybuchu powstania takiem echem odbił się w sercach wszystkich, że nie było mowy o wycofaniu się z akcji. Uzyskano 200 karabinów, lecz tylko na samoobronę i na osobistą odpowiedzialność kmdta Fojkisa. Mając klucze od magazynu broni w Bobrownikach, zdołali Peowiacy cały magazyn opanować, bo chociaż po wydaniu 200 karabinów oddano klucze, to po odejściu oficera, zamknięci w magazynie nasi ludzie wydali i resztę broni. Ciemną nocą, z nadludzkim wysiłkiem wydobyto broń, przyczem najwięcej zasłużył się oficer komendy powiatowej Roman Popiołek, Sitek, Watoła, oraz sam kmdt Fojkis. Ciężarowemi autami odwieziono broń na „Saturn" i do koszar Traugutta. Oddziały zatem były w posiadaniu karabinów, karabinów maszynowych i większej ilości granatów ręcznych. Kmdt Fojkis przemówił krótko, wzywając do boju na śmierć i życie. Nastrój był taki, że wszyscy rwali się, ażeby jaknajprędzej spotkać się z wrogiem.

Znany jest rozmach i siła, z którą Peowiacy uderzyli na wroga. Kmdt Fojkis z mniejszym oddziałem ruszył przez Dąbrówkę do Bogucic. Sztab ulokowano w Małej Dąbrówce, w domu pani Gintrowiczowej. Walka rozgorzała na całym terenie powiatu katowickiego. Mysłowice, Szopienice, Rozdzień i Siemianowice po ciężkich walkach dostały się w nasze ręce. Oddziały przesunęły się z południowej strony Katowic w obwód ś. p. Sitka i Wilka do Kochłowic. Po zdobyciu miejscowości dochodzą pod Wielkie Hajduki. Tam oddziały Zielińskiego, wobec dziesięciokrotnej przewagi staczały zażarte walki. W oddziałach znajdowała się spora część bojowców z innych obwodów, którzy walcząc przebijali się do swoich powiatów. Komendanci powiatowi rozpoczynają dalszą akcję.



Walenty Fojkis, który wydał rozkaz rozpoczęcia II powstania.

W Okręgu Bytomsko-Tarnogórskim prowadzi walki por. Kornke, który dwukrotnie wdarł się do Bytomia, gdzie prowadził zażarte uliczne walki. W powiecie zabrskim pod komendą ś. p. Pyki akcja przybiera na sile. W powiecie gliwicko-teszeckim uderza na Niemców kmdt powiatowy, por. Mastalerz, który dysponował większą ilością karabinów maszynowych. W powiecie rybnickim kmdt Buła, po wypędzeniu Niemców stawał się panem sytuacji. Na całym terenie wymienionych powiatów rozgorzała walka, a nastrój Peowiaków i silna wola zwycięstwa zrobiły swoje — Niemcy w panice uciekali.

W sztabie Okręgu w Małej Dąbrówce wrzało, jak w kotle. Nadchodziły meldunki oraz broń z Pszczyny, gdyż Pszczyna z chwilą wybuchu powstania dysponowała 800 karabinami. W Szopienicach, w historycznym domku kolejowym, zjawił się kpt. Puszczyński, który meldunkiem szyfrowym poprosił kmdta Fojkisa o przybycie. Po przybyciu Fojkisa, prosił kapitan o zreferowanie stanu rzeczy, oraz podanie przyczyn wydania rozkazu do powstania. Nadto poruczył Puszczyński oddanie komendy Fojkisowi nad całością.

W pracy kmdta pomocni byli: jego adjutant kpt. Stanek i prowadzący kancelarję budowniczy Pietruszka. Tymczasem komisarz plebiscytowy Korfanty wydelegował kapitana Palucha do sztabu Okręgu, gdzie ten przedłożył t. zw. list uwierzytelniający, wyznaczający go komendantem z ramienia komisarza plebiscytowego. W parę godzin po nim przybył delegat kmdta Zgrzebnioka. Wobec daleko posuniętych wypadków, inicjatywa i komenda pozostała nadal w rękach kmdta



Oryginalne zdjęcie peowiaków górnośląskich, przypominające powstania.

Fojkisa. W trzecim dniu powstania padła twierdza niemczyzny, fabryka Chorzów.

Tereny gmin oczyszczono z Niemców, z wyjątkiem miast, gdzie ze względu na prestige koalicji akcję bojową wstrzymano, chociaż, jak wyżej zaznaczono, kmdt Kornke dwukrotnie w Bytomiu wywołał popłoch, zaś do Katowic powstańcy wdarli się nawet przed starostwo, co wpłynęło mocno na ostudzenie rozpalonych bojowców niemieckich.

Koalicja odnalazła siedzibę sztabu, a przedstawiciele jej domagali się od Komendanta Fojkisa złożenia broni. Otrzymali jednak odpowiedź kategoryczną: „nie"! Peowiacy bowiem już raz mieli sposobność przekonania się, że wojska koalicyjne zawiodły i nie dawały dostatecznych gwarancyj. Koaljanci zagrozili przeciwakcją, lecz i to nie odniosło skutku. Z rezerw stworzyły się gminne straże. Zachodziła obawa, że powstańcy spalą miasta, bo rozkaz kmdta dał wszystkim oddziałom dość wolną rękę. Przybywający co chwila oficerowie koalicyjni domagali się natychmiastowego zaprzestania walk, grożąc represjami, na co kmdt oświadczał, że w takim razie wszystkich zakładników, huty i kopalnie wysadzi w powietrze, gdyż przygotowania są poczynione.

Po dwukrotnym pobycie Korfantego w sztabie, Fojkis zgodził się na warunki, podane aljantom przez komisarjat plebiscytowy, a były niemi: utworzenie w miejsce dotychczasowej policji, „Policji Górnego Śląska", złożonej do połowy z górnośląskich Polaków, a do połowy z górnośląskich Niemców. Policję tę utworzono rozporządzeniem Komisji Międzysojuszniczej z dnia 24 sierpnia 1920 r. Nadto zawarto umowę między organizacjami i stronnictwami politycznemi polskiemi i niemieckiemi pod protektoratem Komisji Międzysojuszniczej, która gwarantowała zabezpieczenie spokoju na Śląsku. Oddziały powstańcze tak długo stały pod bronią, dopóki przyrzeczenia te nie były zrealizowane. Te ustępstwa, które ludność Śląska uzyskała dzięki wielkiej ofierze krwi, stały się platformą do kontynuowania dalszej akcji zbrojnej na terenie Śląska, której ostatnim wyrazem było III powstanie w r. 1921.

Historja powinna ujawnić fakty i wyczyny tych wszystkich bojowników, którzy w ogólnem zwątpieniu nie stracili ducha, porywając się na czyn tak szalony, jakim było II powstanie śląskie, a których w tym krótkim opisie nie da się wymienić. Czas wykazał, że w tej starej wiarze peowiackiej tkwi niezłomna wola zwycięstwa i myśl wyznaczenia granic wielkiej, mocarstwowej Polski.

RUDOLF KORNKE

W okresie plebiscytu na Górnym Śląsku

Jednym ze środków, jakim się Niemcy z całą sunowością i bezwzględnością w czasach plebiscytu posługiwali — był terror.

Dało się to zwłaszcza odczuć po powrocie kilkunastu tysięcy powstańców w pierwszych miesiącach roku 1920 z b. Kongresówki i Małopolski, gdzie po pierwszem powstaniu 1919 roku byli zmuszeni szukać przytułku, chroniąc swoje życie przed rozbestwionym „Grenzschutzem".

W miastach powstały silne organizacje terrorystyczne, kierowane przez niemieckich oficerów, a stojące w bliskiem porozumieniu z niemieckiemi komitetami plebiscytowemi i policją polityczną. W miejscowościach o znaczniejszym procencie ludności niemieckiej, potworzyły się z młodzieży o duchu antypolskim tajne oddziały pod różnemi nazwami, jak „Orgesch", „Schwarzeburg", „Stosstrupp" i różne „mordkomisje".

Po zamordowaniu kilkunastu wybitnych Polaków w różnych częściach Górnego Śląska, po krwawych napadach niemieckich terrorystów na polskie komitety plebiscytowe, redakcje pism, lokale związkowe, zebrania plebiscytowe i inne, postanowiła Polska Organizacja Wojskowa na Śląsku przystąpić do kontrakcji, zwłaszcza, iż zachodziła obawa, że dalsza bierność ze strony polskiej może pociągnąć za sobą podcięcie wszelkiej działalności agitacyjnej i uniemożliwić polskiej propagandzie wszelką inicjatywę w kierunku wpływu na ludność, lgnącą niejednokrotnie do strony silniejszej.

Ludność ta uważała i uważa dotąd wszelkie objawy słabości i ustępliwości za wyraz niemocy i niedołęstwa i powoli traci zaufanie do strony, która się pozwoli bić, stale i bez należytego protestu. Mówi się i pisze o samych powstaniach śląskich, lecz mało są znane naszemu społeczeństwu walki, poprzedzające te powstania i liczne ofiary, które bez rozgłosu ginęły w tych walkach, stoczonych w mrokach nocy, w ciemnych zaułkach ulic i zakładów przemysłowych, za sprawę Polski.

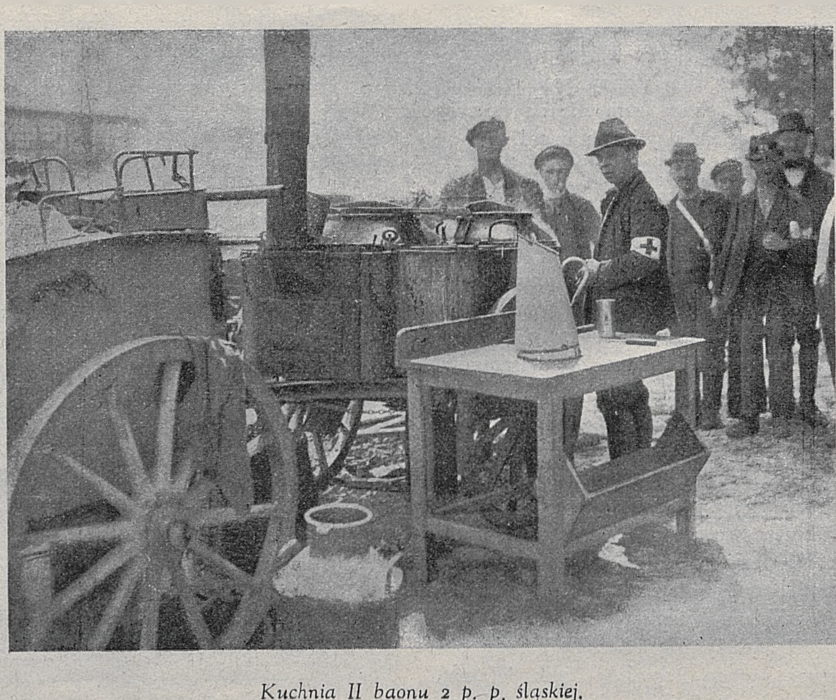
Zdarzało się często, że w niejednej miejscowości, napozór uśpionej, dojrzewał w sposób tajemniczy, szczegółowo przez Niemców opracowany akt terrorystyczny, którego ofiarą padali Polacy.

Często ciszę nocną przerywał gwałtowny huk granatu ręcznego lub bomby, a zbudzeni ze snu i przerażeni mieszkańcy ze zgrozą słuchali, że temu lub owemu obywatelowi wrzucono do mieszkania granat, który mu rozpruł brzuch i zdemolował mieszkanie.

Powoli ze znaczniejszych przywódców Polskiej Organizacji Wojskowej lub Komitetów plebiscytowych nikt nie sypiał w domu.

Bojowcy polscy odwzajemniali pięknem za nadobne i wkrótce rozpętała się walka z terrorystami niemieckimi na całym terenie plebiscytowym.

W miejscowościach zagrożonych, dobrane i uzbrojone w broń krótką i granaty



Kuchnia II baonu 2 p. p. śląskiej.

jajkowe grupy, złożone z najodważniejszych członków Polskiej Organizacji Wojskowej, stale czuwały i obserwowały każdą podejrzaną osobę.

Szczególnie w nocy zaczajone pod domostwami patrolki z odbezpieczonemi rewolwerami w rękach czyhały na najście wroga. Jak w czasie wojny, patrole walczących armji podkładają się jedne ku drugim, aż w końcu dochodzi do starcia, tak i w tym czasie, na pozór spokojnym, często w nocy krótki, suchy trzask strzałów rewolwerowych, niesamowite krzyki i jęki wyrywały spokojnego mieszkańca z objęć snu, a gdy z trzęsącemi się łydkami podszedł do okna, by ostrożnie wyjrzeć przez szyby, najczęściej na ulicy panował zwykły spokój. Dostrzegł jedynie leżącą na bruku we własnej krwi, dogorywającą ofiarę nocnego starcia. Zwykle dopiero po pewnej chwili nadchodziła policja. Następstwem były aresztowania podejrzanych o zabójstwo osób.

Był to u Niemców doskonały pretekst do usuwania z widowni wszelkich im niewygodnych pod względem narodowym, radykalniej występujących Polaków. Policja niemiecka często na ciężarowych samochodach najeżdżała poszczególne miejscowości i wyłapywała na podstawie list, sporządzonych w niemieckich komitetach plebiscytowych, rzekomo podejrzanych o zabójstwa, posiadanie broni i t. d.

Nieraz podczas takich obław napotykała policja na zbrojny opór. Wypada tu wspomnieć o owej „karnej ekspedycji", jaką wysłał dnia 28 marca 1921 roku kontroler powiatu bytomskiego, Cokerel (Anglik) do Karbu, celem przyaresztowania kilku Polaków. W toku obławy doszło pomiędzy żandarmami a członkami organ. wojsk. do zawziętej walki, w czasie której polegli wszyscy żandarmi w liczbie 6-ciu i dwaj powstańcy, nie licząc kilku rannych. Pułk. Cokerel następnego dnia, nie posiadając się ze złości, wysłał do Karbu i Miechowic bataljon szkockiej piechoty. Podczas postoju Szkotów przy kościele w Miechowicach, wrzucono w ich szeregi trzy granaty ręczne. Szkoci w popłochu rozproszyli się, strzelając następnie na oślep we wszystkie strony. Wynikiem zajścia było kilku rannych Szkotów i cywilnych.

Niebawem na G. Śląsku było kilka tysięcy Polaków politycznie „skompromitowanych", a kilkuset, którym zarzucono różne przestępstwa, zabójstwa i t. p. siedziało w więzieniach. Poszukiwani przez policję i Anglików, byli zmuszeni porzucić swój warsztat pracy, często zostawić swoje rodziny na łasce i niełasce losu i udać się na poniewierkę.

W b. Kongresówce, na pograniczu Śląska i pow. cieszyńskiego, uciekinierzy często samorzutnie organizowali obozy dla siebie. Jedna część, nie chcąc opuścić Śląska, ukrywała się u krewnych i znajomych, lub udawała się do miejscowości o zupełnej przewadze elementu polskiego, leżących na samej granicy wolnej już wtedy Polski. Jedną z takich miejscowości były Piekary.

Strzelaniny nocne na ulicach, przeraźliwe świsty piszczałek policyjnych oraz groźne nawoływania, jak: „Fenster zu" i „Strasse frei", co kilka dni wyprowadzały mieszkańców z równowagi. W końcu policji wogóle do Piekar nie wysyłano. Po rozstrzelaniu dwu bojowców niemieckich, braci Dudków, w sali klasztornej, dokąd zbiegli, wysłano na drugi dzień samochodami z Bytomia do Piekar kompanję Anglików.

Anglicy po trzech dniach znów odjechali, uprowadzając ze sobą strażaka Kępnego, członka organ. wojsk., który przy ich zbliżaniu się do wsi zaczął trąbić na alarm. W czerwcu 1920 roku zbiegł do Piekar politycznie skompromitowany Franciszek Szczepanik, pełniący dotąd obowiązki kurjera przy głównym dowództwie P. O. W.

Szczepanik był żonaty, miał kilkoro dzieci, pracował swego czasu na kopalni w rybnickim powiecie, dopóki władze niemieckie nie zwróciły na niego uwagi, szukając powodu do przyaresztowania go. Powód się znalazł. Lecz Szczepanik był odważnym i sprytnym człowiekiem i zbiegł. Tułał się po różnych miejscowościach G. Śląska dość długo, lecz widząc, że rodzina jego wpada w coraz większą nędzę, zwrócił się do dowództwa P. O. W. z prośbą o przyjęcie za kurjera z wynagrodzeniem, jakie płacono kurjerom.

Został przyjęty. Policja już w krótkim czasie była na jego tropie. Tylko dzięki swej desperackiej odwadze i sprzyjającym okolicznościom z wielkim trudem się wymknął. Udał się do Piekar, i tam został przydzielony do Komendy Okręgu bytomsko-tarnogórskiego. Z początku bardzo sumiennie wypełniał powierzone mu zlecenia, lecz po pewnym czasie znikał na kilka dni. Gdy powracał, opowiadał zawsze o różnych bójkach, które stoczył z bojowcami niemieckimi w różnych miejscowościach. Jako dowody, pokazywał raz przestrzeloną na wylot nogę, następnie znów nożem przebitą dłoń, lub rozliczne rany i guzy na głowie i t. d.

Pomimo ostrych zakazów tych wycieczek i mimo gorących zapewnień z jego strony, że się już z miejscowości nie ruszy, niespokojna i skłonna do awantur natura brała zawsze górę nad postanowieniami tak, że w końcu zjawiał się tylko po swoje miesięczne wsparcia i znów znikał, jak kamfora na kilka dni.

Według opowiadań jego kolegów, podczas swoich doraźnych wizyt w Piekarach, wpadał często w nocy w szał, gdy jego towarzysze spali; biegał po wspólnej kwaterze, zgrzytał zębami, rzucał się o ziemię, gryzł do krwi ręce i klął strasznie.

Gdy się znów uspokajał, ogarniała go wielka żałość i często płakał jak dziecko. Wspominał o swej biednej żonie i dziatkach, żalił się, że nie może do nich pojechać i dla nich pracować, gdyż „te pierońskie germany coraz bardziej mu są na piętach". Aby rozpacz jakoś rozegnać, przynosił nawet w nocnej porze, niewiadomo skąd, gorzałkę i pił z towarzyszami bez zastanowienia, topiąc gorycz w alkoholu. Podniecony wódką, postanawiał święcie, nie ruszać się z Piekar, gdyż — jak mówił — ma przeczucie, że go spotka jakieś nieszczęście.

Przeczucie jego wkrótce się spełniło. Szczepanik tropiony coraz energiczniej na każdym kroku przez członków bojówek niemieckich i policję, siłą faktów ograniczył swoje wycieczki i stał się ostrożniejszy. Było to, o ile sobie przypominam, w październiku 1920 r. Pewnego wieczoru w pilnej sprawie musiałem się udać do Bytomia.

Przechodząc około godz. 8-mej ulicą



Pluton K. M. i miotaczy granatów I komp. 5 p. p. rybnickiej.

„Schiesshausstrasse" ku rynkowi, usłyszałem nagle kilkanaście szybko po sobie padających strzałów i krzyki. Z zakrętu rynku wspomnianą ulicą w kierunku koszar pędziło kilku ludzi. Zwróciłem się do jednego z nich, ubranego w mundur policjanta miejskiego, z zapytaniem, co się stało, lecz policjant, starszy człowiek, mruknął coś pod nosem i sapiąc, pędził dalej.

Przyspieszyłem kroku i doszedłszy do rynku, zauważyłem u wylotu ul. Tarnogórskiej, zaraz przy kościele, kilkunastu umundurowanych ludzi, a w środku na chodniku leżącego człowieka.

Przystąpiłem do gromady policjantów, między którymi dostrzegłem jednego z aranżerów napadu na Łomnice.

Na ziemi leżał człowiek, wypluwający na bruk ulicy krew, a razem z nią słowa nienawiści i przekleństwa: — „O wy pierońskie gizdy germańskie, za coście wy mnie zastrzelili!... o wy pierony!"

Po chwili przyniesiono nosze, na których złożono śmiertelnie rannego i zaniesiono do ratusza, przed którym zgromadziła się spora liczba ciekawych.

Jeden z nich zbliżył się do mnie i szepnął mi w ucho: — „To Szczepanik!"...

Tak zginął Szczepanik. Zginął na osobliwem polu walki i wśród osobliwych okoliczności. Rzucił swój warsztat pracy, rzucił swoją rodzinę i poszedł jako idealista-żołnierz walczyć za Polskę. Długi okres walki jawnej i podziemnej, tułaczka, niebezpieczeństwa, anormalny tryb życia, wśród warunków wprost dzikich, wszystko to przyczyniło się do poderwania jego równowagi duchowej, wyrzuciło go poza nawias życia obywatelskiego, stworzyło z niego niebezpieczną, drapieżną jednostkę, która się borykała z okrutnym losem w nadziei, że wraz ze zwycięstwem Sprawy Polskiej i on zwycięży i spocznie...

I spoczął... Po kilku dniach odbył się jego pogrzeb. Przez złowrogie ulice Bytomia postępował kondukt pogrzebowy, przed trumną kilkuset powstańców, za trumną jego biedna, wynędzniała rodzina. Nad grobem ksiądz nie przemawiał, widocznie nie mógł...

Takich Szczepaników było wśród nas wielu; dziś, gdy obchodzimy święta powstańców śląskich, godzi się wspomnieć i o Nich. Cześć Ich pamięci!

EDWARD PUACZ

Bojowym szlakiem powstańca

(z przeżyć na Śląsku w 1921 r.)

Powłoka czasu zaczęła już okrywać przeżycia walki o niepodległość Polski. Szpitale koiły rany ostatnich obrońców Ojczyzny, a rowy strzeleckie murawą porosłe, przypominały już tylko bliznę ziemi ojczystej, gojone troskliwą pieczą matki-natury.

Nie wszystkim jednak było dane dzień wiosny narodów wśród swoich przeżywać.

Ziemia śląska, perła korony piastowskiej, daremne wysiłki czyniła, by znowu z macierzą się połączyć. Aż przyszedł rok dwudziesty pierwszy i trzeci zbrojny wysiłek.

Wysiłek tych, którzy w pyle węglowym i żarze żeliwa, swą mowę ojczystą, jak skarb najdroższy chowali. Aż wreszcie pękły kajdany niewoli.

Wieść o zbrojnem powstaniu obiegła kraj cały lotem błyskawicy. Już po raz trzeci zrywał się lud śląski, by zrzucić jarzmo niewoli. Czyż wolno było opuścić go w tej walce?

W modlińskich murach też nie próżnowano.

Jakiś dokument podróży wystawiony na trzech i do Warszawy zrozumiał swe powołanie w takiej chwili; rozszerzył się na trzydziestu, a wydłużył aż do Sosnowca i w ten sposób, któregoś z majowych poranków przekroczyliśmy granicę Śląska.

Pierwszy meldunek w Naczelnem Dowództwie rozchwiał moje pragnienie przewodzenia w polu trzydziestce, którą z takim trudem przetransportowałem.

Po kilku rozebrały nas różne formacje. Jednych los na pancerkach osadził, innych zabrał partyzant Watsowski, a jeszcze kilku, wśród których i mnie, odesłano do grupy wschodniej w Bielszowicach.

Krótki meldunek u dowódcy II baonu Pośpiecha, przydział, a nazajutrz już służba na froncie.



Dowództwo Grupy Południowej Wojsk Powstańczych.

Dziwny był ten mój K. K. M. Maszynki zdobyte gdzieś na Niemcach, stanowiły ostatnie słowo techniki wojennej, a żołnierz przy nich w bluzie roboczej i kapeluszu, niezdarnie w rękach dzierżył poczciwe berdanki, z pewnością pamiętające czasy króla Goździka. „Ładownice", to jest kieszenie i chlebaki, przypominały raczej rupieciarnię starego wojaka, aniżeli zapas amunicyjny żołnierza na froncie.

Lecz od czegóż stara berdanka. Rozbita do niemożliwości, z cierpliwością, godną swego wieku, przyjmowała łaski wszelkich spotykanych systemów. Zżymała się tylko siarczyście, szarpiąc i trzepiąc swych dręczycieli.

Bataljon nasz zajmował odcinek od Annabergu w stronę Odry.

Dowódca mojej kompanji, Paweł Grzesik, zacny działacz robotniczy, nie dał mi długo próżnować. Tegoż wieczoru stanąłem w linji na prawo od Kędzierzyna, którego Niemcy zażarcie bronili, jako ważnego węzła kolei.

Przy maszynce miałem czterech ludzi, pięciu zaś dźwigało taśmy. Wśród nich było sześciu ślązaków, dwóch nawet z armji niemieckiej, dwóch nas było z Warszawy i po jednym z Tarnopola i Wilna. Czterech przeszło już walki frontowe, a reszta kłaniała się jeszcze przed świstem kul karabinowych.

Pierwsza noc nie zapowiadała się spokojnie. Jeszcze daleko przed północą rozpoczął się atak na Kędzierzyn, tym razem szczęśliwszy, bo ruszyliśmy naprzód, zatrzymując się rano pod Pogorzelami, gdzie nieprzyjaciel postanowił stawić silniejszy opór.

Brać powstańcza pełna była zapału. Posuwanie się w terenie utwierdziło wiarę we własną siłę, a żołnierz śląski, choć może

w bojach niewprawny, przyzwyczajony jednak do ciężkiej pracy górnika, spisywał się znakomicie i czekał tylko rozkazu — iść naprzód.

Trudny był orzech te Pogorzele. Opór bardzo silny, obstrzał dla nas trudny, aż wreszcie nad ranem, flankowy ogień maszynek, podparty ze środka miotaczami min, umożliwił piechocie zajęcie tej wsi.

A dalej poszedł rozkaz, zatrzymać się aż w Koźlu — miasteczku położonem nad Odrą, gdzie też stanęliśmy jako najwięcej na zachód wysunięta pozycja.

I tutaj zaczęło się okopywanie. Dalej wsuwać się w paszczę nie można było, a oparcia o brzeg Odry też oddać nie wolno. Przytem dobrnęliśmy do strefy chronionej przez wojska koalicyjne.

Po umocnieniu pozycji — my za miastem, wzdłuż szosy wiodącej do cegielni nad rzeką, a Niemcy o 400 metrów u skraju lasu — rozpoczęła się strzelanina nie na żarty. Przez dwa tygodnie pobytu nie było prawie dnia ani nocy spokojnej. Mniejszy lub większy wypad, mniejsze lub większe straty kończyły się zawsze powrotem na stare pozycje.

Siły nasze jednak wyraźnie tężały. Broń ręczna, zdobyte mauzery i manlichery zastąpiły stare berdanki, aprowizacja stała się regularniejszą a łączność z sąsiedniemi formacjami nawiązana. Marszowi naprzód przeszkadzały tylko wojska koalicyjne.

A kłopotu było z niemi nielada. W zależności od nacji różnemi sympatjami darzyli nas aljanci. Zresztą wojsko ich interwenjowało zawsze kilka godzin za późno, a zjawiało się z reguły wtedy, gdy atak czy też silniejsza strzelanina była ukończona. Kłopot miały z niemi tylko wedety i patrole, gdy podchwycone w nocy okrzykiem „Wer da" nie wiedziały, jak lepiej odpowiedzieć „Polen" czy też „Deutsche".

Bazą odcinka była cegielnia nad Odrą. Rzeka w tem miejscu wąziutka, może ze sto metrów najwyżej, oddzielała nas od nieprzyjaciela ukrytego za wałem i krzewami.

W zakrytych cegłą oknach budynku bez przerwy grzechotały trzy maszynki. Inaczej aniżeli zwyczaj nakazuje, ogień wzmagaliśmy za dnia. Strzał był „na optykę" i przypominał trochę zabawę w chowanego. Myśmy wypatrywali krzaki, za któremi chronił się nieprzyjaciel, a Niemcy znów szukali okien, skąd grały nasze maszynki. Przytem ogień osiągał taką ostrość, że przy jednem oknie mogliśmy wytrzymać 15 do 30 minut, a potem trzeba się było przenosić do innego, by w tem umocnić zabezpieczenie.

Ciągłe napięcie nerwów, ciężka praca ze wzmacnianiem zasłon i ze zmianami luf u maszynki, a w dodatku strata trzech ludzi — dały mi się dobrze we znaki.

Wreszcie maszynka moja ma dosyć, więcej tego nie chce i musimy zanieść ją do zbrojmistrza dla naprawy.

Tymczasem w dowództwie baonu chwytają moją siódemkę i rozkaz... obsadzić jako wedeta miejsce przy rzece, przez które ma się przeprawiać w nocy nieprzyjaciel. Wysuwam się ze 200 m. przed naszą linję, z jakąś niewypróbowaną lekką maszynką i staję przy szosie, która idąc kręto nie pozwoli na strzał po linji rowu.

Umowy o sygnale i zejściu wedety przed rozpoczęciem ognia są niemal zawsze umowami jednostronnemi, których dotrzymuje wedeta. Tak też było z nami. Najpierw jeden strzał od strony wroga, potem kilka z różnych stron i po chwili nasza siódemka znalazła się w dwustronnym ogniu.

Repetuję maszynkę, strzela raz, ale więcej nie chce, wszelkie dalsze próby również zawodzą, bo jak się to później wyjaśniło zamek był od ciężkiej.

Tymczasem kanonada wzrasta. Ogień z naszych rowów trafia przeważnie w wyniosłość, która dzieli nas od swoich, gdyż w stosunku do natężenia kanonady niewiele kul przechodzi ponad głowami, a od strony wroga wyraźnie wyczuwam zbliżanie się strzałów i to w bardzo pokaźnej ilości.

Bzyk zamienia się w jednostajny prawie szum. My strzelamy przywarci do szosy ile tylko się daje, przyczem dla lepszego efektu rozbijam szeroko naszą siódemkę, a sytuacja staje się dla nas coraz groźniejszą. Bowiem przejść szosę — to znaczy natychmiast runąć, bo nieprzyjaciel strzela wprost salwami, a wycofać się — to znaczy wpaść we własny ogień.

W połowie nocy, widząc beznadziejność naszej strzelaniny, ściągam ludzi razem i czekam rozwoju wypadków.

Nad ranem, strzelanina cichnie, a we mgle porannej od strony wroga ukazuje się jeździec. Po całonocnem strzelaniu na oślep trudno odmówić sobie przyjemności obejrzenia go przez muszkę, zwłaszcza, że mamy go za naiwnego, który myśli, że jest poza naszem polem widzenia. Kilkanaście strzałów i jeździec zawraca, lecz gdy podnosiliśmy się do powrotu, w tym samym miejscu ukazuje się grupa ludzi z dużą białą flagą. Posłany łącznik do dowództwa każe ich przepuścić.

I tu wyjaśniła się nocna awantura. Wojsko włoskie, naogół nieprzychylnie odnoszące się do powstańców, przyszło w sile kompanji przeszkodzić spodziewanemu starciu. Skąd padł pierwszy strzał oczywiście nie wiadomo, sytuację pogarsza tylko fakt straty kilku Włochów w ciągu tej nocy no i... ranienie przez nas w rękę oficera, który konno jechał, aby rzecz wyjaśnić.

Na usprawiedliwienie podam jednak, że zdarzało mi się być na Śląsku pod obstrzałem Włochów i to chyba nie mimowolnym.

Powstanie dobiegało końca. Na front dochodziły nas wieści, że żołnierski trud i krwią zroszone zdobycze, nie pójdą na marne. Śląsk, polska ziemia, znowu będzie polską.

Armja powstańcza zahartowana już w bojach a pewnością zwycięstwa wzmocniona, musi jednak w okresie najlepszej swej formy wycofać się na linję demarkacyjną.

Jutro mamy opuszczać Koźle. Dwie maszynki i pluton piechoty osłania wycofywanie się.

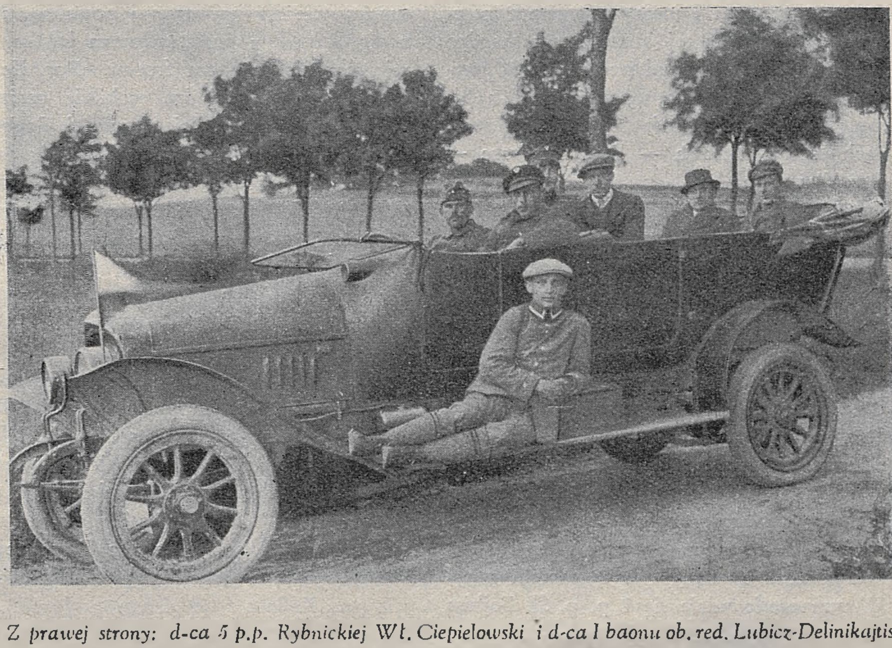
Paweł Grzesik dowodzi osłoną, w której i mnie pozostawiono.

Jeszcze na cegielni maskujemy ogień. Już niewiele taśm mamy do końca. Zasłony już solidnie są podziurawione, gruz się sypie a kule do budynku wpadają. Niemcy, jakby przeczuwając, ogień powiększyli.

Lecz już nowych zasłon robić nie warto.

Przechodzi Grzesik, od maszynki jednej do drugiej, aż nagle chwyta się za głowę i pada.

Sanitet... opatrunek... rana na szczęście powierzchowna. Wydaje ostatnie rozkazy i z sanitarjuszem odjeżdża.



Z prawej strony: d-ca 5 p.p. Rybnickiej Wł. Ciepielowski i d-ca I baonu ob. red. Lubicz-Delinikajtis.

Tymczasem jeszcze ogień czas jakiś trzymam, aż wpada adjutant Szyguła. Niemcy od lasu nacierają. Bataljon miasto opuścił. Wycofując się powstrzymywać mam wroga.

Tak powracamy do Pogorzel. „Orgeschowcy" są coraz bliżej. Zachodzi niebezpieczeństwo zaatakowania wojska naszego, ładującego się w Kędzierzynie. Pod Pogorzelem płynie rzeczka a przez szosę przerzucony jest mostek z betonu. Czasu dziesięć minut. Łącznik dostarcza dynamit. Trochę przymało. Przybiega z nim kucharz — były saper niemiecki. Ostrzejszy ogień zatrzymuje wroga. Ładunek gotów. Zakładania chroni jeszcze tylko jedna maszynka na wozie, do którego zaprzęgnięty jest jakiś stary, kulawy koń. Lont już zapalony — odjeżdżamy. Za chwilę huk i mostek załamał się wpołowie.

W Bielszowicach kilkodniowy odpoczynek, lecz walk nie koniec.

Blokujemy Gliwice od strony Sośnic. Ostatnie dnie czerwca... rano... atak... miasto nasze... kilka godzin wolności zgubiło zwycięstwo... już wieczorem musimy je oddać.

Połowa lipca kończy orężny plebiscyt. To, cośmy wywalczyli, jest nasze. Z towarzyszami broni rozstaje się dowódca, lecz nazajutrz już znowu są razem przy pracy — by dalej w bratnim znoju potęgę Polski budować.

Do kraju powracają żołnierze — powstańcy z radością w sercu i uśmiechem na ustach, by swemu Wodzowi zameldować, że rozkaz spełnili.

JAN KELLER

Piechota śląska w III powstaniu

Z początkiem czerwca 1920 r. otrzymałem przydział do pracy plebiscytowej na Śląsku i zostałem delegowany przez Polski Komisarjat Plebiscytowy w Bytomiu, jako tłumacz języka francuskiego i angielskiego do kontrolera powiatowego w Wielkich Strzelcach, biorąc równocześnie żywy udział w pracy plebiscytowej

Po drugiem powstaniu wstępuję do Policji Plebiscytowej i zostaję przydzielony w stopniu porucznika jako adjutant do Grupy Gliwickiej, następnie zaś jako kapitan do Policji Specjalnej do Katowic.

Jako członek P. O. W. otrzymuję na wypadek wybuchu powstania przydział na komendanta etapu na powiat Katowice. W nocy z 2 na 3 maja, t. j. w chwili wybuchu III powstania, nie mając w swej funkcji narazie nic do czynienia, biorę udział przy pułku Fojkisa w zajmowaniu miasta Katowice. Jako oficerowi linjowemu, niebardzo uśmiecha mi się praca w biurze, to też staram się o przydział na front i zostaję przez dowództwo Grupy Wschód wysłany do 2 p. p. Śl. Cymsa na stanowisko zastępcy dowódcy tegoż pułku, znajdującego się wówczas w Birawie.

Podczas koncentrycznego ataku na Kędzierzyn, w dniu 7 maja, zadaniem 2 p. p. było sforsowanie tej strategicznie bardzo ważnej miejscowości od południa. W wykonaniu tego zadania wyrusza pułk z Birawy i rozczłonkowuje się po obu stronach szosy Birawa — Dworzec-Stare — Koźle, między Odrą i torem kol. Birawa—Kędzierzyn. Lewy brzeg Odry, Stare-Koźle i Stawidła przy torze kolei są silnie obsadzone przez oddziały niemieckiej policji, uzbrojonej w kilkanaście c. k. m. Nie bacząc na silny ogień, dowódcy pułku posuwają się razem z pierwszą linją wzdłuż szosy, przyczem piszący kieruje specjalnie ogniem z działka piechoty, które w ciągu dnia zostało przydzielone do pułku. Pomimo huraganowego ognia i wielkich strat w zabitych i rannych, oddziały powstańcze zajmują Stare-Koźle i posuwają się w dalszym ciągu na Brzeziec i Pogorzelec, ktory zostaje zajęty z nastaniem nocy. W tym czasie udaje się 1 p. p. Śl. Fojkisa sforsować Kędzierzyn od wschodu.

2 dni później biorę udział jako obserwator w walce 1 p. p. o przyczółek mostowy nad Odrą pod Koźlem.

Nowa sytuacja wymaga pewnego przegrupowania oddziałów powstańczych. Tworzy się 1 dywizja, w skład której weszły 1 p. p., 2 p. p. i 8 p. p. Rataja. W związku z tem, otrzymuję nowy przydział na zastępcę dowódcy 8 p. p. Rataja, który zajął odcinek frontu wzdłuż Odry na linji Deszowice, Rozwadze, Krempa, Oberwitz, Strzebinów, Zakrzów, Dąbrówka frontem do Odry i Gogolina. Po stronie niemieckiej gen. Hofer przystępuje również do reorganizacji swych oddziałów, tworząc z napływających wciąż z głębi Niemiec ochotników specjalne oddziały szturmowe, złożone z samych studentów i oficerów. Atak na nasze linje nie daje długo czekać. Dnia 20 maja z nastaniem nocy otrzymuje sztab 8 p. p. wiadomość o silnym ruchu kołowym na moście przez Odrę, prowadzącym z Krappitz do Gogolina. Zarządzono ostre pogotowie całego pułku. Koło północy rozpoczynają Niemcy atak na całej linji. Dowódca pułku Rataj zwraca szczególną uwagę na najbardziej zagrożone pozycje pod Strzebinowem, gdzie sytuacja staje się nadzwyczaj poważną. Baonowy Kurtok z przestrzelonem lewem ramieniem nie opuszcza frontu. Por. Keller z folwarku Strzebinów osobiście ostrzeliwuje z c. k. m. wyjście z wioski Gogolin, skąd usiłują się wydostać coraz to nowe grupy atakujących. Jak silna była walka na tym odcinku, świadczy później wydana lista strat niemieckich, zawierająca przeszło 150 nazwisk samych studentów i oficerów. Wobec ogromnej przewagi, nasze linje poczynają się załamywać. Dla opóźniania niemieckiego posuwania się naprzód, por. Keller organizuje i przeprowadza osobiście kilka przeciwnatarć. Kiedy dnia 21 maja rano grozi oddziałom 8 p. p. osaczenie, szczególnie zaś celem ponownego ugrupowania oddziałów, dowódca pułku Rataj zarządza wycofanie pułku za linją szosy Leśnica Dworzec — Leśnica. Dla osłony tego ruchu pozostawia por. Kellera z oddziałem około 150 ludzi w Zyrowej z wyraźnym rozkazem trzymania tej miejscowości aż do rozpoczęcia przez cały pułk zamierzonego przeciwuderzenia. W oddziele tym znajduje się kilku kadetów lwowskich, którzy właśnie dnia poprzedniego zgłosili się do pułku. Zajmujemy pozycję za wsią, frontem na północ i półn. zachód, wysyłając patrole pod dowództwem kadetów na wszystkie strony. Zajęty odcinek ostrzeliwują Niemcy szrapnelami, bez żadnej jednak akcji zaczepnej z frontu. Mijają godziny. Sytuacja staje się naprężoną. Łącznicy do dowództwa o dalsze rozkazy nie wracają, ani też nie następuje zapowiedziana akcja pułku. Patrole donoszą o zajęciu przez Niemców Góry Św. Anny i miejscowości Krempa i Rozwadze. Wówczas decyduję się wycofać oddziały na Leśnicę. Odwrót odbywa się pod silnym ogniem flankowym z 2 stron, to też straty są znaczne. Ginie między innemi kadet Chodkiewicz, potomek hetmana Chodkiewicza. Wreszcie udaje się oddziałowi dotrzeć do pozycji, zajętych przez pułk, gdzie oddział uważano dawno za stracony. Okazało się, że dowództwa pułku Rataj, kilka godzin przedtem wysłał rozkaz wycofania się, który jednak nigdy do mnie nie dotarł.

W ciągu dnia otrzymuje 8 p. p. z dywizji rozkaz wycofania się do Ujazdu (Ujest), gdzie poniesione przezeń straty mają zostać wyrównane.

Następuje okres ciężkich walk pod Górą Św. Anny. Z ramienia dowódcy 8 p. p. Rataja organizuję obronę na linji Poppitz — Klutschau — Olschowa — Dollna. Po stronie nieprzyjaciela osławiony korpus „Oberland" dziennie kilkakrotnie atakuje linje powstańcze ze zmiennem szczęściem. Nieraz wypada przeprowadzać po kilka ataków dziennie, by odzyskać stracony teren. W tym celu tworzy się specjalne oddziały z doborowych ludzi. W tych walkach wyróżnia się dowódca plutonu Kocur, brat obecnego prezydenta Miasta Katowic.

Ażeby położyć kres dalszym walkom, decyduje się wreszcie rządząca na Górnym Śląsku Komisja Koalicyjna wsunąć swoje wojska między linje polsko-niemieckie. Następuje okres likwidacji powstania.

WALENTY FOJKIS

Odprawa w Imielinie

W lipcu 1920 r. dokończyłem szmuglu i dyslokacji broni w powiecie pszczyńskim. Z górą 800 karabinów mieliśmy na terenie tego powiatu i około 25 000 granatów. Komendant powiatowy, ś. p. Krzyżowski, zadowolony z udanej akcji, wrócił do Pszczyny. Ja pozostałem w Imielinie, gdzie otworzyłem biuro sztabu okręgu. Komendant obwodowy, Paweł Wilk, dzielnie się spisał, szmuglując broń drogą wodną, co mu się udawało, pomimo wzmożonej czujności niemieckiej straży granicznej. W innych powiatach uzupełniano również zapasy broni, tak, że byliśmy w stanie odpierać skuteczniej terror niemiecki, ba, przechodziliśmy nawet do ofenzywy. Wszyscy postanowiliśmy sobie za punkt honoru pomścić każdy wybryk niemiecki i płacić pięknem za nadobne.

Niemcy rozpoczęli gwałtowny atak, tymczasem zaś Komisja Koalicyjna wywierała nacisk na Polskiego Komisarza Plebiscytowego p. Korfantego, grając na jego ambicji, że — powinien mieć tyle siły i autorytetu, by — nie dopuścić do awantur i wystąpień bojowych. Do tego wysyłano na nas do Warszawy zażalenia, by „tych—awanturników“ (t. zn. nas) unieszkodliwić, bo gotowiśmy popsuć szyki naszej dyplomacji.

Wrogowi sprzyja szczęście. W ręce wywiadu niemieckiego wpada lista nazwisk czołowych przywódców P. O. W. na Śląsku. Korfanty teraz dopiero otrzymuje dokładny obraz o zakonspirowanej sile organizacji i pewnego pięknego poranku... rozwiązuje nas. W jaki sposób? Poprostu usunął biednego kmdt. Zgrzebnioka z jego sztabem. O poparciu materialnem mowy nie było. Nie chciał o nas nic wiedzieć, rzekomo dlatego, że działalność nasza utrudniała mu utrzymanie jego pozycji, bo posądzano go o to, że łamie postanowienia przepisów o przeprowadzaniu plebiscytu.

Trudno! Trzeba było znaleźć nowy ośrodek roboty, a do tego nadawał się sztab Fojkisa w Imielinie. Jednak i tu wysokość nagrody za wykrycie i listy gończe utrudniały nam poruszanie się w terenie.

Pracujemy więc po nocach, odbieramy przysięgi, wydajemy instrukcje, a tylko w chwilach wielkiego przemęczenia idziemy na spoczynek, przesadnie uzbrojeni, bo oprócz 2 rewolwerów, stale gotowych do strzału, miał każdy pod ręką po kilka granatów.

Było to z końcem lipca 1920 r. Przyjeżdża kurjer z meldunkiem, że u mnie odbędzie się ważna narada, więc trzeba zostać w domu. Przeglądam dzienniki. Wiadomości z frontu nie najlepsze. Cofanie się pod Warszawę. Chciałoby się tam być.

Tymczasem nadjeżdża nasza wiara. Mikołaj Witczak przybywa samochodem, obładowanym wprost jak wóz cygański. Jest Zgrzebniok, Grey, Jędrysik, Józef Witczak, Buła, Krzyżowski, ś. p. Pyka i Rudolf Kornke.

— Co z Wami jest właściwie, wyglądacie, jakbyście z kryminału uciekli. Może się przynajmniej ogolicie — pytam ich.

— Nie pyskuj i daj co zeżryć — mówi komendant grubym i poważnym głosem. Ciebie też zawsze głupstwa trapią, tak jakbyś nie wiedział, że Warszawa więcej, jak zagrożona.

Na wsi ustawiłem kilka posterunków i rozpoczęto od jedzenia. Musieli być długo w podróży, bo byli głodni, jak wilki.

— A gorzały ni masz, toś mi gospodarz — odkuwa się Kornke. Mimo wszystko na twarzach przygnębienie. — Dałbym Wam co chcecie, tylko poco takie krzywe mordy? — Dowiesz się, bo w tej sprawie do Ciebie przyjeżdżamy. Siadaj i nie gadaj.

Komendant Zgrzebniok zaczyna referować. — Sytuacja jest więcej jak poważna. Dziś właśnie musimy coś ustanowić, by nas nie zaskoczono. Zaczynamy po kolei wygłaszać nasze projekty. Ja i Józef Witczak, jako najmłodsi i najwięcej gadatliwi nie mamy zamiaru przejmować się referatem.

Kornke oświadcza, że liczy na swoich ludzi, jak na nas, a z referatów wynika, że i inne powiaty nienajgorsze. Lecz ta fatalna sytuacja na froncie, nie dawała nam spokoju.

— Co zrobimy, jak Warszawa padnie? Rząd polski przeniesie się do Częstochowy, a potem co? — Takie i podobne zdania padały.

— W każdym razie bolszewików tu nie puścimy.

— Wolę nawet djabła i mą teściową, — podkreśla Pyka.

Kornke znów psioczy na komisarjat plebiscytowy w Bytomiu, że „te pierońskie cholery tylko robotę utrudniają, a Wojtek to już z kretesem zwarjował“.

Jędrysik przemówił z patosem: — Bóg miłosierny czuwa nad nimi, a ty Walek nie śmiej się, boś nie w szkole (Z Jędrysikiem kolegowałem razem w Szkole Podchorążych w Warszawie). Krzyżowski wysuwa plan odczekania i kontynuowania prac organizacyjnych.

Po długiej naradzie, która trwała od godz. 10 r. do późnej nocy ustalono, że na wypadek przeniesienia rządu polskiego do Częstochowy, rozpoczynamy na Śląsku ruch zbrojny. Akcja miała iść w tym kierunku by nasze zamiary za żadną cenę nie doszły do Korfantego, a wszystkich, którzy się naszej koncepcji sprzeciwią unieszkodliwić. Ustalono, że ogłosimy Śląsk jako wolną niepodległą Republikę, zaś tym, którzyby nam szkodzić chcieli, wypowiadamy wojnę.

Na wypadek zgniecenia naszego ruchu, zrównamy na Śląsku wszystko z ziemią i raczej wszyscy zginiemy, by nie przejść z powrotem pod jarzmo pruskie.

To postanowienie zapadło jednogłośnie. Przed oczyma duszy przesunęły nam się obrazy przyszłych walk, serca zalewała gorycz i nieograniczony żal do wszystkich, co nas zrozumieć nie chcieli, nas, którzyśmy jak psy bezdomne gonili po Śląsku, kąsając i odgryzając się na wszystkie strony.

Nie obyło się też bez przekleństw i złośliwych uwag pod adresem niektórych panów z komisarjatu plebiscytowego.

— Banda cywilna, dyplomaci, zamazani tchórze.

— Co się tyle irytujecie, wołam sam rozirytowany—najwyżej nas djabli porwą.

— Ciebie tam nawet nie chcą — odpala Kornke.

Koniec końcem trzeba było oblać to nasze postanowienie.

— Tyś gospodarzem, w knajpie masz kredyt. a my waluty nie mamy. Czyń co do ciebie należy.

W takim oto nastroju zakończono naszą odprawę.

Jeżeli ówczesne obrady i uchwały nasze nasunąć mogą dzisiaj pewne dziwne refleksje, to każdy z obecnych na odprawie uważał wówczas, że są one więcej jak słuszne.

Dzisiaj okazało się, że praca Peowiaków śląskich stanowiła podwaliny pod budowę naszej potęgi narodowej.

LEON MIERZEJEWSKI

Wspomnienia artylerzysty

W 1918 r., po zwolnieniu z wojska niem. jako ppor. wstępuję natychmiast do tworzących się polskich oddziałów w Krotoszynie Wlkp., gdzie dowodzę oddziałami powstańczemi na odcinku frontu pod Krotoszynem, składającemi się z 12 kompanij powstańczych i 8 komp. straży ludowej, przebywając do marca 1919 r.

Jako artylerzysta zostaję przydzielony do 1-go p. art. l., dowodząc przez kilka dni baterją, następnie wyznaczony jestem d-cą kolumn amunicyjnych wielkopolskiej grupy obserwacyjnej i pod dowództwem pułk. Konarzewskiego wyruszam pod Lwów.

Biorę udział w walkach pod Gródkiem Jagiellońskim przechodząc wszystkie boje, aż do oswobodzenia Lwowa. Tu zostaję mianowany porucznikiem.

Po oswobodzeniu Lwowa, 8 czerwca r. 1919, wracam z grupą do Poznania — i przydzielony jestem do 2 p. art. l. w Biedrusku jako dowódca 5-ej baterji — następnie przeniesiony do Sztabu 16-ej Dywizji jako oficer broni. Z 16-tą Dywizją wkraczam na Pomorze, gdzie organizuję pułk uzbrojenia 16-tej Dywizji, wyruszając z pułkiem tym na front bolszewicki (lipiec) i potem biorąc udział w odwrocie aż do Warszawy, poczem biorę udział w ofenzywie pod Warszawą, ciągle z tym parkiem uzbrojenia, który przeistacza się na park dla 16-ej Dywizji, 11-ej Dywizji Legj. i 15-tej Dywizji Wielkopolskiej, sięgamy aż do Łomży, skąd dalej na Wschód.

Po ukończeniu walk, jako górnoślązak, zostaję odkomenderowany na Śląsk do pracy plebiscytowej — pracując w organizacji policji plebiscytowej — w Związku b. jeńców wojennych, poczem przechodzę do dowództwa Obrony Plebiscytu pod dowództwem pułk. Chroboka.

W 3-iem powstaniu obejmuję 1-szą baterję górnośląskich wojsk powstańczych, początkowo pod Raciborzem, gdzie baterja stała w Pogrzebieniu, walcząc pod Kędzierzynem. Podczas zajęcia Kędzierzyna ostrzeliwuję koszary włoskie. (Włosi walczyli przeciwko powstańcom). Biorę też udział w walkach pod Św. Anną.

21-go maja rozpoczęto atak na Św. Annę, podczas którego baterja moja ostrzeliwuje przyczółek mostowy (Krappitz — Oberndorf), Krapkowice przez który przechodziły kolumny niemieckie (Selbstschutz), ogniem armatnim wyrządzam im wielkie straty i opóźniam o kilka godzin dotarcie ich do linji.

W kolumnach niemieckich znajdują się przeważnie studenci.

W nocy ściągnięto mnie do Sławencic. Oddziały powstańcze wycofują się na linję Lichinja — Dolna Poręba, gdzie następują wielkie ataki Niemców. Ze swoją baterją stoję na północ od szosy Sławencice, Zalesie, Lichinja, wspierając ogniem działania powstańcze.

W czasie zajmowania przez Niemców Kędzierzyna i Sławencic grupa Wawelberga zniszczyła wszystkie mosty — baterja moja została odcięta w parku zamku Sławencickiego. Wykorzystuję więc czas i jedyną drogą w kierunku dworca Sławencice wyprowadzam baterję pojedyńczo działami galopem. — Pozostał tylko jeden wóz amunicyjny. Baterja wyprowadzona.

W tym czasie wkroczyły wojska koalicyjne, przerywając tok dalszych walk.

Służba łączności w III powstaniu śląskiem

W krótkim szkicu niepodobna opisać wszystkiego, zwłaszcza trudów i trosk około zmontowania technicznych ulepszeń ruchu zbrojnego. Jako szef łączności grupy „Wschód", kierowałem odcinkiem, obejmującym obwód przemysłowy górnośląski i dalej na zachód ciągnący się pas, aż po Odrę. Kilka przytoczę wspomnień.

Siedzibą d-twa grupy „Wschód" były Bielszowice. Tam mieliśmy naszą centralę telefoniczną. Nazwaliśmy ją kryptonimem „Jadwiga". Miała kilkadziesiąt klapek zajętych, a ruch w dzień i w nocy panował wielki. Z Bielszowic biegły linje wzdłuż całego frontu, wokół obleganych miast i daleko hen na zachód, nad Odrę. Nawet z kompanjami, nietylko z bataljonami, mieliśmy komunikację telefoniczną.

Pamiętam wzruszenie sztabu, zwłaszcza zastępcy d-cy grupy p. Przedpełskiego, kiedy pierwsze powstańcze połączenia telefoniczne zostały przeprowadzone, nietyle z gmachem d-twa, ile z terenem operacyjnym. A zważyć musimy, że główne centrale telefoniczne miast pozostawały w rękach obcych, musieliśmy przeto omijać miasta, kombinować przewody, przeprowadzać zupełnie nowe urządzenia. A wszystko bez dostatecznego materjału i bez dostatecznej ilości specjalistów.

Materjał często fasowaliśmy w sposób „legalny". A więc zajeżdżał ktoś z „drucików" przed sklep, zażądał wydania materjału, pokwitował odbiór, no i, jak mógł, umykał, lub dumnie podpisywał kwit rekwizycyjny i... też umykał. Zdarzył się nawet wypadek, że nasze auto wjechało do Zabrza, będącego pod władzą niemiecką. Chłopcy nasi weszli do sklepu, przed którym stał **poilu** z bagnetem na karabinie, i poprzednio opisana procedura odbywała się w tempie błyskawicznem, a potem wio poza miasto.

Jakie były trudności w połączeniu telefonicznem oddziałów, walczących nad Odrą, z Bielszowicami, wynika z tego, że Gliwice, skupiające linje telefoniczne, idące na zachód i północny zachód, nie były w naszem ręku i musieliśmy je omijać. Wokoło Gliwic musieliśmy wybudować kilkukilometrową linję słupów drewnianych z dwoma przewodami podwójnemi i jednym pojedyńczym. W normalnej wojnie jest to trudne zadanie, ale stokroć trudniejsze w krótkotrwającem powstaniu. Wybudowawszy tę linję, uniezależniliśmy się od Gliwic.

Świetnym wyczynem naszych oddziałów telefonicznych było odkrycie w porcie kozielskim przewodów, łączących kilka dowództw niemieckich. Rozbrajająca pewność Niemców, że nie potrafimy podsłuchiwać, pozwalała nam na ujmowanie najtajniejszych rozmów operacyjnych niemieckich.

Port kozielski miał dla nas jeszcze o tyle duże znaczenie, że zdobyliśmy dużo materjału technicznego, zwłaszcza aparatów telefonicznych.

A teraz o telegrafie. Czy powstańcy mieli telegrafy? A jakże — wysoce uprzemysłowiony kraj dostarczył nam wszystkiego, wysoka technika zdobywanej ziemi i od powstańców wymagała wysokiej techniki. A przedewszystkiem mieliśmy aparaty Morse'a, stukacze. Mało tego — dowództwa grup i naczelne dowództwo w Szopienicach połączone były aparatami Hughes'a. Były one naszą dumą, a świadczyły o sprawności technicznej III powstania. Oficerowie francuscy, z którymi rozmawiałem o tem wówczas, wierzyć mi nie chcieli i musiałem demonstrować im te aparaty, aby był dowód prawdy.

Wkońcu — mieliśmy radjostacje. Kilka ich było. Z uwagi na to, że było ich mało, odgrywały one rolę łączników tylko między dowództwami. Radjostacje cierpiały dużo przed natrętstwem ludności, dla której były nowością wielką. Poza rolą bojową, spełniały dobrze funkcje agitacyjne. Przez radjostację d-twa grupy „Wschód" szły nieraz w świat odezwy powstańcze do swoich i obcych.

Aby wyczerpać wszystkie środki łączności, wspomnieć muszę o organizacji kurjerek, przewidzianej pierwszym rozkazem operacyjnym na okres pierwszych trzech dni powstania. Ponieważ spodziewaliśmy

się, że przez kilka dni nie potrafimy zorganizować należytej łączności telefonicznej i telegraficznej, obwód przemysłowy pocięty był linjami kurjerskiemi kobiecemi. Dlaczego powierzyliśmy to kobietom? Otóż stało się to na podstawie doświadczenia w okresie walki plebiscytowej, że kobieta przejdzie nienagabywana i w terenie zaludnionym tak, jak obwód przemysłowy, zdoła przemknąć, nawet nie zwracając na siebie uwagi. Komplikacje przy zajęciu miast przemysłowych oraz natychmiastowe uruchomienie innych środków łączności, pozwoliły na zrezygnowanie z pomocy kurjerek. Znany mi jest tylko jeden wypadek biegu kurjerek z Józefowca do Bańgowa. Karność i postawa kurjerek była znakomita.

W końcu jedna uwaga. Mężność powstańców, odważne opanowanie prawie całego obszaru plebiscytowego, daje miarę poświęcenia i bohaterstwa ludu śląskiego. Opis zaś jednej z technicznych stron III powstania pozwala na zorjentowanie się w dobrze obmyślanym planie tego powstania i świetnej jego realizacji, ktora przyczyniła się walnie do zwycięstwa.

Tadeusz Szaliński
(**Tadeusz Sawa**, b. szef łączności grupy Wschód).

WALKA O CHORZÓW

(Relacja)

Sukces, odniesiony przez powstańców w powiecie katowickim i pszczyńskim, wywołał u Niemców strach i konsternację. Powstańcy dostali się nawet częściowo do Katowic, staczając przed gmachem starostwa zacięte walki. Padły większe i mniejsze fortece. Miejscowość Chorzów po krótkich utarczkach przeszła w nasze ręce. Fabryka jednak sama, położona poza obrębem tej miejscowości, znajdowała się dalej w rękach niemieckich.

Ówczesny komendant Okręgu, porucznik Fojkis, zawezwał nas na odprawę celem omówienia spraw, związanych z „dźwignięciem tej fortecy". Już zrana zasypali Niemcy gradem kul nasze przednie placówki, wyrządzając nam dotkliwe straty. U boku komendanta Watoły pada syn jego. Wściekłość nas bierze, bo widzimy się prawie, że bezsilni, mając przed sobą dobrze uzbrojonych i ufortyfikowanych Niemców. Nasze siły wynosiły: oddział Watoły — 160 ludzi, a mój oddział liczył około 50 ludzi, (w oddziale moim miałem komendanta Koszętkę z Brzezin). Natomiast w fabryce była uzbrojona straż ogniowa w liczbie 40, oraz policja w sile 100 ludzi, około 80 oficerów, urzędników — i 200 niemieckich robotników, jako specjalnie stworzony oddział bojowy, t. j. razem około 420 ludzi. Był to więc bataljon dobrze wyćwiczonego żołnierza, gdyż do tych oddziałów powołano tylko byłych frontowych żołnierzy.

Odprawa odbyła się w Małej Dąbrówce w Komendzie, gdzie wrzało jak w ulu. Kurjerzy, meldunki, rozkazy i t. d. Nie mieliśmy żadnych wskazówek. Komendant Fojkis rozpoczął powstanie samorzutnie, wbrew rozkazom, i sam też w pierwszych dniach powstania dźwigał ciężar odpowiedzialności na sobie. Najwyżej mogą nas zabić — mówił z uśmiechem, ale już samą śmierć młodego Watoły i niewolników naszych musimy pomścić. Niema dyskusji, bo tu nie rabinat, nie odwlekajmy, tylko z nadejściem świtu „łasujmy szwabów za łby"

Na odprawie ustalono, że za wszelką cenę należy fabrykę zdobyć, gdyż zachodziła obawa, że Niemcy z jednej strony wymordują znajdujących się tam polskich robotników, z drugiej zaś strony będą urządzali wypady na okoliczne miejscowości, jak w przededniu odprawy, kiedy w czasie wypadu na Maciejkowice zabrali kilku powstańców, m. i. Wiktora Gołkę, Józefa Zegara i Wiktora Październioka, których chcieli w fabryce rozstrzelać lub wrzucić do pieców karbidowych. Ówczesny Miejscowy Komisarz Plebiscytowy i współorganizator P. O. W. w miejscowości Maciejkowice, Antoni Skrzypiec i Karol Milczarek ratowali się ucieczką do Brzezin, przychodząc na drugi dzień z oddziałem powstańczym pod dowództwem Koszętki i przynosząc większą ilość amunicji i broni dla oddziału maciejkowickiego.

Watoła i ja, jak i Fojkis, znaliśmy dokładnie teren i dlatego też ustalono, by rozstawienie oddziałów nastąpiło przez nas osobiście, pod nadzorem Fojkisa. Według założenia oddział mój miał za zadanie, zwabić nieprzyjaciela na front północno-wschodni fabryki i zaangażować wszystkie jego siły. Wtedy oddział Watoły miał rozpocząć generalny atak w kierunku głównych bram. Niemcy ustawili w kierunku północno-wschodnim na wałach miału węglowego 3 karabiny maszynowe, zaś jeden karabin ciężki maszynowy w składnicy z kierunkiem ognia na Maciejkowice. Od głównej zaś bramy ustawili 4 karabiny maszynowe ciężkie. Przez wywiad znaliśmy dokładnie pozycje niemieckie i chociaż kilku obywateli nazywało nas warjatami, rzucających się z motyką na słońce, zadecydowano szturmować fabrykę. Planów naszych nikt nam nie zmieniał, gdyż dopiero w trzecim dniu powstania zgłosiło się aż dwóch delegatów Komendy Śl.: jeden z ramienia komendanta Zgrzebnioka — p. Gray, a drugi — p. Paluch, wyznaczony przez p. Korfantego.



Ślązacy z pod Chorzowa.

Ze świtem rozpoczęliśmy decydujący atak i tak rozpoczął się morderczy ogień. Kiedy rezerwa miała za zadanie ostrzeliwać górne stanowiska niemieckie i nie ruszać się z wyznaczonych miejsc, to pierwsza linja dotarła pod same pozycje niemieckie bez strzału. Ogień niemieckich karabinów kierowany był tam, skąd błyskały strzały rezerwy, przez co prawie że bez

strat dostaliśmy się przed same zwały. Szturmem wzięto pierwsze pozycje. W tej samej chwili z tym samym impetem rozpoczął się ze strony południowej atak Watoły i po dwugodzinnej zaciekłej walce cała fabryka została opanowana.

Każdy, kto był żołnierzem i przechodził walki uliczne, wie, jak trudno dostać się pod pozycje podobnych objektów. Tembardziej radość panowała wielka po zdobyciu pierwszego odcinka. W fabryce powstał nieopisany wrzask. Wszystko biegało, jak bez głowy, kto mógł ukrył broń. Inni porzucili ją. Zewsząd dochodziły wrzaski „Ergeben", „Bij pierona", „Lej mu", a p. generalny dyrektor Schück z płaczem, z podniesionemi rękami okazywał swoje tchórzostwo.

Nie da się tutaj opisać wielu szczegółów. Przytaczam tylko nazwiska takich bojowników, jak ówczesny komendant ś. p. Watoła, Walenty Bednarski, Antoni Skrzypiec, Stefan Skrzypiec, Karol Milczarek, Wiktor Gołek, jak również ówczesny naczelnik gminy Henryk Wiechuła, który wśród gradu kul osobiście odwoził rannych powstańców. Zauważyć należy, że w krótkich przerwach ognia pobudzał nas odgłos strzałów z powiatu bytomskiego. Tam pod dowództwem Rudolfa Kornkego, jako komendanta powiatowego, „fasowano" Niemców, zaś pod Hajdukami dobijał się obwód ś. p. Sitka pod dow. Zieleńskiego. Również i w Siemianowicach częste detonacje dodawały nam dużo otuchy, a czując obecność naszego komendanta Fojkisa przy sobie, wiedzieliśmy i byliśmy przekonani, że zwyciężymy.

Teraz, kiedy o bohaterstwie poległych i żyjących naszych braci mało się już wspomina, należałoby stwierdzić, iż robotnik śląski krwią ofiarną zdobył jedną z najpotężniejszych fabryk ówczesnej Rzeszy, tę samą, którą obecny Prezydent Prof. Ignacy Mościcki postawił na najwyższym stopniu rozwoju technicznego.

E. L.

ROMAN VOIT

Z frontu peowiackiego na Górnym Śląsku

„...nie zaginie siew szlachetnych myśli
i nie przepadną natchnienia najczystsze!"

Górny Śląsk był doniedawna jedynym jeszcze w Polsce okręgiem, na terenie którego Peowiacy nie byli zorganizowani. A przecież Peowiacy śląscy, spełniając ofiarnie swoje wstępne, wielkie zadanie wyzwolenia tej ziemi z jarzma niewoli i wywalczenia bytu niezależnego w ramach zakreślonych przez prawa historyczne — mają jedną z chlubnych kart w dziejach Polski. Coprawda nie spoczęli i nadal na laurach dawnego bohaterstwa, patrząc już tylko spokojnie na wytyczone krwią ofiarną zachodnie słupy graniczne ziemi śląskiej. Tak się jednak jakoś złożyło, że, po wspólnych trudach bojów — przez szereg lat prace ich, nawet w organizacjach ideowych niezawsze znalazły wspólny front i niezawsze skupiały ich około wielkiej idei peowiackiej uświadomienia obywatelskiego i zorganizowanego działania dla wielkiego, mocarstwowego Państwa Polskiego. To też powtórne skonsolidowanie się i zorganizowania Peowiaków śląskich pod wspólnym sztandarem pracy ideowej, opartej na ich dawnych tradycjach — nastąpiło tu daleko później, aniżeli na innych ziemiach polskich.

Ma to swoje wyjaśnienie, a nawet swoje głębsze, czy też uboczne powody.

Jakkolwiek ta zwłoka w podjęciu prac peowiackich na Śląsku stanowiła lukę w całokształcie organizacyjnych i osiągniętych już wyników Organizacji w całem Państwie, to jednak nabyte doświadczenie szeregu lat przyczyniło się do zastosowania obecnie daleko większej ostrożności tak w ocenie i doborze materjału ludzkiego, jak też w zakresie powierzania mu prac i zadań ideowych oraz do pogłębienia samego programu działalności i odpowiedzialności za nią. W czasie bowiem nadmiernego przerostu na G. Śląsku organizacyj o różnych charakterach i celach, musi P. O. W. wnieść w swej twórczej działalności tak głębokie wartości i tak niezachwiany program, aby każdy musiał uchylić głowy przed ich autorytetem.



Zarząd Okręgu Śląskiego P. O. W. z prezesem, ob. starostą Janem Wyglendą pośrodku.

Wiosna 1933 roku stała się tym momentem stanowczej już decyzji — zorganizowania Peowiaków na całym terenie G. Śląska. Do tej żmudnej, a zakreślonej na wielką skalę pracy, zainicjowanej z ramienia Zarządu Głównego przez jego delegata, ob. Kawalca, przystąpiło początkowo wprawdzie zaledwie kilku tylko Peowiaków. Byli to jednak ludzie zahartowani już w twardej pracy ideowej. Im większe trudności i przeciwności piętrzyły się przed nimi, tem większy był ich zapał i peowiacki upór w pracy.

Jeżeli w tym czasie pokrewne nawet ideowo Organizacje patrzyły na te zdecydowane zamierzenia niezawsze przychylnem okiem, to z tem większą wdzięcznością i z uznaniem należy podkreślić życzliwą pomoc, okazywaną nam od samego początku przez Związek Oficerów Rezerwy, który m. in. użyczył gościnnie swej siedziby na zebrania zgłaszających się członków Organizacji P. O. W. Tam to właśnie ukuty został wstępny program pracy organizacyjnej, tam powstał ośrodek, z którego promieniowała siła ekspansywna Organizacji, tam też do dnia dzisiejszego mieści się katowickie powiatowe koło Peowiaków, które też zostało pierwsze zatwierdzone przez Zarząd Główny.

Wyłoniony w toku prac Wydział Wykonawczy okręgowego Związku Peowiaków na Górny Śląsk przystąpił do nakreślenia programu pracy oraz podziału jej. W skład tego Wydziału weszli: ob. Rajmund Kawalec, jako delegat Zarządu Głównego, ob. starosta Jan Wyglenda, jako prezes Okr. Śląskiego, ob. dyr. Roman Voit, jako referent organizacyjny i ideowy, ob. inż. Nowakiewicz — jako skarb-

nik dla dochodów niestałych (który to referat objął obecnie ob. insp. Romuald Pitera), ob. dr. Leopold Obierek — referat Bratniej Pomocy, ob. Jan Ludyga — referat spraw przemysłowych, ob. kom. Leon Ferencowicz — referat propagandy, ob. Teofil Morelowski — przejściowo sprawy personalne, ob. Ponikowskiemu i ob. Marjanowi Hutterowi poruczono sekretarjat. Pozatem przydzielono szereg czynności innym obywatelom. W skład Komisji Weryfikacyjnej weszli: ob. poseł Kornke, ob. nacz. Walenty Fojkis — pracujący także w terenie, ob. insp. Pitera, ob. Rudolf Niemczyk, ob. Ludyga i ob. Hutter — jako sekretarz.

Bez rozgłosu i reklamy, lecz stale i nieprzerwanie nasza praca organizacyjno-ideowa na Śląsku zatacza coraz szersze kręgi. Coraz liczniejsze komórki krystalizują się coraz to doskonalej w swojej budowie, która, mając być silną i pewną — wznoszona jest — wprawdzie może powoli, ale na pewnie położonym fundamencie wypróbowanych wartości i poczucia obowiązku. Wiele jednostek wartościowych, które z różnych powodów nie mogły niejednokrotnie znaleźć odpowiednich dla siebie warunków pracy ideowej w innych organizacjach, z zapałem zgłasza się w szeregi peowiackie, by stanąć w zwartym, zdyscyplinowanym szyku do rzetelnej współpracy.

Nie brak wprawdzie także i jednostek, które, nie mając już miejsca w innych organizacjach, spodziewały się znaleźć w nowej atmosferze podłoże, sprzyjające ich osobistym celom. Tego rodzaju nadzieje są jednak zawsze zdecydowanie rozwiewane wyjaśnieniem, że kadr naszych nie traktujemy, jako odskoczni dla celów osobistych, lecz tylko, jako warsztat mozolnej i ofiarnej pracy dla kraju — pracy opartej na wielkich walorach ideowych oraz na głębokiem poczuciu odpowiedzialności, i że hasłom tym czyn nie może zadawać kłamu.

Na wszystkich zjazdach okręgowych, czy też obwodowych oraz w czasie zakładania kół stwierdzić można zawsze jedną zasadniczą cechę — nadzwyczaj podniosły nastrój i zapał wśród uczestników. Nic też dziwnego, że z radością została powitana



Ob. Rajmund Kawalec niestrudzony organizator życia peowiackiego na Śląsku

inicjatywa odnowienia dawnej przysięgi peowiackiej — jako tego przypomnienia, że dzieło rozpoczęte nie zostało jeszcze w całości dokonane, że w żyłach żyjących Peowiaków płynie jeszcze krew, której kiedyś ostatnią kroplę przyrzekli ofiarnie poświęcić dla Sprawy.

Coraz też dokładniej i jaśniej uprzytamniają sobie dawni bojowcy idei niepodległości, że dopiero pierwszy okres wysiłków, uwieńczonych chlubnie wyzwoleniem, spełniony został rzetelnie. W drugim okresie pracy nad udoskonaleniem stanu posiadania — muszą przez głębokie uświadomienie sobie celów i zadań ugruntować te wartości, na których jedynie można i musi się oprzeć w szlachetnej i twórczej pracy dla idei, której każdy Peowiak służy i w którą mocno wierzy.

Jak żywotną jest nasza idea, jak umiała zbudzić wszystkich tutejszych Peowiaków i zwołać ich do apelu, niech posłużą cyfry, które przemówią same za siebie. W okresie kilku zaledwie miesięcy, bo od wiosny b. r., powstało już przeszło 50 kół, okazujących wielką żywotność, a gdyby nie ścisła selekcja i ostrożność w angażowaniu ludzi do pracy, wyniki te byłyby przynajmniej dwukrotnie większe.

Nie obietnicami i widokami zysków zasilane są tu nasze kadry. Twardemi zasadami obowiązków karmi się przedewszystkiem tych obywateli, którzy poczuwają się do przynależności do jednej rodziny peowiackiej. Do pracy bowiem potrzebny jest tu materjał dusz ludzkich, zdolnych do wysiłków i poświęceń. Ciężka i żmudna, a nader odpowiedzialna jest tu każda praca obywatelska. Bo silne są wpływy wrogich czynników, które, zasilane znacznemi środkami w swej propagandzie destruktywnej, starają się w różnych formach i wszelkiemi drogami i sposobami spowodować, aby nietylko sparaliżować wszelką działalność obywatelską, lecz i gangrenować tutejsze społeczeństwo wszelkiemi środkami i systemami. Frymarczenie duszą polską — to nieodosobniony wypadek.

Znajdzie się jednak dostateczna siła ducha i wiary u Peowiaków śląskich, aby potrafić zgnieść tę hydrę, osłanianą często przez zaprzedańców duszy polskiej, którzy za judaszowskie srebrniki podjęli się osłabiania ducha polskiego i jednolitego frontu tutejszego społeczeństwa. Bowiem będą oni żywym słupem granicznym, stojącym zawsze mocno na straży bezpieczeństwa i całości zachodnich rubieży ziem Państwa Polskiego.

Nie ulękniemy się nikogo! — coraz silniejszy bowiem jest front peowiacki na prastarej, piastowskiej ziemicy Śląska. Peowiacy śląscy, głęboko uświadomieni o swych celach i zadaniach, nie zawiodą pokładanych nadziei!

WŁODZIMIERZ GALCZYŃSKI

Z życia Peowiaków Okręgu Górnego Śląska

Rozwój Okręgu Śląskiego P. O. W. stale posuwa się naprzód i obejmuje coraz więcej dziedzin ogólnego życia na Śląsku, i śmiało rzec można, iż w znojnym trudzie dla Ojczyzny na każdym odcinku pracy zawsze peowiak zajmuje przodujące miejsce.

Jeśli chodzi o ścisłą pracę organizacyjną w łonie Okręgu i o dalszy rozrost liczebny przez wciąganie byłych peowiaków, to ta akcja odbywa się bardzo skrupulatnie i każdorazowo zgłoszona kandydatura nowowstępującego członka jest badana wszechstronnie, tak pod względem dzisiejszej nienagannej konduity, jak i w przeszłości bezsprzecznie udowodnionej przynależności peowiackiej.

Główny nacisk kładzie się na dobór jakościowy — nie zaś liczebność.

Mimo powyższych kryterjów, stale rozrastamy się i liczebnie, ponieważ uświadomienie organizacyjne dociera coraz głębiej nawet do b. kolegów, którzy dotychczas „chadzali luzem".

Peowiaków na Śląsku jest dużo, lecz ci nie byli zorganizowani, jedni należeli do Zw. Powstańców, inni wogóle nie byli zrzeszeni wcale.

Celem zrzeszenia b. peowiaków w Związku w 1931 r. utworzono Komisję Organizacyjną w składzie ob.ob.: starosty Wyglendy, Spilczyńskiego, Lotza, Nowakiewicza i Feigego.

W maju 1932 r. przyjechał do Katowic ob. Rajmund Kawalec, który jako delegat Głównego Zarządu P. O. W. nawiązał kontakt z Komisją Org., następnie z prorządowemi org. na Śląsku t. j. ze Zw. Legjonistów, Zw. Powstańców i Strzelcem.

W październiku 1932 r. odbyło się pierwsze zebranie organizacyjne, na którem byli obecni najczynniejsi peowiacy.

W lutym 33 r. zorganizowano pierwsze Koło Katowickie, którego prezesem został ob. Kołodziejczyk, zaś ob. Voit i Ferencowicz przystępują do energicznej pracy organizacyjnej.

W marcu 33 r. powołano do życia tymczasowy Zarząd Okręgu i pierwszą jego czynnością było opracowanie odezwy o bojkocie Niemców wskutek akcji hitlerowskiej — odezwa zrobiła wielkie wrażenie.

21-go maja zorganizowano kurs mężów zaufania na którym wykłada: ob. Kawalec, Morelowski i Ferencowicz.

23-go czerwca powołano sekcję przemysłową, wydano komunikat o szkodliwej obsadzie pers. w przemyśle i wzięto w obronę kopalnię Wirek, która miała być zatopiona.

Obecnie Okręg posiada zgórą 50 kół b. dobrze rozwijających się i dodatnio promieniujących w otoczeniu, przeciwstawiając wrogiej propagandzie czystość wyniesionych z walk wyzwoleńczych haseł, ugruntowując w społeczeństwie niewzruszalne zasady ideologji państwowotwórczej naszego Drogiego Wodza.

Aktywność Okręgu w dużej mierze zawdzięczać należy doborowemu składowi b. żywotnego i ruchliwego Zarządu Okręgu zatwierdzonego przez Zarząd Główny w składzie: prezes — starosta Wyglenda, sekcja organizacyjna — dyr. Voit, propagandowa — kom. Ferencowicz, przemysłowa — ob. Ludyga, Bratniej Pomocy — dr. Obierek, dochodów niestałych — ob. Nowakiewicz, weryfikacyjna — ob. poseł Kornke, Niemczyk, Voit, Ludyga, Fojkis, Pitera, Morelowski, sekretarjat — ob. Ponikowski i Hutter.



Insp. P. P. J. Żółtaszek autor wspomnienia p. t. ,,Karabin''.

Intensywność działalności poszczególnych sekcyj jest godna pochwały i daje się zauważyć szlachetna rywalizacja o „lepsze" w wynikach między sobą.

Podkreślić tu wypada niespożytą energję ob. Kawalca, który swoją pracą dla Okręgu zasłużył się wielce, a swemi walorami osobistemi i niezwykłym taktem zyskał sobie powszechną sympatję i szacunek.

Ścisłą pracę na terenie społecznym kontynuuje się ze Związkiem Legjonistów, jako organizacją pokrewną ideologicznie i duchowo.

Okręg korzysta z bezinteresownej koleżeńskiej współpracy całego szeregu sympatyków m. in. nadkomisarza Wiktora Bulińskiego (byłego członka Strzelca na Bukowinie), inż. Bojdoła, d-ra Meuzla, inż. Petucha i innych.

Ambicją Okręgu Śląskiego jest stać się w krótkim możliwie czasie, najwięcej zwartym, ideologicznie mocnym i liczebnym okręgiem pośród całego Związku Peowiaków.

Dr. Leopold Józef Obierek

Młodzież śląska a bezrobocie

Z pośród wielu zagadnień, powstałych w okresie kryzysu i bezrobocia — zagadnienie młodzieży bezrobotnej wysuwa się dziś niemal na pierwsze miejsce. Rokrocznie przybywa w kraju spora ilość młodych rąk do pracy, której im dać nie możemy.

Procent młodzieży niepracującej coraz bardziej wzrasta. Ma to miejsce zwłaszcza w okręgach przemysłowych. Przy poborze do wojska stwierdzono wielokrotnie fakt, dowodzący, że duży procent ludzi, od chwili opuszczenia zakładów szkolnych — wszelkich zresztą typów — jeszcze nie pracował. Młodzież ta, pozostawiona własnemu losowi, marnieje pod względem fizycznym i moralnym, stając się często ślepem narzędziem w rękach czynników wywrotowych.

Wprawdzie wiele zdrowych organizacyj skupia w swych szeregach pewną ilość tej młodzieży — jednakże nie mogą one całkowicie zapobiec szerzącemu się złu.



Defilada Ochotniczych Drużyn Roboczych w Pszczynie.

Oprócz W. F. i P. W., świetlic, zajęć kulturalno-oświatowych, potrzeba tym ludziom dać zapewnienie zdobycia pracy. Każdy z nich chce pracować i mieć możność uczciwego zarobku.

Młodzież z okresu lat 1919—20 przeszła dobrą szkołę i dziś niejednokrotnie odgrywa decydującą rolę w życiu Państwa — ona też, przepojona ideą Marszałka Piłsudskiego, stale szuka dróg, które pozwoliłyby wychować nowe szeregi obywateli, zdolnych do pracy dla Państwa w nowych warunkach gospodarczych i politycznych. Czynią tak: P. O. W., Związek Legjonistów i Związek Strzelecki. Tą nową formą organizacyjną winny być zespoły robocze. Forma ta zyskuje coraz więcej zwolenników i protektorów, i śmiało można uważać ją za jedno z najpoważniejszych dziś zagadnień społecznych. Kolebką tej organizacji — znanej dziś już w całym kraju pod nazwą Ochotniczych Drużyn Roboczych (skrót O. D. R.) — jest Śląsk, a twórcami — Peowiacy.

Celem tej organizacji jest ogarnięcie swą działalnością ludzi w wieku od 18 lat, oraz ich szkolenie zawodowe, wychowanie kulturalno-oświatowe i obywatelskie, wychowanie fizyczne, dostarczanie im pracy,

wreszcie tworzenie i organizowanie dla nich samodzielnych warsztatów pracy.

Członkowie organizacji są skoszarowani. Otrzymują umundurowanie robocze letnie i zimowe, pełne utrzymanie i wynagrodzenie pieniężne za przepracowaną dniówkę. Zajęcia dzienne trwają 9—10 godzin, z czego na pracę fizyczną przypada 6 godzin, a reszta na W. F. i wychowanie kulturalno-oświatowe, oraz zajęcia w świetlicy. Organizacja nie otrzymuje żadnych subwencyj i utrzymuje się wyłącznie z dochodów za wykonane prace.

W roku bieżącym było w organizacji pracujących do 3.000 ludzi, zaś na zimę pozostanie pracujących około 2.000 ludzi.

Organizatorzy O. D. R. opracowali program gospodarczy, przez zrealizowanie którego chcą osiągnąć podane cele.

Program ten przewiduje zamknięty cykl robót, uwzględniający roboty, nieobjęte planem gospodarczym Państwa. Zamknięty typ tworzą zespoły o różnych rodzajach produkcji, z tem jednak, że produkcja ta nie idzie na rynek, lecz na zaspokojenie własnych potrzeb wszystkich zespołów. Dla przeprowadzenia tego programu potrzebne są trzy zasadnicze kategorje zespołów, a mianowicie: a) zespoły przy robotach publicznych, b) zespoły przemysłowe, c) zespoły rolne.

W programie tym podano podstawy prawne, organizację władz, system gospodarki, rekrutaż ludzi, przypływ ludzi, pieniędzy i środków żywnościowych.

Program ten został przedłożony w lipcu Dyrekcji Funduszu Pracy i Ministerstwu Opieki Społecznej. Na temat tego programu odbyły się dwie konferencje w Funduszu Pracy, przy współudziale przedstawicieli poszczególnych ministerstw, oraz w październiku dwie konferencje w Ministerstwie Opieki Społecznej.

Zespoły śląskie były zwiedzane przez kilku ministrów i szereg poważnych ludzi niemal z całej Polski. W zespołach tych przeszkolono instuktorów dla Związku Strzeleckiego, — którzy obecnie tworzą takież zespoły w innych województwach— oraz dla całego szeregu poszczególnych organizacyj z całego kraju.

Obecnie na kursie, który rozpoczął się 20 listopada r. b., jest 50 ludzi z poza Województwa Śląskiego. Kurs ten ma wyszkolić instruktorów, którzy z wiosną 1934 r. będą organizować zespoły już w całym kraju.

Bogucice w okresie powstań

Rok 1914. Naskutek mobilizacji pustoszeją szeregi bogucickich towarzystw. Dopiero w r. 1917 następuje pewne ożywienie. Powstaje z letargu miejscowe gniazdo Sokoła. U Ambrożego Nawrata wybieramy zarząd fikcyjny, składający się z prezesa Jana Masnego, inwalidy, sekretarki Albiny Michalskiej (Rzepkowej), Emmy Ordężanki, skarbniczki, Julji Olkisówny oraz zakonspirowany zarząd fabryczny, do którego weszli Augustyn Rzepka, prezes, wiceprezes Ambroży Nawrat, Józef Tyla i naczelnik Henryk Miękinia. Praca wre, rosną szeregi. Na Sylwestra urządzamy nabożeństwo na intencję Sokoła, które zamienia się w manifestację narodową. Młodzież, dzieci, starzy ze łzami w oczach śpiewają „Boże coś Polskę“. Jednak dopiero rok 1918 wprowadza pracę na realne tory. Powstaje „Związek wojacki“ z członków Sokoła i „Liry“, który później staje się kadrą P. O. W. Pierwszymi jej organizatorami są Henryk Miękinia, Tomasz Kotlarz, Augustyn Rzepka, Paweł Furgoł, Alojzy Gruszko, Konrad Wróbel i Franciszek Wiechuła, grupka ludzi zakonspirowanych zdobywających dla przedsięwziętego dzieła po jednej osobie, z których tworzyły się dziesiątki, a z chwilą wybuchu I-go powstania zorganizowano ponad 20 ludzi. Broń palną i amunicję zakupywano za bezcen od zgłodniałych oddziałów Grenzschutzu. Granaty ręczne fabrykowano własnoręcznie w ukryciu, w piwnicach. Takie kupowanie karabinów dla P. O. W. było niezbyt bezpieczne, bo chcąc zdobyć taki skarb, trzeba było pójść do koszar Grenzschutzu i stamtąd wynosić go w workach, ale rozkaz był rozkazem i trzeba go było wykonać, bo sprawa narodowa tego wymagała.

Z chwilą wybuchu I powstania, ludność miejscowa, z wyjątkiem kilku renegatów, popierała usilnie ruch powstańczy, który w Bogucicach znalazł dogodny nawet punkt oparcia.

I tak np. w czasie tegoż powstania w mieszkaniu Stachowskich (ul. Normy 6) znajdowała się Powiatowa Komenda P. O. W., skąd to wyszły rozkazy do I powstania dla powiatu katowickiego.

Tu też rozegrały się pierwsze wypadki sierpnia 1919 roku. Trzy dni oddziały powstańcze słabo uzbrojone walczyły przeciw silnemu naporowi regularnych oddziałów niemieckich uzbrojonych w broń wyborową i auta pancerne.

Do ataku na prymitywnie uzbrojone oddziały nasze w Bogucicach użyli Niemcy samolotów i artylerji. Pamiętamy jak dziś, gdy jeden z samolotów niemieckich, w czasie walki na polach pomiędzy Bogucicami a Małą Dąbrówką, został przez naszych dzielnych powstańców zestrzelony. Tak samo w czasie I powstania, Bogucice były ostrzeliwane ogniem artyleryjskim oddziałów niemieckich, na skutek czego zostało uszkodzonych kilka domów, oraz zabite 2 osoby, a kilkanaście raniono.

W okresie plebiscytu Bogucice z całym zapałem pracowały dla Polski. Wielka moc boguciczan pracowała w Komitecie Powiatowym i Komisarjacie Plebiscytowym w Bytomiu oraz w Katowicach. Olbrzymią też większość głosów oddano tu za Polską. Wspomnieć też należy, iż wybory w powiecie kozielskim w r. 1917 za frakcją polską przeprowadzali tutejsi obywatele.

Również w czasie II i III powstania sztab oddziału samoobrony miał początkowo w Bogucicach swą kwaterę.

W drugiem powstaniu stoczono tu zacięte walki z „Sicherheitswehrą“, lecz wskutek silnego ataku „naszych“ Niemcy z dużemi stratami w rannych i zabitych wycofali się do Katowic.

Do III powstania Bogucice stawiły 4 kompanje i oddział saperów. Oddziały walczyły pod górą Św. Anny i Kędzierzynem.

Również i w politycznej akcji strajkowej w okresie powstań i plebiscytu pierwsze miejsce zajmowali robotnicy kopalni „Ferdynanda“, popierając zgodnie zamiary i cele akcji polskiej, niepodległościowej.

Żniwo przyniosło bogaty plon — wolność.

Straty oddziałów bogucickich, w których w walce z Prusakiem padło 34 zabitych, a kilkunastu zostało rannych, są wielkie, zwłaszcza jeśli się zważy, iż padli wybrani, najdzielniejsi, najofiarniejsi...

AUGUSTYN RZEPKA

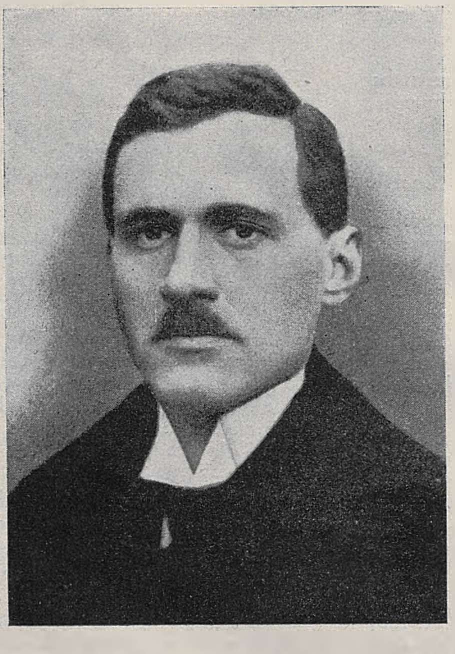
Inż. ARTUR MASKE

Przemysł górnośląski

Górny Śląsk, jako jeden z głównych ośrodków, przemysłowych Europy zawdzięcza swój rozwój gospodarczy przedewszystkiem bogactwu surowców znajdujących się we wnętrzu ziemi, a więc olbrzymim pokładom węgla oraz złożom rud. Dzięki temu powstał przemysł górniczo-węglowy, hutniczo- żelazny, hutniczo - cynkowy i hutniczo-ołowiowy, a wreszcie i przemysł chemiczny.

Z biegiem czasu jednakże dla każdego z tych działów przemysłu wytworzyły się odmienne warunki, a tem samem zaszła potrzeba dostosowania wytwórczości do możliwości konsumcji i do rozwoju techniki.

Górnictwo węglowe opierając się na nader obfitych zasobach węgla było przed wojną światową w stosunkowo łatwej sytuacji, gdyż stały wzrost zapotrzebowania światowego na węgiel zapewniał mu ciągły zbyt.



Inż. Artur Maske — Komisarz Demobilizacyjny na Górnym Śląsku.

Sytuacja ta zmieniła się jednakże zasadniczo po wojnie. W czasach inflacyjnych konjunktura była coprawda dość korzystna, był to jednakże objaw niezdrowy, gdyż silny zbyt na węgiel górnośląski, spowodowany był li tylko względami spekulacyjnemi w związku z ciągłym spadkiem wartości pieniądza. Z chwilą więc stabilizacji waluty dał się odczuć ostry kryzys, który w konsekwencji spowodował zmniejszenie wydobycia węgla, a nawet i unieruchomienie kopalń Momentem przełomowym był dopiero angielski strajk w górnictwie w 1926 r., dzięki któremu węgiel górnośląski zdołał zdobyć rynki zagraniczne, a w pierwszej linji rynki t. zw. bałtyckie.. Intensywne zwiększenie produkcji kopalń nie trwało, niestety, długo, bo już od 1930 r. rozpoczyna się naskutek ogólnego światowego przesilenia gospodarczego ponowne ograniczenie wydobycia węgla. Zmniejszenie pojemności rynku wewnętrznego, konkurencja węgla angielskiego z polskim na rynkach bałtyckich, tendencja ograniczenia kontyngentów na przywóz węgla polskiego w wielu krajach Europy — oto główne przyczyny powstającej trudnej sytuacji w górnictwie górnośląskim.

Wahania te w wydobyciu węgla w górnośląskiej części Wojew. Śląskiego uwidacznia następujące zestawienie :

Rok	Roczne wydobycie węgla w tonnach	Ilość przeciętnie zatrudnionych w kopalniach robotników
1913	31.998.000	89.600
1923	26.500.000	150.900
1924	23.706.000	126.700
1925	21.450.000	84.200
1926	25.950.000	76.900
1927	27.731.000	77.100
1928	30.209.000	77.600
1929	34.144.000	87.400
1930	28.166.000	82.500
1931	28 405.000	73.800
1932	21.451.000	59 400

Z powyższego zestawienia wynika, że produkcja górnośląskiego węgla ściśle zależna jest od konjunktur gospodarczych i waha się w dość poważnych granicach. Znamiennem natomiast jest, iż w roku 1925, gdy wydobyto 21.450.000 t., ilość robotników zatrudnionych w kopalniach wynosiła 84.200, natomiast w roku 1932 przy prawie takiejże samej produkcji zatrudniano tylko 59.400 ludzi t. j. o 29% mniej. Zjawisko to należy tłumaczyć modernizacją metod technicznych w górnictwie i tem samem wzrostem wydajności pracy. Natrafiamy więc tutaj na ważne zagadnienie polityki gospodarczej i jedną z głównych przyczyn obecnego przesilenia wszechświatowego. Wzmożona wytwórczość artykułów przemysłowych przy braku zbytu powoduje ostrą konkurencję producentów pomiędzy sobą, a tem samem i dążność do potanienia produkcji przez ulepszenia techniczne i zwiększenie wydajności warsztatów pracy, co znowu pociąga za sobą potrzebę zmniejszenia załóg robotniczych, a tem samem zwiększanie się szeregów bezrobotnych. Przemysł górniczy na Górnym Śląsku znalazł się niestety w tej tak trudnej sytuacji i najważniejszem zagadnieniem w tej dziedzinie będzie umożliwienie zwiększenia konsumcji węgla oraz dostosowanie tej konsumcji do możliwości produkcyjnych kopalń.

Nieco odmiennie przedstawia się sytuacja w **hutnictwie żelaza.** Wyczerpanie na Górnym Śląsku zapasów rud żelaznych zmusiło jeszcze przed wojną światową przemysł hutniczy do sprowadzania najważniejszego surowca, a więc rudy, z innych okolic lub krajów. Konjunktura była zarówno przed wojną światową, jak i po wojnie, zmienna i utrzymanie tego przemysłu wymagało bezwzględnie ciągłego wprowadzania nowych inwestycyj. Po przyłączeniu Górnego Śląska do Polski przemysł hutniczy wywoził w przeciągu 3 lat na mocy t. zw. Konwencji Genewskiej większą część swych wytworów do Rzeszy Niemieckiej. W roku 1923 wywóz ten miał rozmiary bardzo duże, sięgające w niektórych działach 80% wytwórczości. Główną przyczyną tak silnego eksportu do Niemiec było obsadzenie przez wojska francuskie zagłębia Ruhry, naskutek czego rynek niemiecki odczuwał poważny brak węgla i żelaza. Następnie jednak z powodu wojny celnej polsko-niemieckiej wywóz do Niemiec zupełnie ustał, a górnośląski przemysł hutniczo-żelazny był zmuszony szukać sobie innych możliwości zbytu. Od roku 1926, ze względu na ówczesną poprawę sytuacji gospodarczej dość po-

ważną ilość wytwórczości hut zaczął pochłaniać rynek wewnętrzny, a pozatem zdobyto także niektóre rynki zagraniczne poza Niemcami. W ostatnich latach niestety konsumcja wewnętrzna doznała bardzo silnego zmniejszenia i huty żelazne stanęły przed koniecznością ograniczenia ruchu. Rozpoczęto wtedy pertraktacje z Rosją Sowiecką i po długich i mozolnych przetargach udało się wreszcie uzyskać bardzo poważne zamówienia na wytwory żelazne. Zamówienia te były co rok wznawiane, a obecnie przeważająca część eksportu górnośląskich hut żelaza skierowana została do Rosji.

Z ważniejszych produktów hutniczych wytwarzanych na Górnym Śląsku należy wymienić surówkę odlewniczą, odlewy żeliwne i stalowe, wytwory walcowane (żelazo, szyny, blachy, rury i t. p.), wytwory kute, konstrukcje żelazne i wreszcie stale szlachetne (narzędziowe, armatnie, karabinowe, pociskowe, konstrukcyjne i inne). Ilość produkcji i stan zatrudnienia hut żelaznych ilustruje poniższe zestawienie, przyczem jako miernik wzięto stal surową t. j. półwytwór, z którego powstają wszystkie inne wytwory gotowe.

Rok	Roczna produkcja stali w tonnach	Ilość przeciet. zatrudnionych w hutach żelaza robotników
1913	1.049.500	27.700
1923	872.700	42.700
1924	524.700	32.000
1925	541.900	23.100
1926	505.100	21.700
1927	800.700	25.900
1928	936.600	30.200
1929	899.400	33.600
1930	903 100	30 400
1931	767.300	26.400
1932	365.100	18.200

Dalszym ważnym działem przemysłu górnośląskiego jest **hutnictwo cynku i ołowiu.** Przemysł ten zawdzięcza swoje powstanie obfitym złożom rud cynkowych i ołowianych, których wydobycie i przeróbka odgrywały już w zeszłem stuleciu poważną rolę. Przed wojną światową Górny Śląsk, odnośnie produkcji cynku, zajmował jedno z pierwszych miejsc na rynku wszechświatowym i dopiero podczas wojny został poważnie zdystansowany przez Amerykę. Stosunkowo korzystne ceny na cynk i ołów w latach powojennych zachęciły amerykańskie i francuskie sfery finansowe do ulokowania swoich kapitałów w górnośląskim przemyśle cynkowym. Przystąpiono wtedy do modernizacji przestarzałych i pochodzących z czasów niemieckich urządzeń technicznych poszczególnych hut. Jednym z zasadniczych etapów tej reorganizacji było wprowadzenie t. zw. elektrolizy cynku t. j. osadzania cynku metalicznego za pomocą prądu elektrycznego z roztworów soli cynkowych. Cynk otrzymywany w ten sposób jest znacznie czystszy od metalu wytapianego w zwykle używanych piecach cynkowych, a cena jego na rynku światowym jest nieco wyższa. Zapotrzebowanie na cynk i ołów w Polsce jest stosunkowo małe, wobec czego przeważająca część produkcji przeznaczona jest na eksport. Ze względu na powyższe, hutnictwo cynkowe na Górnym Śląsku zależne jest całkowicie od ukształtowania się konjunktury na rynku międzynarodowym, a przedewszystkiem od zapasów i cen światowych. Od chwili przejęcia Górnego Śląska przez Polskę, aż do 1930 roku, produkcja cynku i ołowiu stale się powiększała i dopiero skutki kryzysu światowego, a w szczególności ogromny spadek cen na te metale, spowodowały w ostatnich dwóch latach zmniejszenie się wytwórczości, a tem samem i unieruchomienie kilku hut. Ilość wyprodukowanego cynku i ołowiu oraz ilość zatrudnionych w tym przemyśle robotników uwidacznia poniżej podane zestawienie.

Rok	Roczna produkcja cynku w tonnach	Roczna prod. ołowiu surowego w ton.	Ilość robotn. przec. zatrudn. w hutach cynku i ołowiu
1913	169.440	41.560	12.900
1923	84.540	20.790	12.200
1924	77.670	20.540	11.000
1925	98.150	28.420	10.300
1926	106.240	27.760	9.700
1927	129.830	29.500	10.800
1928	140.780	37.050	11.200
1929	147.270	36.400	11.300
1930	158.610	40.940	10.600
1931	124 070	31.830	8.000
1932	84.950	11.900	4.900

W przeciwieństwie do poprzednio wymienionych gałęzi przemysłu na Górnym Śląsku **przemysł chemiczny,** aczkolwiek również silnie rozwinięty, jest nowszej daty, aniżeli górnictwo i hutnictwo. Powstał on jako dział uboczny przy kopalniach i hutach i to tam, gdzie zachodziła potrzeba zużycia produktów drugorzędnych, powstających przy przeróbce węgla w koksowniach i prażeniu rud cynkowych. Z węgla poddanego koksowaniu otrzymuje się poza koksem, jako najważniejsze wytwory uboczne: smołę, siarczan amonu i benzol, natomiast rudy cynkowe (siarczek cynku) wydzielają podczas prażenia dwutlenek siarki, który zostaje przerabiany na kwas siarkowy. Wytwory te w dużej mierze konsumuje rynek krajowy, przyczem siarczan amonu, używany jest jako nawóz sztuczny, natomiast kwas siarkowy służy w pierwszej linji do przeróbki fosforytów na superfosfat oraz do rafinerji ropy naftowej. Pozatem należy wymienić dalszy dział przemysłu chemicznego, a mianowicie fabrykację nawozów azotowych, wytwarzanych w powszechnie znanej fabryce w Chorzowie.

Jak z powyższego wynika, przemysł chemiczny na Górnym Śląsku pomimo swej różnorodności daje się podzielić na trzy zasadnicze grupy, a mianowicie: fabrykację związków organicznych, pochodzących z węgla, fabrykację kwasów i fabrykację nawozów sztucznych. Zbyt tak różnorodnych wytworów zależy oczywiście od wielu czynników i nie daje się w ogólnych zarysach scharakteryzować. Najważniejszym z tych działów dla Polski jest bezwzględnie wyrób nawozów sztucznych, przyczem konsumcja tychże stoi w ścisłym związku z sytuacją gospodarczą w rolnictwie.

Roczna produkcja najważniejszych wytworów przemysłu chemicznego na Górnym Śląsku przedstawia się jak następuje:

Rok	Smoła surowa	Benzol surowy	Siarczan amonu	Kwas siark.	Azotniak
1926	51.900	14.700	26.000	174.700	117.900
1927	66.100	17.800	27.000	227.400	142.000
1928	78.700	21.100	37.100	270.500	155.500
1929	86.800	23.100	50.800	295.200	163.300
1930	79.900	25.100	61.600	225.000	79.300
1931	69.000	22.200	31.200	147.700	33 000
1932	—	—	26.700	121.500	11.100

Z powyższych wywodów i danych statystycznych wynika, że przemysł górnośląski przechodzi narówni z przemysłem światowym ciężki kryzys gospodarczy, którego skutkiem jest ograniczenie produkcji i zmniejszenie załóg robotniczych. Niemniej jednak ostatnie miesiące roku bieżącego wykazały już pewną równowagę między produkcją i popytem, a w roku następnym należy przypuszczalnie oczekiwać pewnej stabilizacji stosunków.

BOLESŁAW GRODZIECKI

Hutnictwo żelaza w Polsce Odrodzonej

W 15 lat od czasu odzyskania niepodległości politycznej i rozpoczęcia odbudowy gospodarczej, samo przez się nasuwa się pytanie, co dotychczas osiągnęliśmy i jakie zadania narzuca nam najbliższa przyszłość.

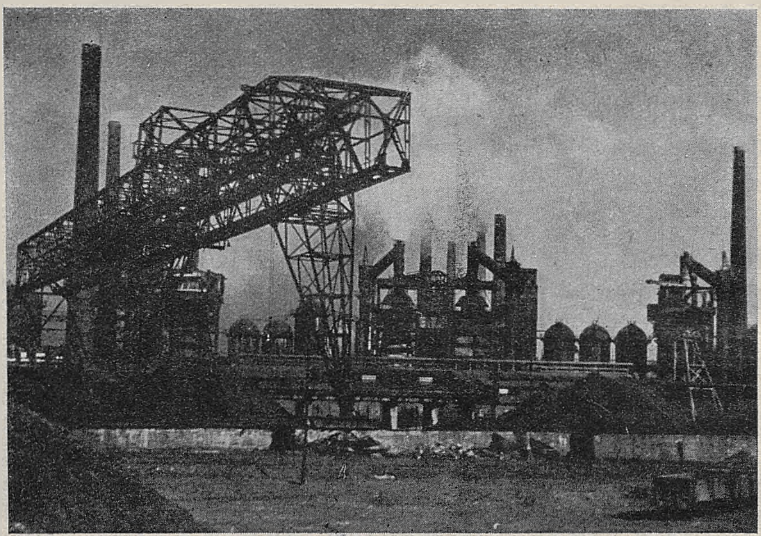
W odniesieniu do żelaza, które wobec stale potężniejącego rozwoju techniki zajmuje w organizmie gospodarczym nowoczesnych państw jedną z najpoważniejszych pozycyj, zaobserwować można, iż wytwarzające je hutnictwo stanowi przedmiot szczególnego zainteresowania tak rządu, jak i społeczeństwa polskiego.

Najpotężniejsze państwa jak Stany Zjednoczone, Francja, Anglja, Włochy i Niemcy posiadają największe ośrodki, wytwarzające żelazo. W zrozumieniu roli, jaką dla współczesnego życia gospodarczego przedstawia żelazo, Rosja Sowiecka rozbudowuje swe hutnictwo, nie szczędząc olbrzymich kosztów.

Łączna wytwórczość hutnictwa polskiego w r. 1923 wynosiła 516.761 t. surówki, z czego 66,1 proc. zostało wyprodukowane przez zakłady Górnego Śląska.

Warunki gospodarcze, w jakich hutnictwo polskie znalazło się w ramach celnych Rzeczypospolitej, spowodowały konieczność dostosowania metod sprzedaży do naturalnego rynku krajowego, na którym — wobec niejednolitej polityki zbytu — zawrzała ostra walka konkurencyjna pomiędzy poszczególnemi hutami.

Groźna wymowa zmniejszających się z roku na rok cyfr, dotyczących zarówno wytwórczości, jak zbytu, i związany z tem zanik rentowności przedsiębiorstw, przekonały hutnicwo o potrzebie stworzenia wspólnej organizacji sprzedaży. Pierwszem posunięciem na tej drodze było utworzenie w sierpniu 1925 r. Syndykatu Hut Górnośląskich, który w r. 1926 został przekształcony na Syndykat Polskich Hut Żelaznych, obejmujący zbyt wytworów walcownianych wszystkich polskich zakładów hutniczych.



Nowy Bytom. Huta Pokoju.

Polskie hutnictwo żelaza całkowicie wystarcza na pokrycie zapotrzebowania wewnątrz kraju, ponadto zaś wytwarza nadwyżki, dla których rynków zbytu poszukiwać należy zagranicą.

W chwili odzyskania niepodległości na terytorjum Rzeczypospolitej istniało kilka zakładów, prawie zupełnie spustoszonych przez zaborców.

Produkcja surówki w zakładach b. zaboru rosyjskiego wynosiła w r. 1920 zaledwie 42.600 t, podczas gdy w r. 1913 te same huty wytwarzały 418.416 t, co świadczy o rozmiarach zniszczenia, jakiemu w okresie wielkiej wojny uległo hutnictwo żelaza na ziemiach polskich.

W połowie roku 1922 wraz z częściowem odzyskaniem przez Polskę ziem Górnego Śląska, stan posiadania polskiego hutnictwa znacznie się powiększył.

Uporządkowanie stosunków na rynku wewnętrznym przyniosło już w pierwszych dwóch latach działalności syndykatu zamierzony skutek, bowiem wytwórczość walcowni z 362.068 t. w r. 1926 wzrosła w r. 1927 do 918.267 t, z czego na rynek wewnętrzny przypadało ogółem 528.779 t, wobec 349.214 t w r. 1926.

Działalność eksportowa hutnictwa polskiego, która w okresie organizowania rynku wewnętrznego uległa znacznemu zwężeniu po utworzeniu syndykatu doznała poprawy, do czego niewątpliwie przyczyniła się możność poświęcenia przez hutnictwo większej, niż poprzednio, uwagi zagadnieniom eksportowym.

Szczytową wysokość osiągnęła w odrodzonej Polsce produkcja hutnicza w roku 1928, w którym wytworzyły:

wielkie piece	—	683.757 t.
stalownie	—	1.436.866 t.
walcownie	—	1.044 903 t.

Kryzys obecny pociągnął za sobą siłą rzeczy poważny spadek obrotów żelazem na rynku krajowym, bowiem przeważająca część mieszkańców Polski, czerpiąc dochody z rolnictwa, musiała ograniczyć swe potrzeby do minimum.

Poważniejsze roboty inwestycyjne zostały zahamowane, a w związku z tem zaznaczyło się dalsze zmniejszenie się zleceń przemysłu, handlu i samorządów, które w dobie obecnej ograniczają się niemal wyłącznie do pokrywania doraźnych i nie dających się odroczyć potrzeb.

Przeprowadzone kilkakrotnie obniżki cen nie przyczyniły się do zwiększenia rozmiarów zbytu, natomiast znacznie zmniejszyły rentowność przedsiębiorstw, tem więcej, iż niedostateczne, wobec malejącego zapotrzebowania, wykorzystanie istniejących urządzeń hutniczych, spowodowało wzrost kosztów własnych.

W takich warunkach poszukiwanie zbytu na rynkach zagranicznych stało się koniecznością gospodarczą. Działalność eksportowa hutnictwa w tym okresie znacznie wzrasta, wynosi bowiem w dziale wytworów walcownianych:

w r.	1928	—	130.163 t.
„ r.	1929	—	163.049 t.
„ r.	1930	—	357.619 t.
„ r.	1931	—	340.094 t.

Dorywczy charakter wywozu, nader ciężkie warunki na rynku międzynarodowym oraz ograniczenie zamówień sowieckich wpłynęły w r. 1932 na znaczne zmniejszenie się polskiego eksportu żelaza, który wyniósł 123.151 t.

Rekonstrukcja Międzynarodowego Kartelu Stali świadczy, że zagraniczni wytwórcy po ciężkich doświadczeniach, poczynionych w okresie kryzysu na rynku światowym, doszli do przekonania, że opanowanie zagranicznych terenów zbytu przez państwa, wchodzące w skład porozumienia, osiągalne jest jedynie w drodze wspólnej organizacji eksportowej.

W przedstawionym układzie stosunków rozproszona działalność wywozowa naszych zakładów hutniczych nie rokowała pomyślnych wyników, to też utworzenie jednolitego frontu hutnictwa w odniesieniu do rynków zagranicznych, nad czem prowadzone są obecnie prace fachowych komisyj hutniczych, stanowi nasz cel najbliższy, którego realizacja z punktu widzenia interesów ogólno - gospodarczej polityki państwa, jest nader pożądana.

Unja Polskiego Przemysłu Górniczo-Hutniczego

Przemysł górniczo-hutniczy, największy w Polsce pod względem rozmiarów i wartości produkcji, najważniejszy pod względem gospodarczym i socjalnym, nie posiadał przez długi czas jednolitej wspólnej organizacji reprezentacyjnej. Dla reprezentacji i obrony swych interesów przemysł ten posiadał od chwili przyłączenia Polskiego Górnego Śląska do Polski dwie odrębne organizacje t. j. Górnośląski Związek Przemysłowców Górniczych i Hutniczych w Katowicach i Radę Zjazdu Przemysłowców Górniczych i Hutniczych w Dąbrowie Górniczej, a od 1930 r. w Sosnowcu, z których ta ostatnia reprezentowała przemysł węglowy Zagłębia Dąbrowskiego i Krakowskiego.

Ten stan rzeczy, spowodowany historycznym rozwojem górnictwa i hutnictwa na ziemiach wchodzących obecnie w skład państwa polskiego, przedstawiał wiele niedogodności zarówno dla samego przemysłu górniczo-hutniczego, jak i dla czynników rządowych, które w najróżnorodniejszych kwestjach polityki gospodarczej, dotyczącej tego przemysłu, chciałby zasięgać opinji i porozumiewać się z miarodajną jego reprezentacją. Wobec istnienia kilku ogranizacyj reprezentacyjnych przemysłu górniczo-hutniczego wszelka współpraca Rządu z tym przemysłem nietylko była pod względem technicznym bardzo utrudniona, lecz często również wobec sprzecznych lub niedostatecznie uzgodnionych opinij i postulatów nie prowadziła wogóle do żadnego konkretnego rezultatu.

W ostatnich latach jednakże wskutek poczynionych doświadcezń coraz bardziej torowała sobie drogę świadomość, iż tylko wspólna organizacja może należycie i skutecznie reprezentować wspólne już obecnie interesy całego polskiego przemysłu górniczo-hutniczego. To też już w 1929 r. podjęto prace przygotowawcze nad utworzeniem takiej organizacji, które w dniu 26 kwietnia 1932 r. znalazły swój widomy wyraz w powołaniu do życia „Unji Polskiego Przemysłu Górniczo-Hutniczego" z siedzibą w Katowicach.

„Unja" jest ścisłem skupieniem organizacyjnem przemysłu górniczo-hutniczego zagłębi Śląskiego, Dąbrowskiego i Krakowskiego, a ewentualnie także innych okręgów. Celem jej jest popieranie i obrona wspólnych interesów polskiego przemysłu górniczo-hutniczego oraz pozostających z nim w ścisłym związku gałęzi przemysłowych, jednak z wykluczeniem czynności zarobkowych.

Członkowie Unji dzielą się na rzeczywistych i honorowych. Członkami rzeczywistymi mogą być właściciele wyłączni, współwłaściciele i spółki akcyjne, o ile posiadają na obszarze Rzeczypospolitej zakłady górnicze lub hutnicze albo pokrewne zakłady przemysłowe.

Organami Unji są: a) Walne Zgromadzenie członków oraz b) Komitet Prezydjalny (Zarząd). Komitet Prezydjalny z reguły składa się z najwyżej 24 członków, wybieranych z pośród kandydatów, przedstawionych przez członków Unji. Na czele Komitetu Prezydjalnego stoi Prezydjum, składające się z dwóch lub trzech Prezesów, z których jeden jest Prezesem urzędującym, — oraz w zasadzie z najwyżej sześciu Wiceprezesów; wybiera się ich z pośród członków Komitetu Prezydjalnego.

Sprawy bieżące Unji załatwia przy pomocy Biura w myśl zasad ustalonych przez Komitet Przeydjalny, Dyrekcja Unji.

Unja Polskiego Przemysłu Górniczo-Hutniczego, która rozpoczęła swoją działalność dnia 1 maja 1932 r., wchodzi w skład Centralnego Związku Przemysłu Polskiego w Warszawie, tworząc razem z pokrewnemi organizacjami polskiego przemysłu węglowego w tymże Związku grupę węglową.

Należy stwierdzić, iż ta nowa po długotrwałych wysiłkach stworzona organizacja stała się skutecznym instrumentem w walce z ciężkim kryzysem, który obecnie polski przemysł górniczo-hutniczy wraz z całem gospodarstwem światowem i z całą Polską przeżywa, a nie ulega wątpliwości, że z chwilą nastania lepszej konjunktury potrafi ona przeprowadzić tę tak ważną dla interesów gospodarczych i obronnych państwa gałąź produkcji do pełnego i świetnego rozkwitu.

Działalność komunalnych kas oszczędności województwa śląskiego

Przerzucając karty historji instytucyj finansowych Województwa Śląskiego, natrafiamy już w zeszłym wieku na Komunalne Kasy Oszczędności. Rok 1857 jest datą założenia Komunalnych Kas Oszczędności powiatu Lublinieckiego, miasta Bielska i Cieszyna. Dwa lata później powstaje Komunalna Kasa Oszczędności powiatu Rybnickiego, w r. 1860 powiatu Pszczyńskiego. Jedenaście lat później otwiera swoje okienka Komunalna Kasa Oszczędności miasta Skoczowa, a w r. 1878 rozpoczyna swoją działalność największa dziś Komunalna Kasa Oszczędności naszego Województwa, miasta Katowic. Już dziesięć lat potem, w r. 1888 otrzymuje i powiat katowicki swą własną Kasę Oszczędności, która nosi nazwę Komunalna Kasa Oszczędności Powiatu Katowickiego.

Do czasu wojny światowej życie Kas postępowało trybem nagół spokojnym. przyczem zauważamy stały wzrost wkładów oszczędnościowych. Ponieważ do czasu przyłączenia Śląska do Macierzy, administracja temi funduszami spoczywała w rękach urzędników niemieckich, siłą faktu większość społeczeństwa polskiego stroni od kontaktu z Kasami, skupiając się raczej dookoła instytucyj, posiadających charakter czysto polski. Stosunek ten uległ radykalnej zmianie z chwilą objęcia Kas Oszczędności przez żywioł polski.

O właściwej działalności Kas Oszczędności można mówić dopiero od chwili ustabilizowania waluty. Początki tej pracy były w dużym stopniu utrudnione wskutek poderwania zaufania do pieniądza wogóle, oraz wskutek zaniku zmysłu oszczędnościowego, spowodowanego przez życie z dnia na dzień w czasie wojny. Trzeba było zacząć pracę od początku, przeprowadzić sanację Komunalnych Kas Oszczędności i sprowadzić przyzwyczajenia społeczeństwa na właściwą drogę oszczędności, ale również i obsadzić Kasy Oszczędności właściwymi ludźmi, rekonstruować księgi, rozmyślnie niszczone przez ustępujących urzędników niemieckich, którzy posuwali swą gorliwość do tego stopnia, że częstokroć zabierali ze sobą wszelkie walory Kas. Prace te, przeprowadzone konsekwentnie z wielką energją i ofiarami, niedługo pozwoliły czekać na odpowiednie wyniki, których niezbitem świadectwem są pozycje bilansowe ostatnich lat.

W 1925 r. łączna suma bilansowa 18 K. K. O. Województwa Śląskiego wynosiła zł. 8.055.723.58, a koniec 1932 r. zamykają K.K.O. swe bilanse sumą zł. 124.095 517,61, co przedstawia wzrost o 1540 proc. Cyfry te, świadczą o niebywałym rozroście Komunalnych Kas Oszczędności i to w czasokresie krótkim, bo zaledwie siedmioletnim. Podobnie przedstawia się statystyka poszczególnych pozycyj bilansowych. Stan wkładów oszczędnościowych i rachunków bieżących wynosił w 1925 r. sumę zł. 3.300 tys. i narósł do końca 1932 r. do kwoty 97.800 tys. złotych, czyli powiększył się blisko 30 razy. Obecny stan wkładów oszczędnościowych wynosi w Komunalnych Kasach Oszczędności Województwa Śląskiego 103 miljony złotych.

Prócz wkładów oszczędnościowych, dysponują K. K. O. kapitałami własnemi, które składają się z kapitału zakładowego i funduszów rezerwowych. Obecnie kapitały te wynoszą łącznie 10 miljonów złotych, w porównaniu do r. 1925, w którym kapitał własny wynosił zaledwie 4.100 tys. zł. Fundusze te wynoszą procentowo około 10 proc. stanu wkładów oszczędnościowych.

Przedstawiwszy stan, oraz pochodzenie kapitałów, którymi rozporządzają K.K.O., wypada z kolei omówić operacje kredytowe Kas. Dla lepszej orjentacji posługujemy się znów cyframi bilansów z 1925 r. i 1932 roku. W 1925 r. ulokowano ogółem zł. 5 200 tys. w pożyczkach w r. 1932 zł. 90.100 tys., co w odniesieniu do wkładów oszczędnościowych wynosi 60 proc. w r. 1925 i 95 proc. w r. 1932. Dane te świadczą nietylko o silniejszym rozwoju operacyj kredytowych K. K. O., ale są zarazem dowodem, że Kasy swoją działalnością

zataczały coraz szersze kręgi, obejmujące różne dziedziny życia gospodarczego Śląska.

Szeroki ogół przyjaciół i klientów K. K. O. zainteresuje niewątpliwie stopień pogotowia kasowego instytucyj, które darzą zaufaniem. Jeżeli weźmiemy pod uwagę pierwszy stopień pogotowia, t. j. stan płynny i stojącą w każdej chwili do dyspozycji gotówkę, okaże się, że wynosi ono przeciętnie dla wszystkich K. K. O. na Śląsku 12 proc. ich zobowiązań. Drugi stopień płynności, do którego zaliczymy papiery wartościowe własne, oraz połowę krótkoterminowych pożyczek wekslowych, z uwzględnieniem możności lombardu dla pierwszych i redyskontu dla drugich, w bankach państwowych — otrzymamy około 17% zobowiązań Kas. Łącznie zatem Śląskie Komunalne Kasy Oszczędności dysponują około 30 proc. rezerwą, możliwą natychmiast do uruchomienia. Wśród pozycyj czynnych bilansu K. K. O. Województwa Śląskiego zasługują jeszcze na uwagę pozycja „kosztów administracyjnych", która obciąża fundusze Kasy znikomą sumą zł. 1.658.708,33, t. j. 1,34 proc. sumy bilansowej. Dla dopełnienia całokształtu obrazu należy wspomnieć, że K. K. O. były jedynemi instytucjami, które przeprowadziły waloryzację przedwojennych wkładów oszczędnościowych, wypłacając je w stosunkowo wysokim procencie.

Działalność Kas Oszczędności, jako instytucyj o charakterze wybitnie społecznym, ujawnia się w obowiązku publicznego zdawania sprawozdań rachunkowych, oraz w postanowieniu, w myśl którego zysk osiągnięty może być użyty tylko na tworzenie funduszów rezerwowych i na cele użyteczności publicznej. Charakter społeczny cechuje również ich politykę kredytową, której zasadą jest możliwie najwyższy procent od wkładów, a najniższy od pożyczek.

Komunalne Kasy Oszczędności Województwa Śląskiego zrzeszone są w Związku Komunalnych Kas Oszczędności, który broniąc ich interesów, czuwa równocześnie nad prawidłowem zużyciem powierzonych im funduszów.

Poznaj swój kraj!

FRANCISZEK GALIŃSKI

Śląsk - Prastara Piastów Dzielnica

Czem dla organizmu ludzkiego oprócz kośćca i mięśni, żeby te żyły i rozwijały się, jest serce, centrala systemu krwionośnego, i organy trawienia, przyjmujące pokarm, przerabiające go i wydzielające nazewnątrz to, co dla organizmu jest już zbyteczne, — tem dla naszego Państwa jest Śląsk centrala przemysłu górniczego i hutniczego ze swemi kopalniami węgla i rudy żelaznej, tem jest perła naszego wysiłku państwowego, największy port Bałtyku: Gdynia, przez którą odpływa zagranicę eksport niemal całej naszej nadprodukcji przemysłowej, zwłaszcza rolnej.

To też niema Polski bez Śląska! Niema Polski bez morza!

Nietylko jednak nasze potrzeby państwowe mówią o tem, że Śląsk jest i że powinien być integralną częścią Rzeczypospolitej. Mówi o tem historja. Woła o to ziemia śląska po obu stronach dzisiejszej granicy, obficie od wieków przesiąknięta krwią polskiego rycerstwa, broniącego ją bądź przed zachłanną zaborczością teutonów, bądź przed napierającą od Wschodu nawałą tatarską.



Kościół w Koszencinie.

Wystarczy przypomnieć Głogów, Psie Pole, Legnicę!

W XII jeszcze wieku cesarz niemiecki Henryk V, korzystając z zatargu między Bolesławem Krzywoustym a starszym jego bratem Zbigniewem, pod pozorem pomocy temu ostatniemu naszedł Śląsk i obległ Głogów. Mieszczanie głogowscy wsławili się wówczas tem, że dla Ojczyzny poświęcili swe dzieci, strzelając do nich w obronie murów miejskich, kiedy je Niemcy w ataku prowadzili przed sobą, wyłudziwszy pierwej podstępnie na zakładników. Niemcy odstąpili jednak od Głogowa i cofnęli się pod Wrocław, gdzie ich pobił przybyły z odsieczą Bolesław Krzywousty tak srodze, że trupy długo leżały niepogrzebane i psy rozwłóczyły ich kości. Od tej pory miejsce to nazwano Psiem Polem (Hundsfeld) i nazwa ta utrzymała się od r. 1109 dotychczas.

Z bitwą tą łączy się jeszcze jedno wspomnienie. Oto Krzywousty wysłał przed rozpoczęciem walki posłów do cesarza, z żądaniem, żeby ustąpił z Polski. Butny Niemiec kazał otworzyć przed nimi skrzynię pełną złota na dowód, że ma dość środków na prowadzenie wojny aż do zwycięstwa. Wtedy jeden z polskich rycerzy, zdjąwszy z palca złoty pierścień, rzucił go do skrzyni, mówiąc: „Idź złoto do złota — nam wystarczy żelazo!". Henryk V rzekł wtedy: „Hab Dank" (Dziękuję). W związku z tem zasileniem cesarskiego skarbu Krzywousty nadał rycerzowi nazwisko „Skarbek" i herb „Habdank".

Minęło prawie półtora wieku — znów ziemia śląska krwią spłynęła. Zniszczyli ją Tatarzy, z którymi w bitwie pod Legnicą poległ Henryk Pobożny, przodek późniejszych książąt na Wrocławiu, Lignicy, Brzegu, Głogowie, Świdnicy, Oleśnicy, Saganie, Jaworzu i Ziembicy — dziedziców ziem na Śląsku Dolnym. Z samej tej liczby księstw widać, jak rozdrobniło się między potomkami dziedzictwo śląskie Władysława II, syna Krzywoustego.

A przecież i Śląsk Górny podzielony był między książąt na: Oświęcimiu, Cieszynie, Zatorze, Bytomiu, Opolu, Strzelnie, Falkenbergu i Raciborzu.

Byli to polscy książęta, biorący nieraz żywy udział w politycznem życiu kraju. Wprawdzie niezawsze działali w jego interesie, mając osobiste na względzie widoki, jak Bolesław Łysy, zwany Rogatką, książę na Brzegu i Lignicy, który za Bolesława Wstydliwego wzniecał zaburzenia. Ale Pobożnego wnuk, Henryk Probus, panował na przełomie XIII—XIV w. w Krakowie, ale Władysław książę Opolski, za panowania króla Ludwika był wielkorządcą Rusi Czerwonej, założył klasztor na Jasnej Górze i sprowadził tam obraz Matki Boskiej Częstochowskiej.

Książęta śląscy jednak, żeniąc się z cudzoziemkami, rozwodzili się i dzielili dzielnice swe na coraz drobniejsze części, wreszcie w przeciągu wieków wygaśli. Linja włocławska wygasła w r. 1335, Raciborska w r. 1340, Oleśnicka i Ziembicka w r. 1429, Głogowska w r. 1502, Oświęcimska i Zatorska w r. 1513, Opolska w r. 1532, Cieszyńska w r. 1625, Brzeska i Lignicka najpóźniej, bo w r. 1675, ze śmiercią księcia Jerzego Wilhelma.

Wskutek ustąpienia w swoim czasie przez Kazimierza Wielkiego, praw lennicznych nad Śląskiem Czechom, z wymarciem poszczególnych władców śląskich księstwa ich przechodziły stopniowo na Habsburgów, jako ówczesnych królów czeskich. Im to zabrał w r. 1740 prawie cały Śląsk pruski Fryderyk II. Przy Austrji zostały

tylko księstwa Opawskie i Cieszyńskie. Przez 200 więc prawie lat Prusacy starali się wszelkiemi siłami wynarodowić lud śląski, który jednak wbrew mylnym pozorom, pomimo pewnych wpływów kulturalnych, a równocześnie politycznemu jarzmu i prześladowaniom, w głębi swej duszy zgermanizowaniu nie uległ. Jeśli ktoś przestał czuć po polsku, przestał być Ślązakiem-słowianinem, to tylko garść renegatów, których nie brak nigdzie. W najzacniejszej rodzinie zdarzy się wyrodek.

Ostatecznie wskutek odbytego w dniu 9 marca r. 1921, zresztą sztucznie i pod naciskiem na naszą niekorzyść plebiscytu, a także za sprawą raczej moralną trzech powstań górnośląskich, Polska otrzymała zpowrotem ze swego ongi dziedzictwa część, składającą się z powiatów: katowickiego, tarnowskogórskiego, lublinieckiego, rybnickiego i pszczyńskiego oraz drobnych pasków ziemi, poza niemi, razem 3,225 kilometrów kwadratowych z ludnością około miljona, w czem trzy czwarte rdzennych Polaków.

Śląsk, zwany w jednej swej części Zielonym, w drugiej Czarnym, i tu i tam pokryty jest gęstym lasem. W okolicach Rybnika i Pszczyny pełno malowniczych lesistych wzgórz i zieleniących się parków magnackich, zabytków wiejskiego budownictwa drewnianego — to Śląsk Zielony. W trójkącie Mysłowice — Gliwice — Tarnowskie Góry, tak zwane Górnośląskie Zagłębie Węglowe, pokryte jest również lasem kominów Królewskiej Huty, Świętochłowic, Huty Laury, Lipin, Giszowca i innych.

Poza Katowicami, miastem wojewódzkiem, o którem na innem miejscu, Górnośląskie Zagłębie Węglowe posiada szereg miast, osad i miejscowości przemysłowych, połączonych koleją, tramwajem lub autobusami. Są to przedewszystkiem:

Królewska Huta, z największemi na Śląsku zakładami hutniczemi pod tą samą nazwą i największą kopalnią węgla „Prezydent". Z wzniesionej na 314 metrów nad poziom morza góry Steden rozciąga się tu w nocy wspaniały widok na ziejące ogniem wokoło wielkie piece. Królewska Huta liczy obecnie do 100.000 mieszkańców.

Tarnowskie Góry (15.000 ludności) z kopalniami blendy cynkowej, ołowiu i węgla znanemi już w XIII stuleciu. Jest to więc kolebka górnictwa śląskiego, gdzie w XVI wieku dobywano nawet srebro. Kościół z XV wieku posiada najwyższą na Śląsku wieżę, a wewnątrz liczne grobowce z marmuru. Tutaj posłowie polscy spotykali 26 lipca r. 1697 dążącego do Polski po wyborze na Króla Saskiego, elektora Fryderyka Augusta (późniejszego Augusta II). Godne uwagi są tu ścienne malowidła z portretami tego króla i jego faworyty hr. Cosel w winiarni Sedlaczka.

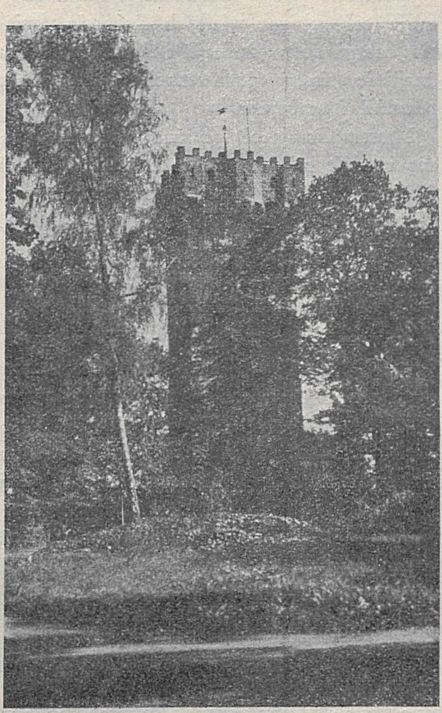
Mysłowice (ok. 20.000 mieszkańców). Tutaj przy zbiegu Białej Przemszy z Czarną schodziły się granice trzech sąsiednich cesarstw. Niemcy zwali ten punkt „Dreikaiserecke" i wystawili tu olbrzymią wieżę widokową „Wieżę Bismarcka", zburzoną przez działa niemieckie podczas walk z powstańcami w r. 1921. W samych Mysłowicach kościół gotycki z XVI wieku. O 8 kilometrów na zachód

Giszowiec, godna widzenia osada willowa robotnicza. Ok. 10 000 mieszkańców.

Szopienice — w czasie powstania górnośląskiego w r. 1921 główna kwatera dowództwa powstańców.

Chorzów z fabryką związków azotowych, w której Niemcy podczas wielkiej wojny wyrabiali gazy trujące, a która, przejęta przez Państwo Polskie została uruchomiona przez zasłużonego uczonego inż. Ignacego Mościckiego, który też był pierwszym dyrektorem tej fabryki, zanim został wybrany na Prezydenta Rzplitej. W Chorzowie jest też centralna elektrownia na całe Zagłębie Węglowe.

Pozatem wymienić należy: **Hajduki z Hutą Bismarka**, wyrabiającą w 1914—18 r. dla Niemców amunicję; **Nowy Bytom z Hutą Pokoju, Piekary** — miejsce odpustowe (piękne stroje ludowe), **Świętochłowice** z jedyną w Polsce fabryką tlenu i wodoru, Hutę Laurę i t. d.



Cieszyn. *Wieża Piastowska.*

Inny zgoła charakter, jak zaznaczyliśmy, posiada Śląsk Zielony. Parki magnackie z wielkopańskiemi stylowemi pałacami, lasy pełne grubego zwierza wśród starodrzewiu, wsie z piękną strukturą odznaczającemi się świątyniami z modrzewia — oto charakterystyczne cechy tej dzielnicy. A więc przedewszystkiem:

Pszczyna, niegdyś stolica księstwa piastowskiego, dziś własność księcia z niemiecka „zu Pless" zwanego, podobno z rodu spokrewnionego ongi z Piastami (setna woda po kisielu) ale dziś już doszczętnie zgermanizowanego, znanego zresztą ostatnio z procesów, wytoczonych mu o działanie na szkodę skarbu Państwa Polskiego. Jest tu piękny pałac stylowy z XVII wieku, z olbrzymim zwierzyńcem, gdzie są żubry. W parku drewniany kościołek św. Jadwigi. W rynku pomnik Marszałka Józefa Piłsudskiego. Pałac w latach 1915—17 był główną kwaterą armji niemieckiej. W okolicy Pszczyny piękne kościoły drewniane we wsiach: Górze, Brzeżcach, Ćwiklicach, Syryniu, Łące, Knurowie, Miedznej, Lubomli i t. d.

Lubliniec z zamkiem Piastów, przebudowanym na pałac Grotowskich i z kościołem z XVI wieku. W okolicznych wsiach Boronowie, Cieszowej i Łagiewnikach piękne kościoły drewniane.

Koszęcin z pałacem hr. Hochenlohe — Ingelfingen, w którym zatrzymał się w r. 1683 idąc pod Wiedeń Jan Sobieski.

Świerklaniec w pobliżu Nakła, ze zbudowanym na wzór Wersalu pałacem hr. Henckel-Donnersmarka z pięknym parkiem.

Tychy z dwoma słynnemi browarami: Książęcym i Mieszczańskim.

Mikołów, gdzie wydawał swe pisma zasłużony działacz polski za czasów jarzma niemieckiego na Śląsku, Karol Miarka, słynny autor kalendarzy.

Rybnik, Wodzisław i Olza, polska stacja na granicy niemieckiej. Jest tu most niżej spływu Olzy i Odry, gdzie obecnie schodzą się **Granice Trzech Republik**: polskiej, czeskosłowackiej i niemieckiej (?).

Są też na Śląsku źródła mineralne solankowe i jodobromowe w **Goczałkowicach i Jastrzębie Zdroju.**

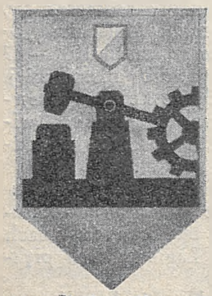
Na samym południu Śląska rozciąga się księstwo Cieszyńskie, gdzie miasto Bielsko-Biała o 50.000 mieszkańców jest największem. Jest to jeden z ważniejszych ośrodków sportów zimowych i turystyki górskiej. Pełno tu w okolicy oznaczonych ścieżek górskich i pierwszorzędnych schronisk. W mieście zamek książąt Sułkowskich z pięknym parkiem, pomnik Lutra przed kościołem ewangelickim. Są tu słynne fabryki sukna, najlepszego w Polsce, które wywożone do Anglji wraca do nas, jako najlepsza „first class" marka światowa.

Cieszyn w połowie należy do Czech, w połowie do Polski; granicę stanowi rzeka Olza, płynąca środkiem miasta i rogatka graniczna jest w połowie mostu. Tu w pałacu arcyksięcia Fryderyka była w czasie wielkiej wojny główna kwatera austrjacka. Piękny rynek. W kościele farnym grobowce ostatnich Piastów.

Wisła — największa wieś śląska z letnim zamkiem górskim Prezydenta Rzplitej, wzniesionym w ostatnich latach. Stąd wycieczki do źródeł rzeki Wisły na Baranią Górę.

Wreszcie **Ustroń**, gdzie są od r. 1802 kąpiele mułowe, letnisko **Bystra** z pięknemi terenami narciarskiemi, ośrodek ciekawych wycieczek w Beskidach zachodnich, i **Jaworze** (austrjacki „Emsdorf") stacja klimatyczna u stóp Beskidów, z zakładem wodoleczniczym.

Stolica Województwa Śląskiego



Nowy herb m. Katowic.

Stolicą Województwa Śląskiego jest miasto Katowice. Kronika wspomina o Katowicach dopiero poraz pierwszy w roku 1598 jako o kolonji, leżącej po prawej stronie strumyczka Rawy a należącej do wiele starszej, bo już w roku 1414 wzmiankowanej „Kuźnicy Bogucickiej". W dniu 9 września 1486 r. dał książę Kazimierz z Cieszyna zezwolenie na uruchomienie w „Kuźnicy Bogucickiej" Wł. Rudzkiemu i Jerzemu Klaparowskiemu pierwszego pieca hutniczego. Temsamem Polacy stali się twórcami ciężkiego przemysłu na Górnym Śląsku.

W r. 1783 liczyły Katowice 294 mieszk.
„ 1910 „ „ 43.175 „
„ 1920 „ „ 50 000 „
a obecnie liczy miasto Katowice 128.575 mieszkańców.

W lutym 1920 r. objęła Komisja Międzysojusznicza (Plebiscytowa) administrację zwierzchniczą nad terenem plebiscytowym, a 16 czerwca 1922 r. wkroczyły wojska polskie do Katowic i w obecności przedstawicieli Rządu i Sejmu nastąpiła uroczystość, symbolicznego przejęcia ziemi śląskiej.

Katowice są miastem wydzielonem z powiatu, z siedzibą licznych władz naczelnych, urzędów i różnych przedsiębiorstw ciężkiego przemysłu. Pozatem w Katowicach mają siedziby swe konsulaty: angielski, austrjacki, francuski, czechosłowacki, włoski, hiszpański, szwedzki, łotewski, węgierski i generalny konsulat niemiecki.

Jest tu 7 kościołów katolickich, jeden ewangelicki, jedna synagoga, jeden starokatolicki oraz w budowie wielka śląska katedra kościoła katolickiego. Dalej są cztery dworce osobowe i dwa przetokowe, lotnisko cywilne o obszarze 16 klm.², gdzie mieści się dworzec lotniczy oraz wszelkie ubikacje dla ekspedycji pasażerów, listów i towarów. Tu mieści się poczta, cło, policja, lekarz i kasy biletowe oraz sypialnie i własna stacja radjowa. Pozatem w Katowicach znajduje się rozgłośnia Polskiego Radja oraz zakłady przemysłowe a m.: cztery odlewnie metalu i zakłady konstrukcji żelaznej, cztery kopalnie węgla, cztery huty żelazne, jedna huta cynkowa, dwie fabryki maszyn, jedna fabryka porcelany, fabryka nawozów sztucznych, fabryka motorów elektrycznych, fabryka gramofonów, rafinerja olejów mineralnych, dwa tartaki, pięć cegielń, jeden młyn parowy i wiele innych zakładów.

Na obszarze miasta znajduje się 30 szkół powszechnych, 4 szkoły wydziałowe, 1 klasyczne gimnazjum państwowe, 1 gimnazjum prywatne, 2 gimnazja komunalne, 4 szkoły zawodowe, 1 szkoła handlowa, 1 konserwatorjum i dwie inne szkoły muzyczne, 2 prywatne szkoły powszechne oraz Śląskie Techniczne Zakłady Naukowe, które mieszczą się w najpotężniejszym gmachu powstałym w odrodzonej Polsce.

Obywatele miasta Katowic czerpią wodę z Wodociągów Miejskich, pozatem miasto wyposażone jest w kanalizację, która obejmuje cały obszar wielkich Katowic. Światło czerpią obywatele z elektrowni, która znajduje się w prywatnych rękach, jak również i gazownia.

Miasto Katowice posiada również własną rzeźnię miejską, która została w latach 1926 — 1930 ulepszona i powiększona tak, że można dziennie bić 1000 świń i 600 sztuk bydła.

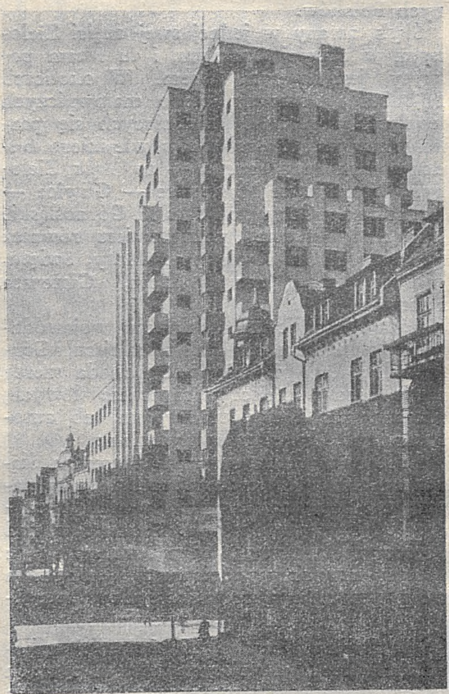
Rozwija się tu pomyślnie eksport bekonów do Anglji i Francji.

Za czasów polskich powstał Związek celowy Samorządów Śląskich pod nazwą „Śląskie Linje Autobusowe" do prowadzenia komunikacji autobusowej. Związek taki był bardzo pożądany, świadczą o tem następujące cyfry: uruchomiono 12 linij, na których kursowało 18 autobusów. Przewieziono ogółem 2.817.942 osób. Ilość przejechanych kilometrów wynosi 1.523 556. Pozatem jest w Katowicach również Związek regulacji Rawy, który zajmuje się wyłącznie regulacją tej rzeki.

W okresie lat ostatnich trzeba było bardzo wiele odbudować. Powstał bowiem wspaniały gmach Śląskiego Urzędu Wojewódzkiego oraz 14-piętrowy drapacz chmur, w którym mieści się Urząd Skarbowy i mieszkania dla urzędników tegoż urzędu. Pozatem wybudowano miejski dom administracyjny siedmio-piętrowy, jak również wskutek rozrostu miasta budować było trzeba nowe szkoły, domy mieszkalne, szpitale, schroniska dla bezdomnych i wiele innych.

W południowej części miasta znajduje się pięknie urządzony Park Kościuszki. W parku tym są łąki przeznaczone specjalnie do zabaw i gier dla dzieci, z których korzystają bezpłatnie, co stanowi prawdziwy raj dla milusińskich. Prócz tego jest jeszcze kilka skwerów oraz zwierzyniec i ogród naukowy.

Ulice miasta są brukowane i po większej części zadrzewione, oświetlone lampami gazowemi lub elektrycznemi. Miasto Katowice posiada własny szpital miejski dla dorosłych oraz specjalny szpital dla dzieci i chorych na płuca. Pozatem posiada uzdrowiska w Gorzycach Śląskich dla dzieci niedożywionych oraz chorych, uczęszczających do szkół na obszarze miasta Katowic. Uzdrowisko otwarte jest przez cały rok i bezpłatnie korzysta z niego co miesiąc 100 dzieci. Jest również łaźnia miejska z basenem do pływania dla użytku publiczności. Oprócz tego jest w budowie wielka plaża i stadjon, które mieszczą w sobie dwie duże pływalnie tak dla publiczności jak i związków sportowych. Będzie to największy objekt tego rodzaju w całej Rzeczypospolitej. Dla sportu hipicznego znajduje się tutaj tor wyścigowy. Sztuczny tor łyżwiarski jest jedynym tego typu objektem sportowym w Europie.



Katowice — 14-piętrowy gmach Izby Skarbowej.

Pożarnictwo stoi na wysokim poziomie, posiada bowiem dużą ilość sikawek automobilowych i automatyczny aparat sygnalizujący pożar.

Prezydentem miasta Katowic jest p. Dr. Adam Kocur, wiceprezydentem p. Dr. Szkudlarz, Prezesem Rady Miejskiej p. Dyr. Piechulek Jan.

Magistrat ma 19 członków. Rada Miejska 60 radnych.

MYSŁOWICE

Mysłowice, pow. Katowice, miasto liczące około 23.000 mieszkańców. Położone w górnośląskim okręgu przemysłowym ma bardzo dogodne połączenia kolejowe, prócz tramwajów elektr. i autobusów. Kopalnia, Walcownia cynku, Fabryka Mebli Robak, Tartak parowy, Dyrekcja Ceł, Urząd Skarbowy, M. Stacja Opieki nad Matką i Dzieckiem, Miejska Bibljoteka Ludowa i Mu-

zeum, Sąd Grodzki, Komenda Garnizonu i Rejonowy Zakład Żywnościowy, Państwowe Gimnazjum Męskie, Miejskie Gimnazjum Żeńskie, Państwowe Seminarjum Męskie i Seminarjum ochroniarskie, Dokształcająca szkoła przemysłowa, Dokształcająca szkoła kupiecka, 5 szkół powszechnych 7-klasowych, Miejski Szpital, Szpital Spółki Brackiej, 6 Ochronek, Miejska Gazownia, Miejska Elektrownia, Miejskie Zakłady Wodociągowe, Kanalizacja, Rzeźnia Miejska i Centralna Targowica, która wykazuje największe spędy w Polsce bydła rog. i nierogacizny i zaopatruje w mięso cały Górny Śląsk oraz częściowo Zagłębie Dąbrowskie i Krakowskie.

POWIAT PSZCZYŃSKI

Dawna ziemia pszczyńska, po oddzieleniu okręgu Mysłowickiego, tworzy dziś powiat o obszarze 1069 km.², będący równiną o większych wzniesieniach w Białobrzeskiej Górze (356 m. ponad poziom morza) w Łaziskiej i Klemensowej Górze koło Lędzin.

W zaraniu dziejów wiodła tędy stara droga z Moraw do Krakowa i wzdłuż niej zapewne szerzyli misjonarze św. Cyryla i Metodego wiarę chrześcijańską, o czem świadczyłyby ślady kultu św. Klemensa (Klemensowa Górka).

Historycznie Ziemia Pszczyńska jest odłamem zachodniej części Małopolski i dzieli losy Śląska dopiero od 1179 r. kiedy to Kazimierz Sprawiedliwy w walce o tron darował ją wraz z Bytomiem, Siewierzem, Oświęcimem i Zatorem — księciu opolsko-raciborskiemu Mieszkowi Kulawemu.

Jako odłam Małopolski, zachowała Ziemia Pszczyńska wiele własnych cech etnograficznych i przynależności do Diecezji Krakowskiej aż do r. 1821.

Dawniej ośrodkiem dzisiejszego powiatu był Mikołów, wymieniony już w 1222 r jako miejsce warowne, a dopiero po Żorach, około 1872 r. wzniósł ks. Władysław opolsko - raciborski warowny gródek na gruntach Starejwsi, nazwany od pobliskiego trzęsawiska, czyli „pluszczyny" z czasem Plszczyną, wreszcie Pszczyną. Wśród leśnej okolicy grody Mikołów, Żory i Pszczyna strzegły dróg handlowych z Gliwic do Bielska, Oświęcimia i Krakowa.

Z rozpadnięciem się Księstwa Opolsko-Raciborskiego przeszła Ziemia Pszczyńska na czas od 1281 — 1336 r. do Księcia Raciborskiego, następnie aż do 1443 r. należała do Księcia Opolsko - Raciborskiego, wreszcie w latach od 1449 — 1474 r. tworzyła część Księstwa Rybnickiego, a w końcu stała się własnością Piastowiczów Ziembickich i Cieszyńskich aż do 1517 r.

Pomimo odpadnięcia Śląska od Polski, Ziemia Pszczyńska pozostała rdzennie polską, gdyż nawet kolonizacja niemiecka w XIII w. pozostawiła zaledwie nikłe ślady w Rudołtowiczach, Wielkiej Wiśle, Pielgrzymowicach i Ornontowicach. Książęta rybniccy, ówcześni panowie Pszczyny, starali się nawiązać trwałe stosunki z Polską, a to zarówno przez małżeństwo z Polkami, jakoteż śpiesząc ze zbrojną pomocą Polakom w walkach z Krzyżakami. Nawet najbardziej zmienny Jan II, książę rybnicki, posiłkował króla Jagiełłę i poślubił jego bratanicę Helenę Korybutównę. Uroczystość ślubu odbyła się w Pszczynie w 1407 r. w obecności biskupa krakowskiego Piotra Wysza, któremu dawniej darował książę dla biskupów krakowskich dobra Imielin, Chełmek i Kostów. Po śmierci męża Helena osiadła ze swym dworem w Pszczynie. W ten sposób powstało wolne „Państwo Pszczyńskie" o prawach książęcych.

Pragnąc połączyć swą dzielnicę z Polską, występował książę Wacław Rybnicki po stronie króla Kazimierza Jagiellończyka w walkach o Śląsk z Maciejem Korwinem. Wówczas to Węgrzy oblegli Pszczynę, a po zdobyciu jej, splądrowali całą okolicę, lecz oręż polski rozgromił ich pod Wolicą, a Polacy odbili zrabowane łupy.

Na zamku pszczyńskim nieraz zatrzymywali się dostojni goście z Polski, udając się zagranicę, o czem wspomina ks. Promnic w liście do cesarza Ferdynanda I. Bawił tu między innymi krótko król Henryk Walezy w drodze powrotnej do Francji w celu objęcia tronu francuskiego (pamiątkowa kaplica Boża Wola). Wspominają też o Pszczyńskiem Z. Heberstein, znakomity poseł cesarza Karola V do Polski, a później Anglik Maryson.

W XVI i XVII w. Ziemia Pszczyńska była obszarem nawskroś polskim, a stwierdza to nawet kronikarz niemiecki w 1640 roku. Prawie wszystkie akta sadowe, miejskie, cechowe i dworskie wydawane były w języku polskim. Po polsku mówiła także szlachta śląska a nawet obcego pochodzenia Promnicowie.

Na wieść o wybuchu w Polsce powstania Kościuszkowskiego chwyciła w 1794 r. ludność w Ziemi Pszczyńskiej za broń i rzuciła się na dwory i posiadłości swoich ciemiezców, którzy wraz z uciskiem germańszczyzny stosowali ucisk społeczny i zabór ziemi na rzecz latyfundiów niemieckich.

Daremnie z łaski królów pruskich tytułarni „Książęta na Pszczynie" mając w swem posiadaniu prawie połowę powiatu wraz z resztą swych urzędników sprowadzanych z głębi Niemiec pracowali nad zniemczeniem Ziemi Pszczyńskiej. Smutnym epizodem stuletniej gospodarki pruskiej był w 1848 r. wybuch tyfusu głodowego, na który w powiecie Pszczyńskim— według urzędowej statystyki — wymarło 16% ludności.

W tym czasie obudził się potężny ruch narodowy na Śląsku, w którym również Ziemia Pszczyńska wzięła wybitny udział. Tutaj żyli i pracowali Karol Miarka z Pielgrzymowic, poeta Jan Kupiec w Łące, a na cmentarzach w Pszczynie spoczęli ks. biskup Bogedain, poseł ks. Paweł Pośpiech i organizator ostatnich walk w tutejszym powiecie za wolność Polski, Aleksy Fizis.

W plebiscycie ludność powiatu Pszczyńskiego spisała się naprawdę dzielnie, głosując zwartą masą za Polską, tak, że padło stąd na Polskę 46.600 głosów, za Niemcami wszystkiego 18.400 głosów.

Obecny powiat Pszczyna składa się z dawniejszego powiatu pszczyńskiego bez Ligoty Pszczyńskiej, przyłączonej do miasta Katowic, na której miejsce przyłączono do powiatu pszczyńskiego gminę Paniowy z dawniejszego powiatu rudzkiego.

Powiat pszczyński jest pod względem rozległości terytorjalnej jednym z największych, gdyż powierzchnia jego wynosi 1069,2 km.². Charakter powiatu jest rolniczo - przemysłowy — o glebie średniej jakości.

Prawie połowa gruntu jest własnością księcia Pszczyńskiego.

Powiat leży w dorzeczach dwóch rzek: Wisły i Odry i graniczy na południu z powiatami: cieszyńskim, bielskim, oświęcimskim, na wschód z powiatem chrzanowskim, na północ z powiatem katowickim, a na zachód z powiatem rybnickim. Granica powiatu wynosi 271 km., z tego przypada na granicę naturalną 82,5 km., a tworzą ją: Wisła, Kłodnica i Przemsza.

Ludności powiat liczy 160.029 i posiada 3 miasta, t. j.: Pszczyna, Mikołów i Stary Bieruń oraz 94 gminy wiejskie.

Ludność zatrudniona jest w 35% w rolnictwie, 40% w przemyśle, zaś reszta w pozostałych zawodach.

Ludność powiatu według wyznań stanowi: 98% rzymsko-katolików, 1,5% ewangelików i 0,5% żydów.

Na terenie powiatu znajduje się 9 kopalń i 37 fabryk.

Dzięki pomocy p. Wojewody, który udzielił powiatowi znaczniejszych subwencyj i pożyczek ze Skarbu Śląskiego, stan dróg w powiecie, których pod nadzorem powiatu jest 430 km., przedstawia się dzisiaj bardzo dobrze. Część robót przeprowadził również Urząd Wojewódzki bezpośrednio.

Dla poparcia rolnictwa wiele czyni stwarzanie spółdzielni mleczarskich. Pierwszą wzorowo urządzoną mleczarnię obliczoną na przeróbkę mleka w ilości około 10 tys. litrów dziennie uruchomiono w Pawłowicach.

Rozwiązano również kwestje parcelacji i meljoracji gruntów przezco zwiększono wydajność gleby.

Wydział powiatowy utrzymuje w Starej Wsi Żeńską Szkołę Gospodarczą, której celem jest praktyczne wyszkolenie córek rolników w zakresie gospodarstwa wiejskiego. Jako jeden z głównych przedmiotów nauczania jest ogrodnictwo warzywnicze, następnie hodowla i obora, kuchnia i szwalnia, rachunkowość gospodarcza i przedmioty ogólno kształcące.

Należy nadmienić również, iż na terenie powiatu znajduje się miejsce kąpielowo-uzdrowiskowe, Goczałkowice o pierwszorzędnych właściwościach leczniczych, pięknie położone u stóp - podnóża Karpat, w malowniczej okolicy z widokiem na wspaniałą panoramę Beskidów.

Na czele powiatu stoi p. starosta Dr. T. Jarosz, znany ze swej energji i wielkiej pracy.

RAWICZ

Powiat rawicki jest pogranicznym powiatem wysuniętym mocno na południe wojew. pozn. Ziemie powiatu rawickiego weszły w skład Państwa Polskiego, za czasów Kazimierza Wielkiego. W czasie wojny 30-letniej osiedliło się tu wielu protestantów ze Śląska i Czech, którzy w tolerancyjnej Polsce szukali schronienia przed prześladowaniami.

Obszar powiatu wynosi 508 km². Według powszechnego spisu z 1931 r. liczy powiat ok. 50.000 mieszkańców, z czego przypada na mniejszość niemiecką 10%. Gęstość zaludnienia wynosi 95 mieszkańców na 1 km². Powiat obejmuje 78 gmin wiejskich i 41 obszarów dworskich, podzielonych na 4 wójtowstwa, oraz 5 miast: Rawicz, Bojanowo, Jutrosin, Miejska Górka i Sarnowa.

Charakter powiatu jest wybitnie rolniczy. Pod względem gospodarczego rozwoju i kultury rolnej powiat stoi bardzo wysoko.

Z większych zakładów przemysłowych zasługuje na uwagę duża cukrownia w Miejskiej Górce i kilka większych zakładów przemysłowych w Rawiczu, jak pierwsza w Polsce fabryka papieru falistego i fabryka pasów.

Rozwojowi rolnictwa sprzyja gęsta sieć umocnionych dróg gminnych, powiatowych, wojewódzkich i państwowych oraz sieć dróg kolejowych z 2 linjami kolejowemi: Rawicz — Leszno długości 19 km. stanowiąca część międzynarodowego szlaku kolejowego Poznań — Wrocław i druga linja Rawicz — Kobylin, długości 52

Oświatę rolniczą wprowadza w sfery właścicieli mniejszych i średnich gospodarstw rolnych istniejąca w Bojanowie Państwowa Szkoła Rolnicza pod doświadczonem kierownictwem dyrektora Załęskiego. Rawicz jest siedzibą Państwowego Gimnazjum Humanistycznego oraz Państwowego Seminarjum Nauczycielskiego, uczelnie te kierowane przez dyrektorów Gołąba i Wesołowicza stoją na wysokim poziomie naukowym. W Rawiczu znajduje się też Korpus Kadetów Nr. 3, do którego uczęszcza przeszło 500 kadetów. W powiecie znajduje się 50 szkół powszechnych.

Oświatą pozaszkolną zajmują się subwencjonowane przez Samorząd Tow. Kulturalno - Oświatowe, Czytelnie Ludowe oraz Kółka Rolnicze.

Istniejące dwa szpitale: jeden miejski w Rawiczu, w którym się mieści 36 łóżek, a drugi Polskiego Tow. w Bojanowie o 40 łóżkach okazały się dotychczas zupełnie wystarczające.

Starostą powiatowym jest Dr. Stanisław Łobos, który bierze b. żywy udział w pracach społecznych, jest prezesem Komitetu Pow. L. O. P. P. i prezesem Ochotniczej Straży Pożarnej. Również wydatnie współdziała w rozwoju Zw. Strzeleckiego.

Działalność Samorządu Powiatowego w dziedzinie opieki społecznej obejmuje wydatną pomoc na: stacje opieki nad matką i dzieckiem, ochronki, kuchnie ludowe, pomoc doraźną dla biednych i bezrobotnych, kolonje letnie, subwencje dla towarzystw charytatywnych oraz utrzymanie głuchoniemych i umysłowo-chorych.

Usiłowania Samorządu w dziedzinie meljoracji gruntów celem podniesienia produkcji rolnej uwieńczone zostały bardzo pomyślnemi wynikami. Obecnie istnieje w powiecie 27 spółek wodnych z ogólnym obszarem 12.089,38 ha.

Dążąc do podniesienia dobrobytu wsi oraz do obsadzenia dróg publicznych drzewami owocowemi założył powiat w roku 1922 powiatową szkółkę drzew owocowych, która rozwija się nader pomyślnie. W ostatnich dwóch latach zasadzono na terenie tutejszego powiatu 13284 drzew owocowych, oraz 6635 krzewów owocowych i róż. Roczna produkcja drzewek do rozsprzedaży wynosi 70.000 sztuk.

Rawicz jest jednem z najmłodszych miast powiatowych prastarej dzielnicy Piastowskiej. Założony został w r. 1632 przez kasztelana gnieźnieńskiego Olbrachta Przyjemskiego. Dzięki uzyskanym przywilejom miasto ogromnie szybko się rozwijało, tak, że w chwili przejścia pod panowanie pruskie Rawicz był największem miastem Wielkopolski po Poznaniu.

Samo miasto należy do jednego z najpiękniejszych miast Wielkopolskich. Wspaniałem planowem rozbudowaniem i czystością budzi zachwyt u przejeżdżających.

Ozdobą miasta są wspaniałe plantacje miejskie, jedne z najpiękniejszych w całej Polsce, długie blisko na 3 klm., położone na miejscu dawnych obwałowań i fortyfikacyj miejskich.

Z dawnych polskich czasów przetrwała do dziś dnia znaczna ilość charakterystycznych domów mieszczańskich, kościół i Klasztor, O. O. Reformatów, przebudowany na ogromne nawskroś nowoczesne więzienie karne.

Rozwój P. W. i W. F. wykazuje w pełni duże uświadomienie obywatelskie ludności i silnie rozwinięte poczucie obowiązku pracy dla Państwa.

Na czoło organizacji wybija się Związek Strzelecki, liczący 29 oddziałów oraz 3 oddziały żeńskie. Na uwagę zasługuje fakt, że Zw. Strzelecki w Rawiczu prowadzi we własnym zarządzie Dom Strzelecki, gdzie ma obszerną, niezwykle miło urządzoną świetlicę im. biskupa Bandurskiego.

Prezesem Oddziału Związku Strzeleckiego w Rawiczu jest p. Antoni Jaśkowski, z-ca starosty, który bierze również czynny udział w wielu organizacjach społecznych.

Jego zasługą jest zorganizowany Hufiec Orląt przy Oddz. Strzeleckim w Rawiczu, liczący 45 członków umundurowanych.

W pracy L. O. P. P. powiat rawicki wybija się na jedno z pierwszych miejsc w województwie poznańskiem, gromadząc 1580 członków, skupionych w 84 Kołach.

Przy poparciu władz i miejscowego obywatelstwa wspaniale rozwija się Polski Czerwony Krzyż, który ma 5 zorganizowanych i wyekwipowanych drużyn ratowniczych, własny samochód sanitarny i kolumnę taborową. Cukrownia w M. Górce posiada własną świetnie wyszkoloną drużynę.

Z tego krótkiego i pobieżnego zestawienia widać, że ludność tego granicznego powiatu zdaje sobie sprawę ze swych obowiązków względem Państwa i pełni zrozumienia obywatelskich obowiązków, nie szczędzi grosza ani pracy dla dobra Rzeczypospolitej.

WYRZYSK

Na zachód od Bydgoszczy w pięknej okolicy leży miasto powiatowe Wyrzysk. Liczy ono wszystkiego 1.700 mieszkańców i jest siedzibą władz powiatowych.

Na czele tych władz stoi starosta p. Put, którego zastępcą jest p. Kazimierz Weese, b. ułan Beliny i b. komendant kompanji P. O. W. w Okręgu Częstochowskim, niezmordowany działacz społeczny.

Największem miastem w pow. wyrzyskim jest Nakło, liczące ponad 10.000 mieszkańców. Obecnie straciło ono dawniejsze znaczenie, gdyż Prusacy przenieśli siedzibę powiatu do Wyrzyska, położonego w pięknej dolinie nad rzeczką Łobżonką, w odległości 5 km. od stacji kolejowej Osiek, na linji Bydgoszcz — Nakło — Piła. Pozatem znajdują się w powiecie dalsze 4 miasteczka i 7 obwodów wójtowskich, razem ok. 1.200 km² z 67.000 mieszkańców. Jest to jeden z większych powiatów w województwie poznańskiem.

Powiat wyrzyski posiada strukturę wybitnie rolniczą, a największą fabryką jest Cukrownia w Nakle, zatrudniająca około 1.000 robotników, niestety, jednak tylko podczas krótkotrwałej kampanji. Pozatem ważnym zakładem przemysłowym jest Elektrownia Okręgowa w Nieżychowie, zaopatrująca w prąd kilka powiatów.

Skutkiem kryzysu gospodarczego jest znaczne bezrobocie w Nakle, zubożenie ogółu rolników, a w szczególności pogorszenie się stanu osadnictwa polskiego, które narówni z bezrobociem, stanowi największą troskę społeczną władz i samorządu.

Powiatowy Związek Komunalny posiada kolejkę wąskotorową (160 km.), zbudowaną w czasach zaborczych głównie dla plantatorów buraków, która łączy też kilka ważniejszych miejscowości z linjami kolei państwowej, a podczas kampanji buraczanej obsługuje Cukrownię nakielską — oczywiście w obecnych warunkach gospodarczych kolejka ta jest ciężarem znacznym dla powiatu. Ponadto w Wyrzysku istnieje dobrze urządzony szpital powiatowy i kilka stacyj sanitarnych, utrzymywanych przez powiat i miasta, oraz Kasa Chorych. Również w Nakle utrzymuje powiat Stację Opieki nad Matką i Dzieckiem.

Komunalna Kasa Oszczędności powiatu wyrzyskiego rozwija się nader pomyślnie i stanowi już najpoważniejszą instytucję finansową w powiecie.

Szkół w powiecie jest przeszło 100, w czem jedno gimnazjum męskie w Nakle i jedna szkoła wydziałowa dziewcząt w Nakle.

Pod względem politycznym jest to obszar bardzo ważny, ponieważ leży na drodze pomiędzy graniczną Piłą, dużem miastem i ważnym punktem strategicznym w Niemczech, a niemniej ważną Bydgoszczą. Z tego względu, w razie wojny z Niemcami powiat wyrzyski stałby się niewątpliwie celem ataku niemieckiego.

Już w czasach Fryderyka Wielkiego kierowali Niemcy swą kolonizację polityczną na te ziemie i w chwili przejęcia powiatu przez władze polskie, mniejszość niemiecka liczyła tutaj około 60% ziemi w swych rękach — wprawdzie dzisiaj Niemców jest mniej o połowę, a własność niemiecka również o połowę zmalała, jednakże dalsze polszczenie powiatu i szczególne nastawianie duchowe ludności w myśl ideologji państwowo - twórczej stanowi zagadnienie najważniejsze na tym terenie.

To też od szeregu lat prowadzona jest tutaj wytężona akcja P. W. i W. F., celem zaś utrzymania napięcia patrjotycznego i gotowości bojowej wśród polskiego społeczeństwa, organizowane są placówki społeczne obrony narodowej, jak L. O P. P., P. C. K., Z. O. K. Z. i t. p.

Istnieją już stadjony sportowe w Wyrzysku, Nakle, Białośliwiu, Łobżenicy, Runowie, Wysoce i Sadkach, z których dwa pierwsze zupełnie wykończone, ponadto zaś istnieje kilka strzelnic, m. i. prawidłowo zbudowana strzelnica we wsi Sadki.

Z organizacyj P. W. najsilniej występuje i rozwija się Związek Strzelecki, liczący 48 oddziałów młodzieży przedpoborowej i usilnie popierany przez władze administracyjne — dzięki współpracy ofiarnej ze strony nauczycielstwa w szeregach strzeleckich prowadzona jest planowa praca wychowania obywatelskiego, a powstałe niedawno i pomyślnie rozwijające się koła przyjaciół Zw. Strzeleckiego, zaopatrują oddziały w mundury i urządzają świetlice, których kilka już zostało otwartych.

Związek Powstańców i Wojaków liczy w powiecie 24 oddziały, Związek Rezerwistów — 11 oddziałów. Drużyn harcerskich jest 17. Hufce P. W. kolejowego i pocztowego stanowią dopełnienie tych sił społecznych, które każdy napad gotowe są odeprzeć zbrojnie.

Należy podkreślić, iż społeczeństwo polskie w powiecie wyrzyskim w przeważającej części okazuje całkowite zrozumienie dla wyżej opisanych zadań państwowych, a organizacje opozycyjne topnieją gwałtownie na rzecz zdrowej idei przysposobienia wojskowego i solidarności narodowej, niezbędnej na tak ważnym odcinku narodowego frontu.

Wśród młodzieży polskiej coraz łatwiej jest o zrozumienie roli, jaką odegrać ona winna w Polsce Mocarstwowej, przywróconej kosztem strumieni bezcennej krwi polskiego żołnierza, powstańca, czy legjonisty, do życia państwowego — dla młodego pokolenia „społeczników", pragnących siać zdrowe ziarna na tej glebie, otwarte są duże możliwości.

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: Warszawa, ul. Złota 30, m. 4. tel. 698-53. Konto w P. K. O. Nr. 24-961.

Redaktor przyjmuje w poniedziałki w godz.: od 18-ej do 20-ej. Nadesłanych rękopisów Redakcja nie zwraca.

CENY PRENUMERATY: kwartalnie Zł. 1.50, półrocznie Zł. 3, rocznie Zł. 6 wraz z przesyłką pocztową.
CENA OGŁOSZEŃ: 1/1 strony Zł. 400, 1/2 strony Zł. 225, 1/4 strony Zł. 120, 1/8 strony Zł. 70. Ogłoszenia tabelaryczne, fantazyjne i opisowe o 50% drożej.

Redaktor naczelny: Janusz Lubicz-Delinikajtis. Redaktor odpowiedzialny: Stefan Mieszkowski

Wydawca: Zarząd Główny Związku Peowiaków.

Druk Zakł. Graf. E. i D-ra K. Koziańskich w Warszawie, Krak.-Przedmieście 66.